ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom pięćdziesiąty pierwszy.

KOMEDJANCI.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

......Wszyscy na teatrze...
Ja djable lubię teatr, bo jak się zapatrzę,
To mi się czasem zdaje, że ja widzę ludzi...
FREDRO. Przyjaciele.

Totus mundus agit histrioniam....
PLAUTUS.

Wydanie nowe, przejrzane i poprawione przez Autora.

Tom I.

LWÓW.
W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha l. 10.
1873.

WARSZAWA
W księgarni Michała Glücksberga.

Nakładem Rogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

— Stendhal powiedział, że powieść być powinna „zwierciadłem przechadzającem się po gościńcu.“ Zawsześmy to określenie jego mieli na pamięci, z dodatkiem iż zwierciadło wypukłem lub wklęsłem być może, jeźli sztuka wymaga tego. — Wszystkie powieści nasze współczesne, z owych lat z których Komedjanci pochodzą (1850 — 1854) oparte są na rzeczywistości, z niej wzięte — odbija się w nich wołyński świat, na jaki się długo patrzało — nie tworzyliśmy nic, studiowaliśmy wszystko. Tu i owdzie zwierciadło użyte było tylko wklęsłe lub wypukłe — nigdyśmy się nie porywali na malowanie ludzi i sfer nam nieznanych, któreby odgadywać było potrzeba. I jeźli mają dziś jaką wartość te opowiadania, ciągną ją całą z tej trochy prawdy, jaka się w nich mieści. — Żadna prowincja nie miała więcej oryginalnych typów, więcej w sobie żywotności — nad tę. Czuć było w niej zasoby wielkie, które się tylko rozwinąć nie mogły, wśród nieprzyjaźnych im okoliczności. — Największa rozmaitość charakterów, usposobień, wychowania i ukształcenia, składała tę społeczność, w której i z dawnych żywiołów wiele i nowo wyrobionych nie mało się obracało. —

Od szlachty Owruckiej do pół-panka w pałacyku, od książąt palących w piecach u żydów, do dorobkowiczów z brylantami na palcach nie umiejących pióra utrzymać — mieliśmy tam wszystkiego podostatkiem.

Dla powieściopisarza był to obfity materjał, tak obfity iż do jednego marszałka w Latarni sześciu się przyznawało, że za wzór służyli. — Denderów w Komedjantach miał też ten zaszczyt iż go zastosowywano do kilku mu podobnych. Był to najlepszy dowód iż autor stworzył go z rysów pojedynczych i nie myślał o fotografji.

Pierwsza część Komedjantów wyszła w Petersburgu; a później w wydaniu powtórnem razem z drugą, (napisaną o rok potem) — w Warszawie. — Dwa tylko tomy miały dwie edycje. — O tłumaczeniu żadnem nie wiemy.

Drezno.
1873. Sierpień.

J. I. Kraszewski.

Jak wszystko dawne, znikają powoli i nasze stare dworki szlacheckie, poczciwe słomiane strzechy, skryte pod cieniem lip odwiecznych. Dziś myśmy wszyscy panami potrosze, zaprawdę nie wiem dla czego: może dla tego właśnie, że bardzo na panów krzyczymy. Nie byłoby to logiczne, ale byćby mogło naturalne. Każdy z nas chętnie wywołuje przeciwko arystokracji i arystokratom, tam nawet ich widząc, gdzie ich nie ma. Każdy z nas potem chętniej jeszcze radby panów małpować.

Dworek szlachecki, to starych cnót siedlisko spokojne, przetwarza się powoli na pełną pretensji niesmacznej willę, pałacyk; lipy otaczają się trawnikami, grzędy ustępują miejsca angielskim ogrodom, pasieczka rusza do lasu, gołębie na folwark, stajnie chowają się za bzy, tok zawstydzony usuwa się na bok daleko, a monumentalna brama stara, drewniana, przedzierzga w chatkę szwajcarską, która i chatką nie jest, i szwajcarską być nie może.

Nie grzech to zapewne, że piękno lubimy i chcemy się niem otoczyć; ale dowodem jest wielkiego ubóstwa, że nie umiejąc stworzyć pięknego z naszych własnych elementów, naśladujemy tylko niedołężnie, co gdzieś

stworzyli sobie obcy. Obczyzna, niestety! stary to nasz grzech, z którego spowiadamy się nieustannie, a poprawić nigdy nie możem! Co do mnie, ja kocham stary szlachecki dworek miłością, jaką mam dla poczciwych dawnych czasów, gdy to więcej jeszcze byliśmy sobą; witam ostatnie pamiątki przeszłego życia ze czcią i głową schyloną, jak bym witał konającego gladiatora; a myśląc, jak za lat kilkadziesiąt zniknie z ziemi wszystko dawne, serdeczny mnie żal przejmuje. Dworek szlachecki dzisiaj już być poczyna monumentem.

Jeszcze przed laty trzydziestą, więcej mieliśmy tych szarych, poważnych domostw o wysokich dachach, o pierzastych kominach, o szerokich sieniach, stojących jednym bokiem do cienistego ogrodu, drugim do ożywionego podwórza; więcej dworków z ganeczkiem o dwóch słupach rzeźbionych i ławach, o dwóch kominach, otoczonych gospodarskiemi budowlami, i poważnie jak szlachcic-rolnik zdającemi się stać na straży wśród pracującej czeladki.

Do jednego to z takich staroświeckich jeszcze nieprzetworzonych dworków, zajeżdżał ostatnich dni skwarnego lipca...... roku, wózek jednokonny z wprzężoną w hołoble klaczą gniadą, spasłą i powolną. Brama u której stały dwa drzewa rozłożyste i spichlerz z galerją, otwarta była na rozcież; wielki moręgowaty brytan powitał w niej przybywającego, i zakręciwszy ogonem pobiegł za nim wesoło do ganku.

Na wózku sam jeden siedział w białym kitlu i konfederatce, bardzo już nie młody człowiek, z siwym wąsem spuścistym, wygoloną głową i posępną twarzą, surową razem i łagodną, bo się na dawnych obliczach umiała nie raz godzić z dobrocią męska szorstkość i

rubaszność marsowa. Stary sam się powoził; rzuciwszy klaczy lejce, zsiadł powoli z wózeczka, a posłuszna towarzyszka przejażdżki stępo odszedłszy z wózkiem pod stajnię, zastanowiła się u wrót jej, i pewna, że sobie wywoła stajennego, zarżała. Stary, wyraźnie gospodarz domu, usiadł tymczasem w ganku, otarł pot z czoła opalonego, a nie widząc nikogo, spoglądał po dziedzińcu, ażali się kto nie zjawi. Po chwilce ukazał się biegiem spieszący parobczak, który zaraz ku stajni się skierował.

— Słuchajno Hryćku, mosanie — rzekł stary — co to u was jak wymiótł, nikogo nie widno! Gdzie ten duda gumienny?

— A koło żniwiarzy.

— Prawda, tylko go tam nie widziałem; a Janek?

— Powiózł dla nich wodę z beczką.

— Cóżem go nie spotkał? A panienka?

— Z Brzozowską i dziewczętami poszla ot tu w brzezinę na grzyby.

— W taki upał! głowę sobie przepali!

— Tylko co poszły, widziałem: jeszcze ledwie do brzeziny może dochodzą.

— Nie lepiej mosanie było kazać sobie zaprządz?

— Panienka nie chciała.

— A nie napój-że chorążanki (tak się nazywała), albo jej obroku nie zasyp — dodał stary — bo to ty, mosanie, gotów na wszystko, aby tobie tylko prędzej wylecieć, a klacz gotowa się ochwacić.

— Czy to mnie pierwszyzna! — odparł Hryćko ruszając zlekka ramionami.

— Otóż-to, że ci nie pierwszyzna ochwacić konia, dlatego ci to mosanie się mówi.

Parobczak zapewne stare grzechy przypomniawszy

sobie, w milczeniu już powiódł chorążankę do stajni, a stary pozostał jeszcze czas jakiś na ławie. Widać na nim było znużenie, z którem zwykle do głowy przychodzą myśli smutne i dumy niepotrzebne; podparł się na dłoni, oczy wlepił w podłogę i wzdychał.

Prócz skrzypiących wrót stajni, prócz lekkiego szumu lip starych i dalekich bardzo odgłosów pieśni żniwiarzy, nic więcej słychać nie było. Cisza letnia, cisza skwarnego wieczora, dodawała majestatyczności przepysznie zachodzącemu słońcu; rzekłbyś, że wszystko umyślnie zamilkło, żegnając pana dnia i ścieląc sobie także łoże spoczynku.

W takichto chwilach sam sobie zostawiony człowiek, jeśli młody, bawi się jak piłkami, barwnemi nadziejami przyszłości; jeśli stary, przerzuca z westchnieniem zbutwiałe zmarnowanego życia wspomnienia. Zmarnowanego! bo któż nie powie u schyłku dni swoich, że mu zmarniało? Któż wszystko otrzymał co marzył, kto się otrzymanem zaspokoił? Komuż życie ziściło co obiecywało, i kto nie pochował na cmentarzu pamiątek niedorosłych serca nadziei?

I stary nasz gospodarz dumał uroczyście, niekiedy tylko nastawiając ucha, czy nie usłyszy głosu córki; ale gaj brzozowy był trochę opodal, pieśń tylko żniwiarzy pochodziła jego uszu, i dumanie przeciągało się nieznacznie. Brytan Rozbój, który go powitał u bramy, jeden u nóg pańskich siedząc, kiedyniekiedy dla przypomnienia się liżąc mu ręce, dotrzymywał starcowi towarzystwa milczeniem wesołem. Poruszający się żywo kusy ogon Rozboja, oczy jego świecące, morda ku panu wzniesiona, dowodziły tego szczęśliwego usposobienia.

Wiaterek coraz chłodniejszy poruszał żywiej drzew

gałęzie, przeleciał muskając siwy włos gospodarza. Napomniany niem pan Jacek Kurdesz poszukał klucza w kieszeni, by wnijść nareszcie do chaty, gdyż po staroświecku jeszcze chatą tylko nazywał pospolicie swój czysty i ładny domek. Przeszedłszy bardzo skromną pierwszą izbę, w środku której stał pod kilimkiem tureckim stół okrągły kolbuszowskiej fabryki, kilka stołków biało olejno malowanych, komódka mosiądzami ozdobna, stary zegar gderający powoli schrzypłym głosem, a na ścianach wisiały obrazki świętych Pańskich i parę płócien wyobrażających śmierć Chodkiewicza, niewolę Maksymiliana, odsiecz Wiedeńską i piękną Bednarczankę; dobył pan Jacek klucza drugiego i otworzył izdebkę swoję, tuż obok bawialnej izby będącą. Tu wązkie łóżko skórą pokryte, nad którem trocha broni i blacha z Najświętszą Panną Częstochowską wisiała, para kufrów gdańskich, stolik i trochę węzełków a gratów, zajmowały cały niewielki alkierzyk. Okienko od niego wychodziło na ogród, wysadzony porządnie gruszami i jabłoniami, popodpieranemi i poobmazywanemi gliną starannie, zarosły agrestem, porzeczkami, krzakami malin i truskawek od spodu. W środku pod starą smolanką, którą wiatr nielitościwie nadłamał, widać było darniową kanapkę.

Stary wynalazłszy tu swoje Officium, związane rzemykiem i okulary, zabierał się do pierwszej izby na wieczorną modlitwę, gdy żwawy kłus konia ucho jego uderzył.

— A do djabła mosanie! — rzekł w sobie pan Jacek, żywo kładąc książkę na stoliku i okulary na nią. — Któżbyto zaś miał tak jechać? Nie gumienny, bo przed ganek, i to nie kłus dropiatego; nie chłop, bo to duże-

go konia chód wyraźnie, nie...

I słowa mu na ustach zamarły, gdy pochyliwszy się do nizkiego okna, ujrzał na ślicznym wierzchowcu młodego bardzo mężczyznę, a wedle swych wyobrażeń młokosa, który ze sługą w jasno-zielonej kurtce, na bułanym koniu kozackim mu towarzyszącym, stawał właśnie przed gankiem.

— Otóż jest mosanie — rzekł pan Jacek — sroka ranna wywołała gościa: bo taki sroka nigdy daremnie nie krzyczy; a tu i Franki w domu nie ma, i Brzozowskę licho z domu na te grzyby wyniosło, i ja jeden jak palec z tym błaznem Hryćkiem zostałem się sam a on i szklanki wody, jak się patrzy, podać nie potrafi. Dajżetu sobie rady, kiedyś mądry!

W sieni już było słychać głos i szastanie nogami; stary rad-nie-rad pospieszał powitać gościa, choć niezbyt ochoczo, z powodu, że był sam jeden, ale serdecznie mu wdzięczen, bo po staremu: gość w dom, Bóg w dom.

— Żeby choć Brzozowska rychło wróciła! — mówił w duchu biorąc już za klamkę.

Z drugiej strony progu, młodzieniec uśmiechnięty, bardzo wytwornie ubrany, stoi nie piękny twarzą, ale świeży i wesół. Z dziwnem wykrzywieniem ust, zakrawającem na szyderstwo, pytał zdejmując czapeczkę:

— Pan Jacek Kurdesz?

— Jestem do usług pańskich *in persona*, a proszę do środka *ante omnia*, bo przez próg się nie witają.

Panicz poskoczył do izby, obejrzał się szybko i pokłoniwszy się powtóre, rzekł dosyć grzecznie, choć dosyć dumnie:

— Miło mi poznać sąsiada; jestem Sylwan Dendera. Ojciec mój przysyła mnie, abym mu ukłon od niego

oświadczył, a razem prosił go na przyjacielski obiadek, na niedzielę.

Twarz starca widocznie zajaśniała radością: zniżył się ledwie nie do kolan młodemu paniczowi i składając ręce, rzekł z przejęciem, tchnącem czasów dawnych szlachecką dla panów czołobitnością:

— Ileż wdzięczności mosanie, winienem jaśnie wielmożnemu grafowi! Jakże potrafię przyjąć tak dostojnego w mojej chatynce gościa!

Młodzieniec się uśmiechnął, wziął wyciągnioną dłoń starego, wstrząsnął nią poufale, i szukając krzesła, zawołał ze śmiechem niedorzecznie dosyć:

— Jakże pan tu szczupło mieszka!

Starzec cokolwiek oprzytomniał, widząc, że młokos dość go lekko traktuje; i nie tracąc uniżoności dla krwi jaśnie wielmożnej, raźniej przecie i śmielej odpowiedział:

— A cóż, jaśnie wielmożny grafie, mosanie, nie dla na-to szlachty ubogiej pałace: człek sobie do słomianej strzechy przywykł.

Młodzieniec roztargniony muszcząc młodego wąsa, nie wiedząc co mówić, poglądał po kątach.

— Pan tu dawno już mieszka?

— Tum się mosanie urodził, i zdaje się, że tu i umrę, jeśli Bóg pozwoli.

— Tak sam jeden?

— Juścić nie zupełnie sam, — ośmielając się i rozgadując mówił Kurdesz. — Straciłem prawda najlepszego towarzysza świętej pamięci żonę moję, ale mi po niej została córka, pociecha i podpora starości. Miałbym to sobie za szczęście, mosanie, jaśnie wielmożny grafie, przedstawić ją jako gospodynią mojej chatynki, ale nieszczęściem wyszła...

Stary chciał już powiedzieć: na grzyby, ale mu się wymknęło: na przechadzkę. Przed panem grafem jakoś się grzybów powstydził.

— Czym tylko w przyległej brzezinie nie spotkał córki pańskiej — niedbale podtrzymując rozmowę rzekł Sylwan — w białej z różowem sukience, włosy ciemne...

— I bardzo piękna dziewczyna — dodał spiesznie pan Kurdesz.

Sylwan się uśmiechnął nieznacznie do siebie, kończąc:

— Obok szła podżyła i otyła kobiecina.

— A to Brzozowska, ani chybi — przerwał pan Jacek — i jeszcze dziewki, mosanie.

— Już tam reszty nie widziałem.

Nie wiem dlaczego młody człowiek trochę się zamyślił; coś zdawał sobie rachować, potem zdjął rękawiczki i milej nieco uśmiechnąwszy się do starego, prosił o pozwolenie chwili spoczynku.

— Tfu! człek głupieje na starość! — zawołał gospodarz — a toć mnie pan graf zawstydzasz swoją dobrocią: mnieto samemu należało *humillime* prosić, żeby koniki choć wysapały się przy żłobie i zęby przetarły. A tymczasem i moja Franka nadejdzie — dodał w duchu do siebie — i Brzozowska, i podwieczorek choć siaki taki dla tego grafiątka skoncypujemy.

Wyszli tedy na ganek oba, a stary spojrzawszy na konie wierzchowe, nie odpuścił ich do stajni, póki nie obejrzał. Sylwan był także koniarzem, lub go przynajmniej udawał: miał lub chciał mieć tę żyłkę szlachecką, do której moda dodała angielskiego pierwiastku. Poczęli oba oglądać, rozprawiać, i rozmowa łatwiej już dalej poszła.

— Pański koń na oko ślicznota: rasowy, krew jest,

caceczka, ale do pracy,... — zamknął szlachcic — do pracy, mosanie, wolę tego niepoczesnego kozackiego bułauka. Toto koń! Wytrzyma dzień cały, choćby mu się nie dać i wysapać: nogi tęgie, skład mocny, żylasty, kość gruba, pierś aż miło.

— A mójże? — spytał hrabia.

— Pański, mosanie, caca lala, ale kto go wie, co on może wytrzymać? Schlasta się we dwie godziny.

— Ta laleczka kosztuje mnie przecie do dwóchset dukatów.

— Bardzo być może i nie dziwuję się temu; ale dla mnie JW. grafie mosanie, te angielskiego rodu konie jakoś nie w smak; cienkie to, chartowate, i choć może szybkie na krótką metę, ale na wytrwanie wolę nasze wschodnio-polskie. Angielskie za szkłem śliczne, ale co mi po tem, kiedyto chuchać bez miary, a jechać pod strachem trzeba. Ej! kiedyśto i człowiek miał stajnią, mosanie, i wierzchowe niczego, ale teraz...

— Może i terazby się co znalazło? — trochę szydersko zapytał pan Sylwan, mrugając na swego kozaka zpoza starego.

— Choćby się i znalazło, to nie do smaku pańskiego — dokończył pan Jacek. — Mamci to ja siwkę...

— A niechno pan każe pokazać!

— Juściż się jej nie powstydzę: to harna bestja! Ale kiedy to i wyprowadzić po ludzku nie ma komu! Wola gościa święta! Hej! — zawołał — pokażcieno tu młodszą siwkę; tylko ją weź po ludzku!

Hryćko się zawinął, zarzucił kantar na głowę faworytalnej klaczy gospodarza, i piękne to stworzeńko ukazało się raźnie, ochoczo, wesoło wychodząc ze stajni, gdyby panienka co ją na bal wiodą. Pan Sylwan Den-

dera, który się w szlacheckiej stajence spodziewał niepoczesnego chmyza, zdumiał się tak, że aż kilka kroków naprzeciw siwki postąpił.

Śliczna bo to klacz była! Wschodnia krew czuć się w niej dawała: niezbyt rosła, niezmiernie kształtną, z łbem pełnym wyrazu, z nogą suchą a muskularną, z żyłami wybitnie oznaczonemi po całej skórze, lśniąca, błyszcząca, wymuskana jak pieszczone dziecię, wydawała się przy angliku hrabiego jak piękna wiejska dziewczyna, przy wysznurowanej i bladej panience.

Stary Jacek z uczuciem pogładził śliczne stworzeńko, które wąchając, kawałka chleba zwykłego po rękach jego szukało. Hrabia podziwiał, oglądał siwkę i chwalił ją szczerze: nawet trochę zazdrości przebijało się w jego wyrazach, rad był serdecznie znaleźć jaką wadę, ale nie mógł.

Gdy tak koniarzują w dziedzińcu, Franka, córka pana Kurdesza, powraca spiesznie z brzeziny. Widziała ona i pani Brzozowska, że nieznajomy jakiś piękny młodzieniec na dzielnym koniu pojechał do Wulki. Ciekawość, wreszcie potrzeba pomożenia ojcu w przyjęciu, dodała nóg France, za którą ledwie zdążyć już mogła Brzozowska, stara, zdyszana i zapocona, podbiegając a stękając.

— Brzozosiu! na miłość Boga pospieszajmy, — co chwilę powtarzała Frania — ojciec sobie nie da rady.

— Tak, tak, niech już panna nie bałamuci darmo; niby to ja tego nie rozumiem: kawalera się chce zobaczyć. Nie bójże się, nie ucieczе: zastaniemy go jeszcze; nie po co on przyjechał.

— Wyobraź sobie Brzozosiu, któżby to mógł być? — pytała pospieszając Frania.

— Albo ja wiem. Królewicz może jaki.

— Ty bo żartujesz ze mnie.

— Ale nie, moja śliczna panienko: jakbyśto i królewicza nie była warta?

— No! jakże ci się jednak zdaje, kto to taki?

— A któżby to zgadł!

— Czyś bardzo zmęczona?

— Ledwie się wlokę.

— No, to wiesz co, zostań się trochę z Agatą, a ja z Horpyną trochę przodem pobiegnę.

— O! co na to nie pozwolę, jak Boga mego kocham: jeszcze mi się potem rozchorujesz..... dość już i tak lecim! Nie bójże się, nie uciecze.

— Wstydź się Brzozosiu! prześladujesz mnie; widziałaś jaki koń śliczny?

— I chłopiec niczego.

— A za nim sługa.

— Wszystko tak jakoś z pańska: sługa zielono.

Podobnie rozmawiały całą drogę od brzeziny do dworku, a biedna Brzozowska jak mogła dreptała, żeby zdążyć za panienką, która ledwie że nie leciała do dworu biegiem.

Cóż dziwnego? Tak było pusto w Wulce, tak smutno i tak rzadko gość do starego szlachcica zawitał. Nowa postać była zjawiskiem tak niespodzianem i dziwnem, że samej Brzozowskiej nóg i ochoty dodawała. My spojrzymy na Franią, na jedynaczkę pana Jacka, piękną polną różyczkę, wykwitłą wśród dzikich zarośli.

Przebywszy młodość w wojsku, nabiedowawszy się na świecie, pan Jacek nierychło wrócił na zagon domowy, i nierychło się już szronem obsypany będąc, ożenił. Niedługo cieszył się swojem szczęściem spokoj-

nem, bo wkrótce żona mu zmarła, jedno tylko zostawując dziecię. Do niego, jak do ostatniego węzła co go ze światem łączył, przywiązał się stary szlachcic całą duszą, sercem całem.

Ale jakież być mogło wychowanie pieszczonej jedynaczki w osamotnionej Wulce? Stara Brzozowska niegdyś przyjaciółka pani Kurdeszowej, dziś rezydentka i gospodyni na jej miejscu, podjęła się wypieszczenia Frani; dopełniła też tego sumiennie i serdecznie, i wyhodowała, wychuchała jedynaczkę jak najlepiej, wespół z ojcem wiecznie niespokojnym, zawsze jeszcze utrzymującym, że dziecię nie dosyć było pieszczone. Frania wyrosła na panią samowładną wśród posłusznych poddanych, z których najpierwszym był ojciec: wola jej była rozkazem, uśmiech weselem wszystkich, smutek strapieniem powszechnem. Jednakże ta samowładność Frani miała pewne granice: gdzie chodziło o jej zabawy, strój, rozrywkę, wszystko było na usługi; cokolwiek mogło obchodzić przyszłość, wpłynąć na los, tu już pilne oko ojca czuwało, i z pierwszego sługi, pan Kurdesz wracał do praw rodzicielskich. Ale je czuć dawał z taką miłością, z tak troskliwem baczeniem na uczucia Frani, a dziecię było tak łagodne i wierzyło w ojca, że nigdy nawet nie miało chętki sprzeciwić mu się. Swobodna zresztą jak łania w lesie, wykołysana przez starca, przebujała młodość swoję, nie poznawszy co boleść i cierpienie. Pan Jacek choćby go na to stało, nie chciał wychowywać na wielką panią, raz, że potrzebaby nad nauką trochę dziecię pomęczyć, a na to zezwolić mu było bardzo ciężko; powtóre, że dla kobiety nie widział potrzeby innego wychowania nad staropolskie troskliwe czuwanie, by wzrastała czy-

sta, święta, hoża, rumiana i wesoła. Frania też nic wcale się nie uczyła: umiała tyle ledwie co Brzozowska, która jako-tako czytała modlitwy, do których była przywykła na książce, i umiała się dość krzywo podpisać.

Oprócz tego nauczyła ją troskliwa opiekunka pobożnych kilku i światowych tekstów śpiewać, robić pończochę, szyć gładko, sny tłumaczyć, ziółka suszyć, piec baby, pierniki, tłuczeńce i makowniki i t. p. Pan Kurdesz w głębi duszy był przekonany, że umiała bardzo dosyć. W istocie, świata i ludzi nie znała bynajmniej biedna Frania, widząc przez świat zaczarowany bajek, podań i cudownych powieści, całe czekające ją życie. Po jej główce jak w skazce, chodzili jeszcze królewicze, przelatywały najdziksze złocone marzenia. Budziła się wesoła, zasypiała spokojna, żaden smutek nie zmarszczył jej czoła; nie miałaż prawa powiedzieć o sobie, że tak być musi, że tak zawsze będzie?

Frania była pięknem dziecięciem, ledwie siedmnastoletniem: czarne duże oczy, włos ciemny prześliczny, płeć trochę ogorzała, ale świeża, starego używszy porównania, jak pączek różany. Usta maluczkie, zęby bieluchne i drobne, ręka i noga kształtna, kibić zręczna, choć nie do zbytku wycieńczona, bo jej dano wzrosnąć i rozwinąć się swobodnie; a przytem śmiała, wesoła, raźna i niewinnie zalotna. Uśmiech nieustannie z kąta w kątek błądził po jej twarzy, pełnej wyrazu dobroci łagodnej i odwagi razem. Nic ją nigdy nie ulękło, nie rozumiała strachu: prawa córka szlachcica, gotowa była zuchwałego skarcić dłonią, z losem się poborukać i kroku nie ustąpić nieprzyjacielowi. Nieprzebrane skarby miłości, poświęcenia, litości i męstwa zebrane były

w jej czystej i spokojnej duszy, jak ziarno w bogatym śpichrzu na głodne lata.

Ciekawa a nietrwożna, z koszykiem na ręku wbiegła Frania z Brzozowską i dziewczętami w dziedziniec, a ledwie róg białej jej sukienki u wrót się pokazał, ojciec zapomniawszy gościa, cały się ku niej obrócił. Za nim i młodzieniec z wyszukaną grzecznością powitał wesołe dziewczę, które wprost mu w oczy spojrzawszy, usiłowało odgadnąć, co tu tak niezwykły robić może przybylec.

— Otóż i moja Frania — zawołał Kurdesz — chodź żeno, chodź Franiu — dodał żywo — mamy gościa. JW. graf Dendera tak na starego swego łaskaw sługę, że przez własnego syna zaprasza go na uroczystość solenną.

Frania uśmiechnęła się wesoło, powtórnie zajrzała w oczy hrabiemu, który naturalnie wzroku nie odwrócił, ani się zmieszał; a źle zrozumiawszy jej niewinną śmiałość i zalotność, wziął ją na rachunek swego imienia i postawy, nie staropolskiej prostoty i uprzejmości.

— A teraz z Brzozowską pomyślcie o podwieczorku — dodał Kurdesz.

Brzozowska, która stała w zachwyceniu patrząc na ładne hrabiątko i egzaminując łakomie to jego, to sługę, a nieledwie licząc guziki u sukien, odezwała sie naiwnie:

— Ale czemżeto takiego pana przyjmować?

Pochlebiło to Sylwanowi, który z uśmiechem rzekł:

— Szklanka mleka, kochana pani.

— Oho! co na to, to niezgoda — zawołał żywo stary — tak nie odpuszczę. Co to pan myśli, że u nas herbaty i kawy nawet się nie znajdzie, albo i kieliszka wina starego?

— A możeby co zgotować? — przerwała gościnna

Brzozowska — kurcząt upiec do sałaty, albo...

— O! ja jeść nic nie będę.

— Tak głodnego nie puścimy — stanowczo odparł szlachcic.

Frania i Sylwan przez czas tej rozmowy ciekawemi mierzyli się oczyma; pierwszyto raz w życiu dziewczę spotkało tak pięknego młodzieńca, który marzenia jej może urzeczywistnił; Sylwan uwiedziony zarazem pięknością jej i śmiałością, snuł naprędce romans bez ceremonji. Tak-bo to zdawało mu się wygodnem mieć sobie niezawodną kochaneczkę, niedaleko od Denderowa, w domku, do którego mógł przyjeżdżać bez fraka i żółtych rękawiczek!

— A teraz prosimy do pokoju — rzekł szlachcic biorąc pod rękę hrabiego, i trochę nierad upartemu przypatrywaniu się sobie młodych ludzi.

Frania ledwie kilka słów przemówiwszy, z Brzozowską razem pobiegła przysposabiać podwieczorek.

Już nie wiem jak i czyją sprawą upiekły się kurczęta, przygotowała sałata i zrobiły pierogi z serem, bo Brzozowska gorejąca ciekawością i niepokojem, podbudzonym do najwyższego stopnia, latała jak oparzona, pojąc służącego i pytając go o wszystko, co wiedział i czego nie wiedział.

Frania jak skoro mogła odejść, nie tając się z ciekawością swoją, także pospieszyła do pokoju, gdzie hrabia palił cygaro, o koniach rozmawiając z panem Kurdeszem. Nie przypuszczając żeby mogło być inne jakie i przyzwoitsze a lepsze życie nad jej własne, naiwnie poczęła je malować Sylwanowi, który śmiejąc się w duchu, był rad spotkanej na drodze sielance i wywoływał jej obrazy.

— O! ja-bo się wcale nie nudzę — mówiła mu Frania, — latam, proszę pana, chodzimy z Brzozosią na grzyby do brzeziny jak dziś, a czasem i dalej: zbieramy zioła, robimy sobie co w ogródku; wieczorami śpiewamy i mówimy śliczne powieści i bajki.

Sylwan uśmiechnął się, ale Frania wzięła ten uśmiech za dobrą monetę.

— Zimą jest tysiąc przyjemności także. Tyle świąt, tyle do nich przygotowań, nabożeństwo, motki, płótna i inne gospodarstwo; bo ja jestem, trzeba panu wiedzieć, wielką gospodynią.

— Już co to, to prawda, i nie chwaląc jej w oczy — dorzucił pan Kurdesz — Frania nie ma sobie równej w każdej rzeczy: czego się tylko dotknie, zrobi doskonale; a jaka z niej wyborna lekarka!

— I ludzie do mnie o dwie i trzy mile przychodzą po rady — przerwała znowu Frania — nikt tak doskonale nie leczy febry, nikt tak dobrze nie umie poradzić na stłuczenie.

— Jakżeto pani miło być musi — odezwał się chcąc coś przecie powiedzieć Sylwan — tyle błogosławieństw, tyle wdzięczności sobie zaskarbiać.

— Nie przeczę, że mi bardzo miło być ludziom pomocą — śmiało odpowiedziała Frania — a przytem wszakto i obowiązek kobiety.

— I pani się nie nudzi — spytał Sylwan — w tym zakątku?

— Jakżebyto być mogło — śmiejąc się z tej myśli odparla Frania — tyle zajęcia, tyle roboty; czas tak wesoło upływa, tak prędko.

— A towarzystwo?

— Mam kilka dobrych znajomych, zresztą poczciwa

Brzozosia, ojciec. Nigdym nie zatęskniła za większym światem.

Sylwan to się uśmiechał szydersko, to się dziwił w duchu, to się wpatrywał w śliczną twarzyczkę Frani, która już poczęła, biegając jak wiewiórka, krzątać się około podwieczorku. Stary Kurdesz podbudzony do admiracji przytomnością obcego, szczebiotliwością córki, miał w oczach łzę rozczulenia, w ustach niedokończone dziecięcia pochwały.

Zaledwie wyszła, począł z pełnego serca rozwodzić się nad jej przymiotami:

— Złoto nie dziecię — wołał wznosząc ręce do góry — co to za serce, a co to za główka! Nieraz mnie staremu jak co poradzi, to się zdumieję, zkąd ona to, siedząc w tym zakącie na szlacheckiej zagrodzie, prawie ludzi nie widząc, wziąć mogła? A jaki statek, jaka to pobożność, ileto przymiotów różnych, co ich i zliczyć niepodobna! Potrzeba z nią żyć od rana do wieczora jak ja, żeby to kochanie serdeczne poznać i ocenić.

Wśród tego toku rozmowy dano podwieczorek. Frania sama zapraszała Sylwana, podsuwała mu kurczęta, nakładała pierogów, dolewała śmietany, a uśmiechając się białemi ząbkami, patrząc nań śmiało czarnemi pałącemi jak żar oczyma, wprawiała go w niepokój niewysłowiony. Sylwan, wychowaniec miast, cudzoziemiec wśród kraju, elegant z wielkiego świata, ujęty, oczarowany wdziękiem prostego dziewczęcia, to się śmiał z siebie, to się łapał na bardzo czułych grzecznościach dla wieśniaczki, w bardzo znaczących wejrzeniach ku pannie Kurdeszance.

Mimowolnie bytność jego w Wulce prawie do nocy się przeciągnęła, i gdy siadał na koń, wypro-

wadzony na ganek przez całą ludność dworku, bo i stary Kurdesz, i Frania, i Brzozosia, i Agata, i Horpyna, i Hrycko ze stajni, i gumienny z za węgła, wyglądali wszyscy na pięknego panicza; księżyc już w pełni majestatycznej wypłynął był na niebiosa.

Szlachcic sam chciał strzemię przytrzymać JW. grafowi, ale Sylwan nie dozwolił na to, skoczył dosyć lekko na anglika, dał z nim ogromnego susa, i pokłoniwszy się raz jeszcze czapką i okiem śmiejącej Frani, jak burza wyleciał przez wrota wsród niespokojnych naszczekiwań starego Rozboja.

Za nim Janek, masztalerz pana grafa, pospieszył także pędem na bułanym, tęgo podchmielony i wesoły jak pan. Ma to do siebie przyjęcie szlacheckie, że tu i pana, i sługi, i konie, i psy gdyby były, serdecznie przyjmują, karmią, poją i bawią. Byli o kilkaset kroków od dworku, a już Jankowi język świerzbiał, i zbliżywszy się nieco do panicza, chrząknął naprzód dla zwrócenia jego uwagi, a potem szepnął:

— Oto JW. panie, aż miło!

— Cóżto ci tak miło, Janku?

— Bodajto bywać po szlachcie JW. panie, to i koniom i ludziom wygoda: przyjmują jak rodzonego brata, karmią, poją, chuchają. Wszakto mnie sama panienka i ta jejmość tłusta wynosiły na talerzu pierogi i dwa razy słodką wódką częstowały.

— Wódka jak widzę bardzo ci się pudobała?

— Nie tyle JW. panie wódka, bo tego i w karczmie za swój grosz dostać można, a człek z łaski pańskiej nie goły, — jak ludzie...

— A cóżto u nich tak osobliwego znalazłeś? — spytał Sylwan na przekorę.

— Dobre, jak Boga kocham, ludziska. A panienka, a! jak malinka!

— Ładna, myślisz?

— Jużciż nie powie i JW. pan, że brzydka. Ot! jabym panu radził tu i częściej bywać.

— Ho! a po cóż?

— Jak-boto JW. panu ciężko dziś mnie rozumieć?

Sylwan się roześmiał. — Jaki-bo ty dzisiaj jesteś poufały!

— Kiedy JW. pan pozwala.

— Pleć sobie pleć, a cóż mi to szkodzi?

— Ot takbyśmy mieli sobie gdzie wesoło wieczorynki przepędzać, byliby nam radzi. Panna caca, laleczka, ludzie jacyś dobrzy, i jabym tu sobie może co znalazł, i wolałbym jak latać po budnikach i po tej hołocie szlachcie czynszowej, za ich niezdarnemi dziewczyskami.

— Cicho głupcze!

— No! a jak cicho to cicho! — rzekł Janek trochę zmarkocony, że mu kazano milczeć, gdy najbardziej mówić potrzebował. Ale niedługo wytrwał w postanowieniu milczenia, i znowu się rozchrząkał i znowu począł półgłosem:

— Oj! co panna to panna.

Sylwan roześmiał się na całe gardło.

— Chwała Bogu, JW. pan się śmieje, widać że mam racją.

— No! cóż tedy dalej Janku?

— A co ma być dalej? jeździlibyśmy sobie cichuteńko, jeździli ażby się nam sprzykrzyło.

Sylwan nic nie odpowiedział, a co myślał, porozumiemy lepiej, gdy go poznamy bliżej.

Wcale inna, choć nie mniej żywa rozmowa zajmowała w Wulce Brzozosię i Franię. Kurdesz słów kilka przemówiwszy po odjeździe młodego Dendery, poszedł do swojej izdebki spóźnione odmawiać modlitwy. Naprzeciwko w pokoju Frani zasiadła Brzozosia na kuferku, i wpatrując się oczyma macierzyńskiemi w swoją wychowanicę, okazywała wielką ochotę puszczenia sobie cugłów w domysłach i projektach. Twarz jej wydawała niezwykłe poruszenie, usta podrygiwały wsród milczenia, oczy wlepiały się we Franię, ręce tajemniczemi zajęte były gestami; nie mogąc jeszcze mówić do panienki, poczynała już rozmawiać sama z sobą. Niedługo to trwało, bo i jej ciężko było dotrzymać milczenia.

— Otóż chwała Bogu i kawaler! — odezwała się nareszcie, wjeżdżając bramą zwycięzką od razu.

— Gdzie i jakiżto kawaler, Brzozosiu? — spytała Frania.

— Ot jest! nie udawajże proszę. A dzisiejszy?

— Dzisiejszy! cóż on do nas ma? Jak wiesz przyjechał do ojca i nic więcej, i tyleśmy go pewnie widzieli.

— Mniejsza o to, z czem i po co przyjechał, ale z czem odjechał, to ja wiem, — dodała znacząco kiwając głową.

Frania się uśmiechnęła i szepnęła tylko:

— Co ci się też śni, Brzozosiu! Zapominasz co my a co on!

— Ot jest! a gdybyto był nietylko graf, ale i sam książę jaki! — obruszyła się gorąco poczciwa Brzozosia, zrywając się z kufra na którym siedziała. — No, to cóż, to cóż? Alboto hrabiowie i książęta nie żenią się ze szlachciankami? czy to pierwszyzna?

— Cha! cha! nieoszacowana Brzozosia już nas i pożeniła.

— No! czemużby nie?

— Ale zmiłujże się, on o tem ani pomyśleć nie może... A...

— A! przepraszam! to jeszcze zobaczymy! Chybaby był ślepy, i z pozwoleniem, nie do niego mówiąc, głupi. Nie pochlebiając, takiej drugiej jak moja Frania nie znaleźć jak grzyba nad drogą.

— Zapomniałaś Brzozosiu, że panowie to insi ludzie; samaś mi o tem mówiła, że u nich inny obyczaj, inny gust, i wszystko inaczej jak u nas. Inny świat!

— Inny świat! bałamucisz. Alboto jest dwa czy trzy światy? Banialuki Franiu! A co go tu przyniosło jeśli nie przeznaczenie? Hę? Jak ciebie zobaczył, już ja o resztę jestem spokojna. Otóż mamy sobie kawalera chwała Bogu, i co się zowie.

Roztropniejsza Frania uśmiechnęła się, nie dopuszczając tej myśli zupełnie, choć ona jej pochlebiała; ale Brzozowskiej już z głowy tego wybić nie było można.

— Skorzystałam — dorzuciła szybko — i wypytałam się tak, niby nic, o wszystko a wszystko, tego pana Janka podpoiwszy odrobinkę. Otóż możeś ciekawa tych hrabiów?

— Ale moja Brzozosiu, do czego nam to wszystko?

— No, dajmy na to, że aby gadać, cóż to zaszkodzi?

— Tak, to co innego. A cóżeś się dowiedziała, kochana Brzozosiu?

— Tylko słuchaj uważnie. Najprzód, że nasz pan kawaler...

— Nasz! znowu nasz? Moja Brzozosiu!

— A już że nasz, to nasz — żywo potwierdziła stara — ale to mniejsza. Ma tedy naprzód ojca pana grafa. O nim tośmy już i dawniej słyszeli: człowiek bardzo

bogaty, wiosek kilkanaście, pałacy, ogrody, pieniędzy huk i z miny pan całą gębą.

— Widzisz sama Brzozosiu, gdzieżby taki pan mógł synowi pozwolić...

— Ale nie przerywajże mi kochanie, ja nic nie myślę. Widziałam go w kościele, zdaje się poczciwy człowiek i dobry, łagodny, miluchny, uśmiecha się i kłania do każdego. Potem ma matkę, anioła dobroci, dobrą a przedobrą kobiecinę, niezmiernie przywiązaną do męża i do dzieci. I ta jeszcze ma matkę, wielką panią, bardzo szanowną i poważną co się zowie matronę, znać jeszcze że była dawniej piękna. Znałam ją w młodości, była za kasztelanem Maryckim i mieli niegdyś wielką fortunę. Trzeba wiedzieć jak ją wszyscy honorują, jak przed nią padają. Oprócz naszego kawalera jest jeszcze córka, śliczna panienka, widujemy ją w kościele; musiałaś uważać, słuszna, poważna blondynka, czegoś niby smutna i dumna, ale jej z tem do twarzy. Mieszkają wszyscy w Denderowie; nieraz może, kochanie moje, jadąc z Wulki do Łasiniec, widzieć musiałaś nade drogą wielki pałac Denderowski, w drzewach, w klombach nad stawem. Otóżto tam rezydencja ich pańska.

Frania ruszyła ramionami.

— Ale moja Brzozosiu, ten twój kawaler, jak sama widzisz, milionowy pan, hrabiątko; jemu się i nie śni o mnie, a ja...

— Ale mnie się śni, i co się śni to wyśni. Milionowy czy nie, grafiątko czy książątko, co komu do tego; ja co wiem to wiem, i kwita.

A widząc że Frania nie bardzo się broni poddawanej myśli, Brzozosia wyszła z pokoiku zostawując ją samą, poszła rozmawiać z Agatą i Horpyną, a dziewczę

z myślami siadło marzyć w okienku. Sparta na ręku Frania, mimowolnie gnała dumą za pięknym chłopcem który dla niej był tak grzeczny, może więcej niż grzeczny tylko; przypominała co jej mówił, zastanawiała się nad tem jak na nią patrzał, rozbierała przywitanie i pożegnanie, i każde słowe i każdy ruch jego. W ostatku pytała się smutniejsza poglądając w okno, powróci on czy nie? przyjedzie on znowu do Wulki? zobaczę go ja, czy już nie zobaczę?

A coś jej mówiło w głębi duszy, że powróci, przyjedzie, że go zobaczy, i koniec końcem ledwie już nie uwierzyła Brzozowskiej, budując na przelotnych odwiedzinach trzpiota, całą zaczarowaną przyszłość. Tak ptaszki, Frani lekkością podobne, gniazda z puchów ścielą, łapiąc je wiatrem z pod skrzydeł; tak dzieci biegną za bańką mydlaną; tak nieraz starsi i rozumniejsi na myślach, domysłach, nadziejach, sadzim przyszłość naszę! Wiekuiste dzieci!

My rzućmy marzącą Franię i żywo rozmawiającą Brzozosię, która serjo kłopocze się już, zkąd weźmie rozmarynu dla swej panny-młodej, a zwróćmy się do starego Kurdesza, którego bliżej poznać potrzebujemy.

Jego wiek i siwizna już go nam w części odmalowały. Zabytek to innego życia, innego społecznego porządku, wyraz innych przekonań i pojęć, wyjątek wśród nowego świata, który nań patrzy z szyderstwem, litością, z zadziwieniem. Jak strój Kurdesza, tak serce i myśli nie do naszych należały czasów. Wśród współczesnych sobie młodszych od siebie, byl on jak człowiek, któryby zasnął na pół wieku i obudził się wśród obcych, nieznajomych. Nikt jego, on już nikogo nie pojmował: tak szybko, dziwnie, piorunowo, wszystko

się dokoła przewróciło, zmieniło. Kurdesz żył jeszcze zapasem starym, pamiątkami swemi, modlitwą, miłością dla dziecka, a odrobinę nadzieją, że dawne czasy powrócą. Ale cóż wraca na świecie? — wiosny tylko i lata, ale nie ludzie i czasy! Jego stary porządek i obyczaj tak mu się wydawał przedziwnym, że się zawsze spodziewał, iż ludzie po gorżkich doświadczeniach do niego i jego niechybnej aryngi powrócić muszą.

Życie jego nie miało w sobie nic nadzwyczajnego; owszem, przeszło jak tysiące innych tamtej epoki. Rodzice, uboga a pracowita szlachta, mieli ich dwóch a córkę trzecią. Na maleńkiej wioseczce była to gromadka, która starego Kurdesza ojca, cześnika międzyrzeckiego, niepokoiła. Potrzebowali losu, i jak skoro dorośli, ze szkół jezuickich poszli oba młodzi Kurdeszowie w usługi pańskie, na dwory zdawna przyjaznych Kurdeszom familij, pańskiej, jak mówiono klamki się trzymać. Trzeba wiedzieć, że szlachectwo Kurdeszów było stare, że niegdyś byli to ludzie majętni, a nawet wysoko skolligaceni. Jedna Kurdzeszanka była za Kostką, jedna Leszczyńska za Kurdeszem, a dziad ojca pana Jacka miał za sobą kniaziównę Mirską. Przez pamięć tych związków, rody spowinowacone z Kostkami, Leszczyńskiemi, Mirskiemi, chętnie się zajęły losem młodych chłopaków, którzy opuściwszy rychło ojca, poszli dosługiwać się przyszłości swojej. Siostra poszła za mąż młodo, za niejakiego Szczerzeckiego, i bezdzietnie zmarła; starszy brat pana Jacka, spadłszy z konia na polowaniu, skaleczał naprzód srodze, chyrlał powróciwszy do domu, i nabiedowawszy długo, nareszcie życie skończył. Cześnik międzyrzecki mając już tylko jedynaka pana Jacka, a sam postarzawszy, wzywał go bardzo do do-

mu, potrzebując pomocy i wyręczenia, ale panu Jackowi zasmakowało życie dworskie i wojskowe.

Nadeszla konfederacja barska. Z panem opiekunem swym poszedł do niej pan Kurdesz: ustąpił potem z kraju z innemi, błąkał się długo, i nierychło schorzały, ranny, odarty, ledwie poznany, do rodzicielskiego domku się przywlókł.

Tu już ojca ani brata nie zastał, stara matka tylko sama na Wulce gospodarowała, i mimo niemałych trudności, bijąc się z tysiącem kłopotów, dla syna, którego wyglądała uparcie i spodziewała się zawsze, nawet gdy go umarłym głoszono, przysposabiała spoczynek swobodny. Znalazł on Wulkę w najlepszym stanie: zapas wszędzie, dostatek i grosiwa uzbieranego worek niemały. Z żołnierza najlepszy gospodarz, jeśli nie najgorszy. Pan Jacek wyzuty z nadziei służenia użytecznie krajowi z szablą, począł gospodarzyć zawzięcie, a powiodło mu się nad miarę szczęśliwie.

Stara matka już tylko wypoczywała modląc się, a codzień narzekając i płacząc, że ojciec nie dożył powrotu syna i nie pobłogosławił mu jeszcze. Pragnęła koniecznie doczekać wnucząt, i silnie namawiała na ożenienie; ale pan Jacek nie dawał się przekonać, a nic nie odpowiadając, odszedł milczący zawsze, ilekroć go zaczepiła o małżeństwo. Domyślała się staruszka, że to nie było bez kozery, że gdzieś, jak mówili starzy, na pańskim dworze zaszłapał. Ale gdzie? jak? — żywa nie wiedziała dusza.

Nierychło wreszcie, nierychło jakoś, konfederat pokiereszowany, zeszpakowaciawszy już, dał się nareszcie namówić i ożenił się.

Stara matka napłakawszy się z radości na weselu,

nie doczekawszy upragnionych wnuków, może ze wzruszenia i wielkiego szczęścia, poszła do lepszego życia, do którego ciągle się przygotowywała. Niebawem potem i żona pana Jacka, poczciwa, pracowita a skromna kobiecina, zostawując mu córkę, świat także pożegnała.

Prawda, że nierychło się do niej przywiązał i ożenił niebardzo ochoczo; ale za to jakże ją kochał serdecznie, jakże jej stratę opłakiwał! Osamotniony wpadł był nawet pan Kurdesz w melancholią, która niemal rok cały trwała, potem widok dziecięcia i skłonność do pracy przemogły. Rzucił się znowu czynnie do gospodarstwa, i tak skutecznie pracując, starzał powoli do reszty. Niemłodo się był ożenił, teraz smutek szybko siwiznę zasiał coraz gęstszą i marszczkami poorał czoło.

Na dziecku naprzód, potem na majątku Pan Bóg mu poszczęścił: Frania urosła na śliczne dziewcze, a z Wulki, maleńkiej wioseczki, któraby ledwie innego utrzymać potrafiła, Kurdesz z ładem i oszczędnością uciułał kapitalik wcale piękny. Wulka niewiele wprawdzie przynosić mogła, ale jakież były i potrzeby jego? Żył tem, co dał zagon własny, mało co kupując do domu, a strzegąc się wydatku gotowego grosza. Jeden wózek i bryczka służyły od niepamiętnych czasów: konie rodziły się w domu, suknie były jeszcze po dziadach, porządek domowy stary, a pieniądz przypływający wedle starodawnego obyczaju zaklęty, składał się zaraz na kapitalik.

Procenta od niego nie przeżywały się nigdy przy zaprowadzonej oszczędności i skrzętności, dokładano je do sumy, i tak powiększała się ona ciągle i coraz znaczniej.

Kapitalik pana Jacka także *more antiquo*, bo tego

pilnował się nasz szlachcic we wszystkiem, wedle tradycyj domowych nie mógł się ulokować gdzieindziej i inaczej, jak u wielkiego pana na prowizji. Rodziny przyjazne Kurdeszom, skoligacone z niemi, powymierały, pogasły, lub oddaliły się z kraju: trzeba było bliżej siebie szukać lokaty, a zawsze u jaśnie wielmożnych. Trafił się w pobliżu graf Zygmunt-August Dendera, szumnie żyjący, obszernych włości dziedzic, którego dom, reputacja, sposób życia, a w ogóle państwo, olśniły biednego szlachcica; i dwakroć stotysięcy złotych już spoczęły w szkatule hrabiego, dwakroć w pocie czoła zapracowanych na Wulce: przyszły posag Frani.

Pomimo codziennie powiększającego się majątku, życie szlachcica wcale się nie zmieniło, a Kurdesz kłaniając się do kolan i uboższym i mniej od siebie wartym paniczom a trzpiotom, uważał się zawsze za najniższego sługę ich i brata. Mało kto wiedział o jego funduszach dokładniej, gdyż Kurdesz nie tylko się z niemi nie chwalił, ale je raczej tail. Domyślano się wprawdzie po ścisłej oszczędności, że zapas mieć musi niezgorszy: ale nikt ściślej nie mógł wyliczyć, o ile się jego fortunka powiększyła zabiegami i skrzętnością. Piękna Frania miała już z sąsiedztwa kilku gołych konkurentów do pięknej swej rączki, ale tych pan Jacek bez ceremonii poodprawiał. Z daleka tylko kręcili się koło niej chłopcy, a stary szlachcic poglądał na nich okiem bacznem, nie dając się bardzo przysuwać do córki. Co się tyczy bowiem małżeństwa, wcześnie jej zapowiedział, że sam nad niem czuwać będzie. Zresztą miała ona zupełną swobodę w domu i za domem, i gdyby z niej korzystać chciała, przywiązany do niej i zakochany w jedy-

nem dziecięciu ojciec, nie śmiałby się może tak surowo jak obiecywał sprzeciwiać. Ale dotąd Frania żartowała sobie swobodnie ze wszystkich, i wyżej myślą sięgając: bo wszystkie kobiety do wyższości pociąg mają. W tych co ją otaczali nie upatrzyła nikogo, i zdawała się czekać na swego.

Brzozosia też ciągle jej wróżyła coś nadzwyczajnego, i widzieliśmy już, jak niespodzianie wróżbom jej przypadek dał cień prawdopodobieństwa. Staremu szlachcicowi i przez głowę nie przeszło, żeby młode grafiątko mogło z płochą myślą spojrzeć na jego donię. Widział się nadto daleko od Denderów, a zbyt był znowu dumnym, by o czemś mógł roić między niemi a sobą podchwyconem i wymodlonem.

W niedzielę przypadały szumnie zawsze i uroczyście obchodzone imieniny hrabiego Zygmunta-Augusta Dendery, na które z daleka nawet zjeżdżali się chciwi zabawy panowie, półpankowie, szlachta dostatnia i w różny sposób znajomi lub przyjaźni solenizantowi. Dom hrabiego obszerny bardzo i dla gości wygodny. Wszelkiego rodzaju zabawy, a przedewszystkiem karty; dla młodzieży muzyka i tańce, dla starszych gawędka, wino stare i kucharz wyborny, nęciły na ten dzień wszystkich do koła o mil dwadzieścia. Hrabia przywiązywał pewną wagę do tego, żeby mieć w dniu tym jak najwięcej gości; w najlepszym był humorze, gdy ich pomieścić nie mógł i rywalizował z dalekim sąsiadem swoim równie bogatym panem Zagrobskim z Wilczyna o to, kto więcej mieć będzie przyjaciół półmiskowych, karcianych i kielichowych u siebie. Nie wahano się nawet, choć to nie jest we zwyczaju na imieniny, zapraszać lepiej znajomych, dla zwiększenia ciżby.

Denderów, stolica Zygmunta-Augusta hrabiego Dendery, od lat pięćdziesięciu podobno uhrabionego w Galicji (gdyż i tam miał dobra, a w Galicji wszyscy hrabiowie, i najbiedniejszy już choć *Ritter* być musi),

nazwany został nie dawno, by Zygmunt-August miał przyjemność pisać się na Denderowie Denderą, co jakoś brzmi majestatycznie i poważnie. Niektórzy przypominali jeszcze dawne jego miano nie zbyt mile brzmiące: zwał się bowiem Hołochwastowem. Postawiony ogromny pałac z kolumnadą dorycką, założone ogrody, wykopane stawy, urządzone austerje, powznoszone dla oka z facjatami białemi różnego rodzaju walące się z tyłu budowle, czyniły tę mieścinę zdaleka czemś lepszem, niżeli była w istocie. Oprócz klucza Denderowskiego, miał jeszcze hrabia dwa inne, i dobra w Galicji, o których z powodu oddalenia i granicy, różni różnie mówili. Byli tacy, co tych dóbr znaleźć tam nie mogli; drudzy małą je wioszczyną odłużoną zwali: hrabia szeroko o swem *państwie* na Rusi rozprawiał. W życiu, w charakterze, majątku Zygmunta-Augusta Dendery, pełno było nieprzebitych tajemnic. Nie będziemy ich przed czasem usiłowali zgadywać; powiemy tylko dla przygotowania nieco czytelnika, że żył na największą stopę, uchodził za bardzo a bardzo bogatego, za spekulatora, i miał dotąd kredyt wielki, że postawę miał pańską (głowę do góry), dom pański, wreszcie pozornie był nadzwyczaj otwarty; ale ludzie bliżej oswojeni mówili, że skryty był dla najbliższych nawet.

Wedle wiadomości powyżej nam udzielonych przez dobrze zainformowaną Brzozowską, wiemy już, że miał syna i córkę, żonę i matkę żony, żyjących. Wszystkie te osoby wkrótce bliżej poznamy.

Syn Sylwan już nam znajomy, który z rana dopiero w niedzielę po przejażdżce swej z ojcem się spotkał, w pół siedział, w pół leżał obyczajem młodych ludzi naszego wieku, na kanapie w pokoju ojca. Poprostu

mówiąc, rozwalił się bez ceremonji. Ubrany był w kraciastą krótką kurteczkę, podobne szerokie spodnie i długą takąż kamizelkę; w ustach miał cygaro zagasłe, rękę jednę na boku opartą, drugą we włosach długich, i raźnie, szumnie na tył zarzuconych.

Ojciec, słusznego wzrostu mężczyzna, barczysty, silnej budowy ciała, chodził z długą fajką po pokoju. Twarz jego bez wyrazu w tej chwili, gdyż w razie potrzeby dopiero przywdziewała maskę stosowną, chmurna była tylko i zasępiona, jak gdyby się nudził.

Blady, z oczyma czarnemi ostro poglądającemi, z podgolonemi bakembardami, trochę podłysiały, z brwią namarszczoną i usty wydatnemi: hrabia jak widać usilnie musiał pracować, by sobie wyrobić hrabiowską powierzchność i fizjognomją, *le physique de son rôle*. W istocie miał tylko minę miernego aktora na teatrze małego miasteczka. Mowa jego była deklamacyjna, głośna, krzykliwa, niezmiernie stanowczo decydująca, wejrzenie rozkazujące, uśmiech protektorski, chód tragiczny, rzuty głowy bohaterskie. Ubrany w szlafrok jedwabny w złociste kwiaty, na dnie jasnem rzucane, w czapeczkę haftowaną wytwornie, w pantofle tureckie: przechadzał się po dywanie swego pokoju, kiedy niekiedy biorąc do ust bursztyn ogromny cybucha jaśminowego, to znów puszczając go w zamyśleniu. Syn ziewał zarzucając włosy na tył, poglądał na ojca i czekał poczęcia rozmowy, z zaniedbaniem właściwem dobrze wychowanemu młodzieńcowi, który się nauczył szanować tylko jednego siebie, i w obec ojca nawet, całą swą niezależność i indywidualną stara się zachować swobodę.

— A cóż hrabio Sylwanie — odezwal się ojciec sto-

jąc naprzeciw syna (gdyż ojciec i syn tytułu sobie hrabiowskiego nawzajem odmawiać nie widzieli powodu, nawet w potocznej między sobą rozmowie) — a cóż? byłeś u mego szlachcica w tej Wulce?

— A! byłem!

— Prosiłeś-że go grzecznie, jakem ci mówił?

— Prosiłem! — uśmiechając się i gładząc wąsięta, odpowiedział młody hrabia.

— Ale byłżeś grzeczny? — z przyciskiem zapytał Zygmunt-August.

— Cóż to za pytanie? hrabio!

— Bo widzisz, nie zawsze jesteś równie grzeczny, a z tą drobną szlachtą, nie wiesz, jak po śpilkach! *C'est si susceptible!*

— A czyż nie wiem? Ale się wszystko odbyło wybornie: jadłem przypalone i surowe kurczęta z kwaśną śmietaną, *un mets champêtre*, z sałatą zalaną słoniną, jadłem pierogi, oglądałem konie pana Kurdesza. *Que voulez-vous de plus?*

— No! a chwaliłeś-że je?

— Naturalnie! I ma w istocie jednę klacz siwą polsko-wschodniego rodu, bardzo ładną, bardzo ładną.

— A nie darował ci jej? — zapytał stary hrabia.

— Myślałem, *qu'il aura le bon esprit de le faire*, ale nie.

— Spodziewam się jednak, że ci okazać musiał i radość i wdzięczność, żeś go odwiedził.

— Jak mógł i umiał, ściskał za kolana.

— Widział-żeś i córunię?

— A jak-że, i siwkę i córkę.

— Cóż to za stworzenie: mówią, że to ładne?

— Tak! ładna! jużciż ładna, ale to proste dziewczę,

daleko dziksze i mniej cywilizowane, niż garderobianne mojej matki, które czytają romanse pana Sue.

— Spodziewam się — rzekł z uśmiechem ojciec.

— Szlachcic naturalnie przyjedzie.

— *Cela va sans dire.* Dziękuję ci, żeś mnie posłuchał i był grzeczny!

Syn dym tylko puścił zapaliwszy cygaro, poprawił je, rzucił się głębiej na kanapę i założył nogę na nogę. Ojciec mówił po chwili:

— Będziemy dziś mieli mnóstwo osób różnego stanu, sfery, znaczenia i położenia towarzyskiego.

Syn patrzał tylko ziewając, i czekał co mu dalej ojciec powie.

— Mój Sylwanie — kończył Zygmunt-August Dendera — staraj się być zawsze i wszędzie dla wszystkich uprzedzającej grzeczności.

— Albóż kiedy byłem dla kogo niegrzecznym?

— Tego ja nie mówię: ale jest wiele cieniów i odcieniów grzeczności, mój hrabio.

— Ile osób, tyle grzeczności.

— Masz poniekąd słuszność, ale trzeba być dla wszystkich w swoim domu niezmiernie radym gospodarzem, nadskakującym, uprzedzającym.

— Nadskakującym?

— Może powiedziałem zanadto — mówił dalej ojciec — ale zrozumiej tylko ogół mojej rady.

— Wszak wiesz hrabio — odparł syn niedbale — że w mojem przekonaniu wszyscy są równi, a urodzenie...

— Daj mi pokój z waszemi nowemi teorjami, mnie już nie nawrócisz.

Młode hrabię uśmiechnęło się tylko. Trzeba albowiem wiedzieć, że dla tonu, dla nadania sobie barwy

wiekowej, po powrocie z zagranicy, Sylwan grał nie źle rolę demokraty i człowieka postępowego. Na czem u niego zależał postęp, dokładnie nie wiemy; zdaje się, że on sobie sam z tego nie umiał czy nie chciał zdać sprawy. Grał, pił, jadł, hulał jak wszyscy, z tą różnicą, że wszystko to czynił jakoś od niechcenia, znudzony, ziewając i z wielkiemi tony. Mówił przytem wiele o równości ludzi, postępie, duchu wieku, a mimo to, rył sobie wszędzie herby: na biletach, na guzikach, na cygarniczkach, na liberji swego grooma i lokaja, na uprzęży koni, strojąc w nie rzeczy, zwierzęta i ludzi. Niższych od siebie, (w swem przekonaniu) nie miał za Boże stworzenie; nie wadziło mu to jednak rozsiadłszy się na kanapie, głośno i bardzo szumnie rozprawiać o postępie, o cywilizacji, o barbarzyństwie naszego kraju, o ucisku włościan, o przyszłym upadku wszelkiej arystokracji. Ale to była farba tylko. Ojciec, któremu pochlebiała ta mniemana w synu wyższość umysłowa, i nowe niby a najświeższe doktryny, cieszył się z nich dla Sylwana, jak by się pysznił nowym jego frakiem lub końmi. Pysznił się tedy stary hrabia słuchając, jak trzy po trzy rezonując syn, dorabiał się opinji sensata, polityka, reformatora; pozwalal na te niewinne hulanki językowe i podsycał nawet argumenta Sylwana swoją lekką opozycją, kończącą się zawsze wykrzyknikiem:

— Mów ty sobie co chcesz, jam już za stary, bym zmienił sposób widzenia: i położenie nasze w społeczeństwie, i imię, i związki rodowe obowiązują mnie dotrzymać placu na starem stanowisku mojej familji.

W tej chwili będąc sam na sam we cztery oczy hrabiowie, stary i młody, nie widzieli potrzeby w długą się wdawać rozprawę, którą oba już po wielekroć po-

wtórzyli, a która ich nudziła. Ojciec puścił dym z cybucha, syn ziewnął, i zamilkli.

— Kogóż się spodziewamy? — spytał Sylwan po chwili.

— Jak zwykle wszystkich — odparł dumnie ojciec.

— A więc tłumu?

— Sto, półtorasta, dwieście osób może, kto wie!

— Taki zgiełk mnie nie bawi — rzekł melancholijnie młody.

— Dziwna rzecz: wy młodzi teraz młodych gustów nie macie.

— Starzyśmy głową i sercem.

— Tem gorzej.

— Tem lepiej ojcze, nie spotkają nas zawody.

— Cóż z sobą robisz rano? — odwracając rozmowę przerwał ojciec, niechcąc napróżno szafować argumentami, które się na wystawę przy ludziach przydać mogły.

— Ja? Albo co?

— Bo ja mam jeszcze liczne zajęcia.

— Pójdę do siebie.

To mówiąc Sylwan, wziął czapkę ze stolika i nie spojrzawszy nawet na hrabiego ojca, oddalił się świszcząc piosenkę.

Ledwie wyszedł, hrabia zadzwonił; ukazał się lokaj wygalonowany, w paradnej liberji.

— Pana Smolińskiego!

— Słucham JW. grafa, zaraz...

Drzwi się zamknęły, a po chwilce zawołany wszedł pan Smoliński.

Byłto plenipotent i rządca klucza, i totumfacki hrabiego, jeden co jego zaufanie posiadał do pewnego stopnia, znał jego kieszeń i interesa, z którym często kłó-

cił się hrabia pozornie, ale zawsze w najlepszej żył zgodzie.

Byłato figura wszechmocna, przed którą drżeli wszyscy: syn, żona, córka, a najbardziej ci, co mieli interesa z panem hrabią. Hrabia bowiem mimo wielkiego majątku, jako spekulant miał też ogromne interesa.

Smoliński był wieku hrabiego, miał lat pięćdziesiąt kilka, mały, chudy, przygarbiony, twarz lisa i wilka zbite i złączone w jednę; pokorny jak żebrak, zły jak pies na łańcuchu, kłamca jak kalendarz. Na łysej głowie troszka włosów bezbarwnych zwijały się pokręcone w różne strony bez pewnego projektu, nie myśląc pokryć nawet dojrzałej brudnej łysiny. Niżej pod czołem wysadzonem na przód, błyszczało coś nakształt burych oczek, których wejrzenia złapać było niepodobna; usta pokrzywione w fałdach twarzy się zaszyły, uszy tylko ogromne białe, jak pargamin sterczały z dwóch stron dobitnie. Wszedł i zbliżył się zaraz, oglądając się za siebie, aż do gabinetu krokiem śmiałym, bez żadnej ceremonji, ukłonów i uniżeń, z miną człowieka, który doskonale jest przekonany, że się bez niego obejść nie można.

— A co? — spytał go hrabia.

— Względem czego?

— Interes z Pęczkowskiemi?

— Ułoży się.

— Bardzo krzyczą?

— Jużciż, jakby nie krzyczeli! ale zawsze tylko na mnie.

— No! to jeszcze nic.

— Tak! to nic — śmiejąc się i zacierając ręce rzekł Smoliński — wszystkiemu ja winien.

— Ale trzeba im zapłacić.

— Trzeba i nie trzeba: zgubili oblig, był nie oblatowany. Masz pan zwykły swój sposób na to. Jeźli zapłacimy to nierychło, a co procentu to ani myśleć dawać.

— Słyszę że ktoś idzie; wyjdź drugiemi drzwiami, poczekaj w gabinecie aż cię wezwę.

Smoliński widać przywykły do podobnych wycieczek za kulisy, uszedł bardzo zręcznie, wyciskając się przez małe drzwiczki, a w tejże chwili lokaj zameldował pana Pęczkowskiego.

— Prosić! prosić! — rzekł hrabia głośno, przybierając minę poważną i biorąc w rękę długi papier i suche pióro, jak gdyby dopiero od pracy wstawał.

Po chwilce wszedł pan Pęczkowski, szlachcic we fraczku, choć to była dopiero godzina dziesiąta, zapięty, w rękawiczkach łosiowych, z czapką pod pachą, zbiedzony, smutny, blady. Poprawił włosów na progu, otarł nogi uważnie, ukłonił się raz i drugi pokornie, niziuteńko, nim wszedł do gabinetu hrabiego.

Hrabia rzucił papier żywo, niby dopiero go postrzegając, rzucił pióro, cybuch i poskoczył krzycząc dosyć głośno i śmiejąc się swobodnie:

— Kochanego Pęczkosia! jak mi się masz? jak mi się masz!

— Nóżki całuję JW. hrabiego.

— Cóż ty tu porabiasz? jakże się masz? a żonka, a dziatki; co tam słychać?

— Zdrowi JW. panie. Bardzo dziękuję za łaskawą pamięć.

— No, siadajże proszę; a z daleka? z domu?

— Z domu JW. panie.

— Cóżto cię w nasze strony sprowadza?

— A cóż, kiedy nie trocha kłopotu,

— Cóżto jest? proszę, mów moje serce, może ci mogę być pomocnym?

— Właśnie do łaski jego...

— Ale mów tylko Pęczkosiu, co to jest, całem sercem.

— Ot takie nieszczęście: łaska to Boża, że interes z JW. panem; chciałem podnieść moję sumke.

— U kogo?

— U JW. pana, bo to...

— A maszże co u mnie?

Szlachcic stanął wryty, osłupiał.

— Daruj serce, Pęczkosiu, mam tyle zajęcia, nie biorę na procenta tylko dla znajomych i niebardzo pamiętam. Ale zdaje mi się, że przypominam sobie coś: tak! tak! tysiąc czy dwa tysiące rubli.

— Dwa tysiące pięćset JW. panie.

— Może być, może być... w istocie...

— Niezawodnie JW. hrabio.

— Nie zapłaciłemże ci w roku przeszłym? — naiwnie zapytał hrabia.

— Nie JW. panie, opóźniłem się z prośbą moją.

— A no! cóż? jeśli masz u mnie, to rzecz święta, idź do Smolińskiego i odbierz...

— Ale JW. panie, wielki mam kłopot, że mi się gdzieś oblig zawieruszył.

— O! o! o! — długo, przeciągle zawołał gospodarz kiwając głową — o! cóż znowu! Ty taki porządny, mógłżeś zarzucić oblig? O! to źle!...

— Przypadek JW. panie, w drodze...

— Jakkolwiekbądź, jest czy nie ma obligu, skoro ci się należy...

— Pan Smoliński najlepiej wie o tem.

— A no! to nie ma kwestji.

— Ale mi robi trudności.

— Zachciałeś! Uchylimy je, to się ułoży, nie frasuj się.

I hrabia usiadł rozpierając się szeroko.

— Ale — dodał — idźże z tem do Smolińskiego, bo ja, jak wiesz, temi drobnemi interesami wcale się nie zajmuję, u mnie tylko massy znaczą, kieruję ogółem. To się załatwi.

— Byłem właśnie u pana Smolińskiego.

— A cóż?

— Robi mi trudności z powodu obligu.

— To się musi ułatwić, skomunikujcie się tylko. Zresztą u mnie dziś dzień tak pełen zajęcia.

— JW. pan pozwoli sobie złożyć życzenia...

— Dziękuję ci, dziękuję kochany Pęczkosiu, będziesz na objedzie, prawda? No! a teraz ruszaj na pewne do Smolińskiego, z nim kończ serce; prawda że czasem ciężki, i mnie nieraz unudzi swoją regularnością zbyteczną, nieraz mi doje, ale w gruncie dobry człowiek.

— Niebardzo jednak łatwy.

— Wierz mi, to się zrobi, to się musi zrobić. Powiedz mu, że byłeś u mnie.

— Ale kiedy chce żebym ustąpił. Jakże ja ustąpić mogę, to jedyny moich dzieci fundusik, JW. graf wie sam, żem go w pocie czoła uzbierał.

— Daruj mi, to nie moja rzecz, rób z nim tylko, traktuj; ułożycie się, dacie radę, a w ostatku ja mu uszy natrę, żeby cię nie szykanował.

— Gdyby JW. pan był łaskaw polecić mu mój interes.

— Z duszy serca! — Zadzwonił.

— Pana Smolińskiego!

Niebawem wszedł drzwiami zwykłemi nie od gabinetu plenipotent, ale całkiem to był już inny człowiek: pokorny, potulny, niby przelękły i zafrasowany, niby ogałuszony pracą, a stanął prawie przy progu.

Hrabia odwrócił się do niego nie poufale jak przed chwilą, ale z tonem rozkazującym:

— Kazałem cię zawołać — rzekł — mój Smoliński; cóż-bo-to znowu robisz z Pęczkowskim? jakieś tam trudności, jakieś ceregiele. Wiesz że ja tego nie lubię, interes powinien się robić prosto, uczciwie, w dwóch słowach, a Pęczkowskiego kochanego szacuję, jestem osobistym jego przyjacielem.

Szlachcic uścisnął i w rękę pocałował hrabiego z radości.

— Kończże to proszę bez tych obrotów, bardzo ci to polecam. — I hrabia znacząco chrząknął. Każdy prócz Pęczkowskiego poznałby łatwo, co to chrząknienie znaczyło.

Smoliński milczał, aż nareszcie odważył się niby wyrzec z ukłonem pokornym:

— Cóżem ja tu winien JW. panie, kiedy obligu nie ma.

— Ale cóż to znaczy, cóż to znaczy!

— JW. pan wie, że ja muszę rachunki złożyć i z wypłat się wytłumaczyć; ja tak wypłacić nie mogę.

— Już jak tam jest to jest: poradźcie się sobie, pokombinujcie i kończcie, niech Pęczkowski będzie zaspokojony, bardzo proszę...

— Żegnam cię Pęczkosiu, bądź spokojny.

To mówiąc hrabia wziął cybuch, papier i pióro, żegnając wierzyciela i plenipotenta.

Zaledwie byli za drzwiami, gdy turkot powozu po

brukowanej drodze dziedzińca oznajmił przybycie gościa, Hrabia wyjrzał: sześciokonna zielona poważna kareta, za nią kocz czterokonny i bryka także czwórką zaprzężona, toczyły się pod pałac. Poznał widać kogo wiozła, zadzwonił żywo i zarzuciwszy na siebie surdut z wstążeczką orderową, co go nigdy nie odstępowała, i wziąwszy laskę pospieszył na dół.

Przybyła z tą pompą, była matka żony hrabiego, na której przyjęcie wyskoczyli wszyscy.

Jaśnie wielmożna z hrabiów Moskorzowskich hrabina Czeremowa. Trzy powozy i czternaście koni wlokły ją jedną tylko i dwór ją otaczający. Po ekwipażach, liberji i krzątaniu poznać było łatwo, jak dalece kazała się szanować i jak ją tu szanowano. Hrabia z odkrytą głową przyjął ją z żoną i córką na ganku, przyklękając prawie, i z uczuciem zbyt silnem, by mogło być szczere, ucałował jej pulchną i białą rączkę...

Hrabina mogła mieć około lat sześciudziesiąt, ale trzymała się dobrze i wyglądała na swój wiek młodo, tylko zbyteczna tusza trapiła ją trochę. Żywe oko czarne dumnem wejrzeniem zbrojne, nosek maleńki i kształtny, usta ściśnięte i zasznurowane z pretensją, drobne rysy wśród ogromnej z wielkiemi wiszącemi podbródkami twarzy, nadawały jej wcale dziwną fizjognomią, i podobieństwo do znanych bardzo wizerunków sławnej w historji postaci. Dość było spojrzeć na nią, by poznać jak się wysoko nosiła hrabina, na jakim chciała stać tonie, jak przywykła była grać rolę wielkiej pani.

Przyjęcie zięcia, córki, wnuczki nie wzruszyło jej wcale: uśmiechnęła się tylko zmęczona i niby czule razem, pocałowała w czoło od niechcenia hrabinę i hrabiankę, kiwnęła głową bardzo zlekka zięciowi, i obwi-

nąwszy się starannie czarnym szalem, zapowiedziawszy niezmierne znużenie, majestatycznym kroczkiem poszła do wyznaczonych sobie na dole w pałacu pokojów. Wszyscy za nią w milczeniu postępowali, otaczając, podtrzymując, drzwi otwierając i wiodąc jak z procesją.

Hrabia, widocznie zimno przyjęty i ani słówkiem grzecznym nie powitany, gdyż przybyła mówiła i patrzała tylko na córkę i wnuczkę, uczuł się trochę dotknionym, i pomimo uniżoności z jaką pożegnał matkę u drzwi jej apartamentu, znać było, iż szukał tylko powodu okazania, iż zrozumiał przywitanie i zadraśnięty był niem do żywego.

Zostawszy sam na sam w sieni, pomyślał chwilę, i wolnym krokiem postąpił ku drzwiom pokojów, do których zajrzał machinalnie, nic nie wiedząc co robi, roztargniony przeszedł je, zawrócił się nazad i skierował ku oficynie.

Pałac w Denderowie był całą gębą wspaniały: na dawne czasy książęcym-by się mógł nazwać; ale dziś, gdy żydzi mają najwięcej pieniędzy, a książęta prawdziwi są bardzo skromni, powiemy, że i żydby nim nie pogardził. Gmach to był piątrowy z salonami mozaikowanemi, z gzemsami złocistemi, z ogromną massą kolumn, kornisz, amorków, gipsatur, z meblami kosztownemi, z galerją obrazów dla proporcji jak sala bilardowa, z mnóstwem bronzów i marmurów tandetnych, ze wszystkiem wreszcie co pałac stanowi. Były w nim apartamenta galowe i codzienne, salony od balów i powszednie, pokoje gościnne wytworne, pokoje państwa, oranżerje przepyszne, i co tylko gdzie u panów najrzał Dendera a potrafił wymałpować. Były niby antyki zwierciadła przeraźliwych rozmiarów, stuki, kandelabry,

stare porcelany, mnóstwo fraszek kosztownych: wszystko to nie żeby dziedzic kochał się w rzeczach tego rodzaju, lub ich dla siebie potrzebował, ale, że tak było u innych, że to widział gdzieś, że tak kazał zwyczaj.

Dość powiedzieć, że nigdy nic nie czytając prócz Paul de Kock'a, hrabia od lat kilku poczuł się obowiązanym mieć nawet bibliotekę. Sprowadzono ją ryczałtowie od księgarza, który ostatki swego magazynu w nią wpakował; na dole tylko, gdy poczęli wszyscy kupować stare książki, postawiono herbarz Niesieckiego, Okolskiego, Paprockiego, Duńczewskiego, kilka kronik i trochę starych świstków i panegiryków, aby się i tem można pochwalić. Zresztą z tych wielkich foliałów słudzy darli bezpiecznie kartki do oprawiania świec i na inne pilne potrzeby. Nikt zresztą do nich nie zaglądał.

Idąc do oficyny, hrabia spotkał się z synem.

— Nie byłeś jeszcze hrabio u babki? — spytał z przyciskiem nieukontentowania ojciec.

— Właśnie do niej idę — odparł syn.

— Z cygarem?

— Rzucę je w progu.

— Gdzie Wacław?

— Nie wiem. Od kilku dni go nie widziałem.

— Zawsze go nie ma, kiedy najpotrzebniejszy, — rzekł gospodarz, i odszedł ruszając ramionami. Syn powolnie, poważnie, szedł dalej ku pałacowi; ojciec opieszałym krokiem, zamyślony, wracał do swoich pokojów.

Dla bliższego zapoznania czytelników z osobami naszej powieści, powiedzmy jeszcze kto był ten Wacław, o którego hrabia syna zapytywał.

Wacław, niewiadomego zupełnie pochodzenia sierota, od lat dwudziestu kilku, jeszcze przed ożenieniem

hrabiego, zjawił się w jego domu, niewiedzieć zkąd i jak. Dziecię to miało być sierotą, synem jakiejś biednej Francuzki,* która do kraju naszego przywędrowała z niem, z powodów nieznanych nikomu i tu go odumarła. Nazwiska nawet matki i ojca nie można dojść było, i hrabia wziąwszy go na opiekę, nazwał Sierocińskim. Powszechnie unoszono się nad wspaniałomyślnością Dendery i sercem jego, wskazując jako dowód miłosierności to dziecko, wychowane starannie kosztem jego, i w domu uważane prawie jak pokrewne. Ilekroć kto z jakichkolwiek przyczyn ośmielił się zarzucić hrabiemu ciężkie traktowanie interesów, nieludzkość w obejściu, dumę, nieprzystępność, brak uczucia; tyle razy przyjaciele Dendery odbijali zwycięzko zarzuty wskazując na Wacława Sierocińskiego, i zamykali usta nienawistnym i złośliwym. Pod pewnym względem za ten dobry uczynek, hrabia sowite odbierał wynagrodzenie w opinii publicznej. Czyn też to chwalebny przytulić sierotę, dać mu nie tylko chleb powszedni, który i pieskom dajemy, ale wychowanie uczciwe, stan pewien i sposób do życia, nie odtrącać od swego towarzystwa, nie okazywać pogardy, nie chwalić się swem dziełem. W hrabi Denderze było to nie tylko piękne, ale dziwne.

Człowiek ten bowiem, jakeśmy już potrosze widzieli, nie był wcale jednym z ludzi zbytecznie przejętych potrzebą dzielenia się z bliźniemi czem miał, i wylewania się dla nich; owszem, wad przeciwnych a bardzo widocznych miał tysiące, a na czele ich jak wódz stał egoizm podniesiony do najwyższej potęgi: duma ogromna, chciwość niepohamowana; serce miał zimne jak kamień i jak kamień zamknięte. Pozory czułości nic go nie kosztowały, ale uczucia w niem nie było; oka-

zywał miłość z obowiązku dla oka wszystkim, których powinien był kochać wedle reguł powszechnie przyjętych, ale nie kochał nikogo.

Przecież Wacław nie doznał od niego, prócz lekkich czasem przypomnień swojego sieroctwa i napomknień o wielkich dobrodziejstwach, jakich doświadczał, żadnej przykrości, jakiejby po charakterze protektora zrazu domyślać się godziło. Wychował się wprawdzie nie z dziećmi hrabiego, bo od nich był trochę starszym, ale jednak dość starannie i z pewną na rozwinienie jego bacznością. Hrabina sama, niezmiernie czuła kobieta, przywiązana do męża jak on był do niej przywiązany, to jest zapamiętale, przynajmniej dla ludzkiego oka: nie lubiła tego wychowańca. Sylwan miał go za mało co, bo się jak on nie wychował za granicą i o wielkich kwestjach socjalnych rozprawiać nie umiał *ex professo*, a miał śmieszną wadę, w oczach Sylwana nieprzebaczoną, że w kraju, co swoje w przeszłości widział wszystko dobrem, pięknem a świętem; w ostatku, że nie szydził i z dowcipu Sylwana nie śmiał się, a nie pochlebiał i nie nadskakiwał mu jak należało.

Sylwan ogłosił Wacława, powróciwszy z Berlina, bez ogródki głupcem.

Wacław nim wcale nie był: wychowany w kraju, bez wielkich, szczególnych, zbytecznych starań, wcześnie uczuwszy, że przyszłość swoję sobie powinien sam zgotować: począł pracować z całą dojrzałością, jaką w dziecinnym wieku często Bóg daje ubogim, i pracował jak sierota. To czego się nauczył umiał doskonale, dokładnie, a nie lubił się z tem chlubić i popisywać, bo zawsze czuł, wiele mu braknie. Smutny, bo osamotniony, zawczasu stał się człowiekiem, i rzec można,

że dzieciństwa nie poczuł, nie poznał: młodość nawet zastała go już poważnym, milczącym, myślącym, a zmuszonym hamować się z każdym popędem, z myślą każdą.

Dodajmy, że miał duszę wielką, rzadki dar Bożych wybrańców, umysł otwarty i serce poczciwe, i aż do zbytku czułe. Wychowanie, położenie, okoliczności, wyrobiły w nim uczucie poetyczne, coś marzącego, coś płodnego w przyszłości, co go uczynić mogło wielkim artystą lub poetą. Talent do muzyki zastanawiający, zwrócił go do niej, i udoskonaleniu się w nim poświęcił wszystkie wolne chwile; ona miała być nadal jego żywotem i żywota chlebem. Lecz gdyby w niej nie widział nawet żadnej dla przyszłości podpory, Wacław byłby muzykiem, bo czuł, że się do tego urodził. Wiemy, jak rozdrażnia młodą duszę to obcowanie ze światem duchów, których językiem, poezją, śpiewem, jest muzyka. Wacław pod wpływem nieustannym swych studjów, rozkołysał duszę i podniósł egzaltacją tajemną do najwyższego stopnia; ale egzaltacja ta nie objawiła się nigdy na zewnątrz, chyba wybuchem przypadkowym jak eksplozja wulkanu. Drogo ceniąc swe uczucia, a bojąc się, by ich świat szyderskim nie przyjął uśmiechem; Wacław krył się z niemi, a milczenie posępne jedynym bylo znakiem tego stanu błogiego razem i męczeńskiego. Uczucia te były jak dzieci, które w chłód matka starannie okrywa, otula, by mróz ich świeżych twarzyczek nie zwarzył.

Postawa i rysy młodzieńca zdradzały w nim coś wyższego; przy Sylwanie wyglądał jak posąg natchnionego Apollina obok młodego Satyra; może porównanie mimowolne powierzchowności przyczyniło się do zobo-

jętnienia dla niego hrabiny i jej syna. Oczy miał szare, wielkie i jakby łzą zaszłe; twarz białą a bladą, na którą tylko jakby płomieniem występowały i znikały rumieńce; usta małe i kształtne, czoło wypukłe bardzo, włos ciemno-blond; a ogół rysów stanowił całość nietylko wdzięczną, ale nawet oryginalną. Ujrzawszy go, musiałeś się odwrócić i spytać: — Kto to taki? — Nie byłato jedna z tych pospolicie ładnych twarzy, jakich tysiące po świecie, ale fizjognomia wyjątkowa, jak wyjątkowy był człowiek. Średniego wzrostu, raczej słuszny niż mały, muskularny, ale nie chudy: w ruchach, w każdym kroku miał jakiś wdzięk wrodzony, coś miłego, ujmującego, co zaskarbia serce ludzkie wprzód, nimeś słowo przemówił, wprzódy nimeś się dał poznać.

Choć nikt nie wiedział o pochodzeniu sieroty, a domysły były bardzo różne: teoretycy arystokracją po szlachetności rysów, po małości ręki, po galbie nogi, po twarzy dochodzący, domyślać się w nim mogli krwi najczyściejszej, rasy bardzo poprawnej. Bóg wie, jakie ztąd około biedaka przędły się historje! Do wielkich cnót sieroty, należała pewna duma, którejby się przecie nikt żywy w nim nie domyślił, ktoby go głębiej, bliżej nie poznał, aż do wywnętrzenia go nie zbadał. Byłto bowiem na pozór człek pokory niezrównanej, cichy, nieposzukujący ludzi, ustępujący z drogi nawet sługom, grzeczny do uniżoności, a niedający z siebie gniewu wywołać nawet obelgą. Wszystko to przecie szlachetna jakaś sprawiała duma. Unikał ludzi, bo się lękał ich szyderstwa, grzecznym był, by ich ująć i rozbroić, a obelgi uważał za daleko niższe od siebie i nie mogące go dotknąć. Źle może nazwałem to uczu-

cie dumą, ale jak-że je określić?

Wiekuisty smutek na czole Wacława, aż nadto jego położeniem i charakterem dający się tłumaczyć, pochodził także z ciągłego dumania o sieroctwie. Napróżno on dotąd szukał sobie po świecie rodziców, lub domysłu o nich; napróżno badał ludzi, dowiadywał się, śledził: jedyny może co by lepiej mógł wiedzieć o tem, stary pasiecznik, którego żona wychowała sierotę po śmierci Francuzki, jego matki, wysłany został do dóbr hrabiego na Pobereże i tam jak mówiono umarł; drudzy twierdzili, że żył jeszcze, ale dowiedzieć się o nim nie było od kogo, a hrabia sam nawet tych śledztw i pytań wychowańca nie lubił, i za nie surowo go karcił. Sylwan też się z nich nielitościwie prześmiewał.

Wieść powszechna, mało o sposobie, w jaki się dostał do Denderowa mówiła, a hrabia okoliczności tyczące się sieroty wspominał niechętnie, z przykrością, z wahaniem, z gniewem, co tłumaczono zwykle tem, że z dobrego uczynku chlubić się nie chciał.

Wacław pobożny był jak poeta, jak sierota biedny, nie mając ani krewnych, ani przyjaciół, ani równych sobie; bo któż ze znalezionem dziecięciem, z podrzutkiem jakimś porównać się zechce? Jednego tylko znał Ojca wszystkich w niebie, jedne poufałą rozmowę z nim miał w modlitwie.

Smutek, nieszczęście, są wielkim dla lepszych dusz do podniesienia się bodźcem: one rozbudzają do życia, one je wywołują, one podnoszą umysł i kształcą serce. Dla wielu nieszczęście zastępuje matkę i kołysze do cnoty! Takiem ono było właśnie dla Wacława, który zżył się z niem i winien mu był czem został. Ale wyższości młodego człowieka nad otaczających, jego

wielkich przymiotów, jego myśli skrzydlatych, nikt z ludzi co się o niego ocierali, nie znał, nie widział. Dla nich był to bardzo pospolity, głupowaty, roztargniony zawsze, uparcie milczący człowiek, co lubił muzykę. Rzadko słowo wyrywające się z głębi duszy dobiegło do ich uszu, a i tego (nie spodziewając się) znaczenia nie pojęli, lub nie dosłyszeli nawet.

Ktoś jeden tylko był w Denderowie, co czasem, czasem i rzadko bardzo okiem politowania, zajęcia niby, rzucił na Wacława, ale ukradkiem, ale jakby jałmużną, a nigdy przy ludziach. I za to przecie biedny Wacław wieczną wdzięczność przysiągł w sercu hrabiance Cecylji.

Lecz nim poznamy hrabiankę Cecylją, zdaje mi się, że po starszeństwie, wprzódy się musimy zaprezentowć jej matce i bliższą z nią zrobić znajomość. A zatem: pani hrabina! pani hrabina!... Znacie zapewne wiele na Bożym świecie kobiet fałszywych, bo ich jak mężczyzn fałszywych jest wiele; wątpię jednak, żebyście kiedy widzieli taki typ fałszu, jakim była hrabina. Typ ten tem był znakomitszym w swoim rodzaju egzemplarzem, że nikt ją o nieszczerość, o kłamstwo, o udawanie nie posądzał. Pozornie (oprócz dla wtajemniczonych), był to wzorek cnót towarzyskich, była to kobieta jak anioł łagodna, przywiązana do swoich prawie namiętnie, litościwa do egzaltacji, cała w uczuciu, cała w sercu, a w głębi czcza próżnia w piersi zastępowała to ognisko życia, które się sercem nazywa. Biło tam coś, cicho, powoli, czasem gorąco, ale komu? — mnogiej liczbie wybranych i nikomu razem.

Wszystko w niej było wyuczone, wyrachowane, skłamane od westchnienia do łez, od radości do konwulsji;

równie doskonale umiała w potrzebie zapłakać i rozśmiać się, dostać spazmów, zachorować, patrzeć i nie widzieć, nie słuchając posłyszeć. Tak silnie władała sobą, że nieraz potrafiła w potrzebie pozwodzić lekarzy nawet, udając chorobę. Zimna jak lód, obojętna na wszystko co się jej nie tknęło, umiała otoczyć się blaskiem mnogich nimbusów. Już czterdziestoletnia, wyrobiła sobie piękność wcale jeszcze zajmującą i niepospolitą, melancholiczną, oryginalną; zaoszczędziła swe oczy, kibić, uśmiech, usta, włosy, i jak pospolicie ludzie, co sercem nie żyją, wcale się nie zużyła. Miała na pozór jeszcze wszystkie młodości powaby, aż do dziecinnego czasem trzpiotowstwa, aż do naiwności prześlicznie granej: i niekiedy znowu obwijała się w smutek pociągający, w łzawe atmosfery zamyślenia zdając się mówić: Żałujcie mnie!

Zalotna w miarę, jakby sama o tem nie wiedząc, naturalnie jakoś, zręcznie umiała choćby pięciu razem wodzić za sobą, i wszystkich, nie budząc w nich zazdrości, zaspokoić w różny sposób, nie dając postrzedz oczom obcym żadnego ruchu, żadnego wejrzenia, wymierzonego ku jednemu tylko. W towarzystwie odegrywała doskonale rolę najwyżej podniesionego uczucia miłości dla matki, która dla niej była w istocie mniej niż obojętną, szalonej miłości dla dzieci, czułości dla męża, sympatji gorącej dla przyjaciół, grzeczności wyrazistej, przejętej dla wszystkich. Nikt też powszechniej lubiony (nie mówię kochany) nie był nad nią, wielbiony przez niektórych i żałowany przez wielu; wielu bowiem uważało, że z hrabią, człowiekiem zimnym, dumnym, zajętym sobą tylko i spekulacjami, kobieta tak niezmiernie czuła, szczęśliwą być nie mogła. Ona wszakże

przy ludziach okazywała dla męża przywiązanie pieszczotliwe, które on podobną monetą odpłacał.

W obec ludzi cóżto także była za córka! jaka matka! Cesię swoję nieustannie całowała w czoło, okrywała ją zapobiegliwie od chłodu, biegała za nią, każdy jej krok śledząc, czule podgderywała za najmniejsze narażenie zdrowia; za to gdy były sam na sam z sobą, nie przemówiła do niej, lub zimną przebąknęła przestrogę, a co gorzej, czasem gorzkie czyniła wymówki. Syn, którego w istocie więcej lubiła niż córkę, na pozór był dla niej obojętniejszy; nie chciała bowiem pokazywać, co czuła, i jakby z systemu, choć to było skutkiem bezmyślnym dziwnego usposobienia tej kobiety, kryła zawsze głęboko prawdziwą myśl swoję, nie chcąc jej dać w ręce ludziom: rzekłbyś uczennica Talleyranda.

Hrabina Eugenia, mimo swych lat czterdziestu podobno i kilku, o które bliżsi tylko znajomi posądzić ją mogli, strojna, żywa, wesoła melancholijnie, tańcująca jeszcze, śpiewająca; muzyczka, filozofka, powszechnie była admirowaną i cenioną wysoko. Tłumy wielbicieli otaczały ją zawsze. Dowcip wielki, znajomość świata, pochwytane w lot wiadomostki z któremi zręcznie pochwalić się umiała, rozmowność wreszcie łatwa, czyniły ją w każdem towarzystwie pożądaną. Niezmiernie zręczna i przytomna w konwersacji, nigdy nikogo nie obwiniając, uniewinniając wszystkich, uchodziła za osobę pełną taktu, choć cały ten takt zależał na panowaniu nad sobą, na wiadomości co przy kim i jak powiedzieć, i na starannem ukrywaniu, co się wewnątrz niej działo.

Przy tak zimno-zręcznej matce, przy dumnym a obojętnym ojcu, jaką mogła wyrosnąć Cesia? Bóg nie

dał jej czulszego serca, ani uczuć gwałtownych; wychowanie zgasiło wszystko, co się na wierzch wydobyć mogło innem rozwinieniem. Zgasła, nim rozpłonęła młodością. Byłato stara panna w siedmnastym roku, pani siebie, pani swych wejrzeń i wyrazów, czyniąca już jak matka wszystko z wyrachowaniem i ceniąca najwyżej to, do czego przywykła: zbytki, bogactwo, próżnowanie, błyskotliwe znaczenie u świata, hołdy ludzi, a swobodę dostatków.

Cesia nie miała w sobie zarodu namiętności gwałtownych, ale choć potłumione były w niej instynkta żywotne; w innem ognisku postawiona, wychowana w innej sferze, byłaby się wykształciła inaczej. Lecz mogłaż wyrosnąć żywą i naiwną dziewczynką wśród sznurówek, które na nią kładły obyczaje domu i charaktery otaczających? Dusza jest jak światło: odbija się i mnoży, spotęgowuje' gdy ją otaczający odbijają; w kirem osutem kole świeci blado i przygasa.

Smutne było jej życie: do nikogo pomówić, z nikim się zbracić. Zrzadka rówieśnice jej panienki jak ona młode, ukazywały się w Denderowie, i to na krótko; matka sam-na-sam prawie do niej nie mówiła, ojciec całował w czoło tylko przy gościach, i to gdy ich było wielu. Zabraniano jej związków z cokolwiek niższemi, przyjaźni tak potrzebnych młodości i niewinnych nawet stosunków z rówieśnicami; wysznurowana tylko angielka, przedtem guwernantka, dziś dama do towarzystwa jej dodana, która dobywała u nas do czasu zebrania tysiąca pięćset dukatów, by z niemi powrócić do Anglii i otworzyć sklepik w City, niewiele do uczennicy się przywiązująca, jak uczennica do niej, obojętna na wszystko, co się wkoło niej działo, najbliżej była Cesi

i najantypatyczniejsza dla niej.

Wacław był od roku pobytu w Denderowie nauczycielem muzyki hrabianki, ale przez dumę, przez uczucie tego, co był winien domowi dobroczyńcy, ani śmiałby podnieść oczu na uczennicę swoję. Ona pierwsza z nudów może, może z uczucia jakiego, może z ciekawości zatopiła wzrok pełen zagadnień, w głębią łez pełnych oczu Wacława. Iskra to była budząca życie, choć sama go w sobie nie miała. Cesia probowała jak młody myśliwiec trafności swych strzałów. Wacław nic nie pokazał po sobie, ale w nim burza zawrzała. Burza ta grzmiała na dnie tylko jego serca. Cesię gniewała nieczułość młodzieńca: podwajała rzutów oka, dwuznacznych słówek, przedłużała godziny nauki; ale wszystko nadaremnie.

W oczach ludzi traktowała go Cesia jak hrabianka sługę: nie spoglądała nawet na niego, nie powiedziała mu grzecznego wyrazu, nie uśmiechnęła się nigdy, raziła często jeszcze gorzkiemi przycinki, a przed ojcem i matką szydersko odzywała się o nim. Nikt się też niczego z tej strony nie domyślał.

Ale co się działo w duszy Wacława, Bóg tylko jeden wiedział, a on drugi.

Ku wieczorowi tłumnie zaczęli się zjeżdżać goście. Wacław dla pospolitszych, Sylwan dla nieco dostojniejszych, dla najstarszych i nawięcej znaczących hrabia, stali z powitaniem, starając się ich wprowadzić, umieścić, poznajomić jeśli było potrzeba i połączyć z towarzystwem.

Mówiliśmy już, jak rozmaitego stanu, wieku i położenia towarzyskiego ludzie napływali w tym dniu uroczystym do Denderowa. W tym roku Ś. August był jeszcze świetniejszym niż kiedy. Hrabiowskie i książęce mitry, szlacheckie łysiny i wąsy w ogromnej zjechały się liczbie; nie brakło ani tancerzy, ani tancerek, ani graczy do *djabła*, ani preferansistów, ani gadułów, ani żadnego z tych żywiołów, które stanowią zabawę naszą na prowincji.

Nie wiem czyście kiedy uważali, jak u nas dobitnie dzieli się każde liczniejsze społeczeństwo; nie stan tu, nie godność, ale osobiste usposobienia kierują tem powinowactwem wyborowem. Po godzinie szumnego natłoku, jak w płynie jednym zmieszane różne ingredjencje, poczynają osiadać warstwami ludzie z sobą pokrewni namiętnością. Naprzód kształcą się gronka nieliczne polityków, gadułów, gadułów-gospodarzy, z ludzi, co nie chcą lub nie mogą czem innem się zająć, i językiem płacą za gościnę. Jestto klassa najcięższa i najpierwsza osiada na spodzie towarzystwa. Dalej skupiają się młodzi ludzie, zmierzywszy się wprzód dobrz oczyma, i wkrótce od wstępu o koniach, o dziewczętach, grze i hulance, przełamią się w nowe klassyfikacje, rozdzielając na stoły zielone, za krzesła kobiet, do fajkarni, do stajni, do kielicha. I tu uważać tylko, kto o kobietach nie mówił, pewnie przy nich zostanie; kto o kartach nie wspomniał, za niemi się pociągnie; kto kieliszka nie zdawał się wyglądać i poczyna od — *nie piję*, ten najdłużej mu dotrzyma.

Nim zabrzmi muzyka, już preferansowi *nie tracąc czasu* siadają do stołów, z godną lepszej sprawy gorliwością i zapałem niedorównanym. Za ich przykładem

idą ryzykowniejsi djabełkowicze, z których każdy przywiózł w bocznej kieszeni od fraka jakie tysiąc rubli na pastwę szatana: tysiąc rubli, którychby nie dał umierającemu z głodu.

Ale otóż poloneza zagrali: ten taniec poważny jak pochód wojenny, jak processja, a wesół jak stare czasy, rozpoczyna się. Młodzież wydziela się z łona różnych chwilowych powinowactw, by w sali tańców pozostać. Starzy co za młodych uchodzićby radzi, pierwsi tu stają i dokazują tem mocniej, im silniej bolą ich zromatyzmowane nogi; żaden młokos świeżo ze szkół puszczony nie dorówną skocznością szpakowaciejącym tancerzom.

Po wieczerzy nareszcie skłonni do kielicha kryją się w kątek, by na pamiątkę Sasów i lepszych czasów upić się przyzwoicie, to jest tak, żeby przy swej sile dosiąść bryczki lub powozu, i nie powalać kanap ani posadzek, co się niezawsze udaje, bo miarkę przebrać łatwo.

Wśród tego tłumu, gdzie wybór ludzi? — Ja nie wiem. Szukam go wszędzie, mijając wszakże stoliki kartowe, bo to nie wybór ale wybiorki tylko być mogą; szukam i kręcę się napróżno. Rozmowy zwiastują dziwną czczość umysłową, straszną, bolesną: są to plotki polityczne, dowodzące że ci panowie od arendarzy swych uczą się jeszcze dyplomacji; są to plotki gospodarskie, dowodzące że gospodarstwo u nas rutyną bezmyślną i chybił-trafił pociesznem; są to plotki towarzyskie, objawiające brak serca często, częściej brak zupełny głowy. A co za sądy o przeszłości, jakie teraźniejszości pojęcie, jakie rzuty oka na przyszłość: Boże zmiłuj się nad niemi! Dwóch czy trzech szepcze czego nie śmie powiedzieć w obec tłumu, boby ich zakrzyczano, a ten

szept kilku, niesłyszany, niesłuchany, jest jedynym głosem godnym uwagi.

Takieto właśnie, o jakiem tu mowa, było towarzystwo w Denderowie. Wielkie salony jaśniały oświecone *a giorno*, kwiaty, zapachy, muzyka, stroje, gwar, uścisków bez końca, grzeczności do znudzenia, komplementów fury; witania aż do wilgoci posunięte, pocałunki czerwieniące twarze, westchnienia gaszące światła, a wśród tego wszystkiego, w ciemnym przedpokoju, na opuszczonej kanapce, w kątku, ze złożonemi na krzyż rękoma, z głową na piersi spuszczoną, jeden biedny, osamotniony człowiek. Pokój to przechodni i pusty; w nim Wacław czeka rozkazów hrabiego.

Cesia przesuwa się w różowej krepowej sukni, z bukietem w ręku, przez pół-cień czarowny witając uśmiechem swoję twarzyczkę w zwierciedle. Wacław zobaczył ją, poruszył się z miejsca, ona się zlękła.

— A! — krzyknęła — a! to pan!

Odwróciła się. Nadto może była ubraną, by mogła spojrzeć na niego; szła dalej a z nią myśl jakaś, i jakby coś zamierzając, wpół drogi zwolniła kroku, rzucając na niego długie, długie wejrzenie, które go przeszyło. Potem wyjmując z ust gałązkę rezedy, upuściła ją, niby gubiąc po drodze.

Wyszła; nie było nikogo. Wacław sądził że już daleko od drzwi odbiegła, rzucił się i podjął tę gałązkę rezedy, jak złodziej, jak zbójca chwytając tę zdobycz... Jakże sie przeląkł, jak pobladł, gdy podnosząc głowę, ujrzał ją czatującą za drzwiami i śledzącą skutków swego podstępu. Ledwie podchwycił tę nieszczęśliwą rezedy gałązkę, gdy Cesia uradowana, zwycięzka, ani już spojrzawszy na niego nawet, uszła do salonu lekka

i wesoła,.. Byłoto pierwsze jej zwycięstwo: wiedziała że ją kochał, wiedziała że rozkochać mogła.

Wacław pozostał wpół zabity, gniewny na siebie, że nie przewidział podstępu, zrozpaczony że się wydał, szalejąc w głowie jak się z tego wytłumaczyć, wykłamać potrafi.

— A! — rzekł z bijącem sercem — kłammy gdy kłamać potrzeba, gdyśmy w świecie fałszu; powiem jej jeżeli się spyta, żem sądził iż zgubiła co od stroju, pierścionek, branzoletkę, a gdy się spyta o rezedę, nie przyznam się, o! nie przyznam się, że ją noszę na sercu... Nigdy, nigdy o tem wiedzieć nie będzie co czuję!...

Niestety! fałszywyto był, choć poczciwy rachunek. Cesia, jako kobieta przebiegła, starsza głową i przeczuciem niżeli doświadczeniem, wiedziała co widziała, a klęczący, chwytający gałązkę Wacław wyspowiadał się zbyt szczerze, by mógł przed nią resztę utaić.

W salonach oświeconych snuły się czarowne postaci niewieście, a jak królowa balu rozsiadła się w krześle poważnie *niegdyś piękna*, dziś tylko majestatyczna hrabina Czeremowa w aksamitnej z koronami sukni, w toku z piórem na głowie, w łańcuchu złotym na piersiach aż pod brodę podsznurowanych, z lornetką w ręku i z tą minką pogardliwą, szyderską razem i dumną, która ma oznaczać panią najwyższego tonu, a dziś przystała doskonale strojnym tylko kucharkom i wyszłym za generałów pomywaczkom.

Obok niej *piękna jeszcze* pani hrabina Denderowa, melancholijnie wsparta na białem ręku prześlicznych kształtów, wodziła wzrokiem przyćmionym umyślnie po sali, przymilając się i wdzięcząc do wszystkich, nie szczędząc słodkich słówek, i niby nie

słuchając a słysząc co jej szeptał pan Powała, były rotmistrz gwardji, słuszny i potężnych ramion mężczyzna, z wąsem lśniącym i okiem czarnem.

Dalej rzędem *już piękne* siedziały panienki, a na ich czele weselsza niż kiedy Cesia. Było to przystojne, choć niepiękne, ściśle biorąc dziewczę, kształtnych rysów, w których choć charakteru i żywota brakło, było przecie jakieś niespokojne zajęcie; oczu małych, świegotliwych, ruchawych, noska małego i ładnego, kibici zręcznej, postawy wyuczenie dumnej, którą wzięła po babce i ojcu. Twarzyczkę jej pokrywała sentymentalna może, a niechybnie chorobliwa bladość.

Sylwan w czarnym fraku, białych rękawiczkach obcisłych niezwyczajnie, w werniksowanych bucikach, z lornetką w ręku, gdyż od dawna miał zły wzrok a dobrą ochotę noszenia szkiełka, perorował już wśród salonu o równości stanów i kwestji socjalnej. Słuchali go jedni z dwuznacznym uśmiechem, drudzy z zagawronieniem, inni z podziwem, jako geniusza mierząc ciekawą duszą. Szczęśliwyto kraj, gdzie dość kilka słów cudzych, a szumnych, a jaskrawych, by zyskać opinią wielkiego człowieka, najpochlebniejsze przyjęcie i najgorętsze współczucia oznaki. Często nie trzeba więcej, tylko mówić tak, aby nas nie rozumiano, i słowy ogromnemi, a odór, którego doznają, biorą wszyscy za działanie gieniuszu. Dość być nie takim jak wszyscy, żeby zostać znakomitym.

Hrabia z podniesioną głową, choć czoło jego myśl jakaś chmurzyła, z kolei, jako pilny gospodarz domu, obchodził towarzystwo swoje, i jednych klepiąc po ramieniu, drugich po brzuchu, tych całując, tamtych ściskając, innych witając tylko uśmiechem, poruszeniem

głowy, poufałem podaniem ręki, częstował wedle stanu i smaku każdego. Coto tam było odcieni w jego mowie: pan, waćpan dobrodziej, asindziej, kochany pan, pan dobrodziej, serce, kochanie, i spieszczone imiona, leciały dobrane do barwy osób z łatwością i trafnością zadziwiającą.

Pomimo że powinien był cieszyć się z natłoku gości. Zygmunt-August Dendera ciężko tego dnia pracował; dowodził tego kroplisty pot na czole, wejrzenia niespokojne, zamyślenia chwilowe. Wśród swej pielgrzymki od stolika do stolika, od krzesła do krzesła, jakaś myśl żywo go kolnęła, i skierował się nagle z uszanowaniem dobrze odcechowanem ku matce swej żony, która jak na tronie siedząc w swym fotelu, zażywała białemi paluszkami tabakę ze złotej kameryzowanej, z portretem nieboszczyka męża (w stroju szambelańskim dworu austrjackiego) tabakiereczki. Trzeba było widzieć Zygmunta-Augusta jak się zniżył, jak spłaszczył, jak rzewnie uśmiechnął, całując jej rączkę podaną sobie dosyć niechętnie. Dostrzegł był bowiem już przy powitaniu złego humoru matki, skierowanego ku sobie, a teraz postanowił się przekonać, czy to było tylko skutkiem znużenia, zmęczenia, głodu, spazmu, chwilowym kaprysem, lub opierało się na trwałszych jakich pobudkach. Zachmurzenie dość widoczne, nawet w obec sta osób trwające, utwierdzało go w domysłach, że hrabina z czemś przyjechać musiała. Jakoż po przyklęknieniu, po czułych komplementach mamie dobrodziejce, załamaniu rąk patetycznem i odegraniu pantomimy wyrazistej dla salonu, na co wszystko uśmiechem tylko zimnym i kwaskowatym odpowiedziała hrabina Czeremowa, — Dendera widząc, że nie wymoże po-

chlebstwy ani słówka milszego, odszedł z pociechą, że scenę dla parteru odegrał wybornie, ale w duchu zgryziony i przeklinając nieznośną babę.

Od matki pobiegł do żony, z atencją młodego małżonka, z nadskakiwaniem zakochanego, chcąc pokazać światu, jak swego anioła kochał. Tu żona mu nie uchybiła: jej uśmiech, wdzięczne podanie ręki, wejrzenie słodkie, wszystko patrzących upewnić mogło, że najwspanialsza harmonja panowała między małżeństwem, któremu dotąd przyświecał jeszcze księżyc miodowy.

Od żony, przechadzając się po salonie, dostał się hrabia do syna, powtórzyć z nim zwykłą scenę o reformach socjalnych. Zastał Sylwana w zapale dowodzącego, że przyszłe pokolenie musi się zamknąć w falansterach (nic mniej), i że jajami jednego falansteru, wedle rachunku Fourier'a, zapłaci dług Anglii z największą łatwością. Wprawdzie jakiś szlachcic zarzucił mu, że na tyle jaj nawet pod Wielkanocne święta nie znajdą kupców falansterjanie, ale niemniej Sylwan naburczawszy na szlachcica, który tak mizernych szukał opozycji środków, pozostał przy jajach i falansterze. Ojciec się zbliżył; — byłto znak zwykłego boju. Potrzeba było słuchać, jak czule, jak zręcznie ojciec dopomagał synowi do objawienia swych transcendentalnych pojęć o reformie społecznej, popisując się dla większego kontrastu ze swoją dumką arystokratycznym i rasowym uporem.

— Świat — mówił Sylwan w zapale — dąży do doskonałości i dojdzie do niej.

— Ale pozwólże...

— Proszę mnie wysłuchać; wiek nasz jest wiekiem postępów: zniknie ubóstwo, znikną plagi, jak wojna i

mory, człowiek musi być szczęśliwym.

— Co? w komunizmie?

— Nie wyrokuję o formie, jaką przybierze przyszłość: sąto zarysy tylko może niedoskonałe, objawiające silne pragnienie ludzkości.

— I chcesz mnie przekonać, że potraficie wszystko i wszystkich zniwelować i zrównać?

— Najzupełniej! znikną klasy i kasty, których egzystencją i tak już podkopało rozumowanie.

— Stój! stój! to nie dla mnie, ja pozostanę czem byłem. Nazwij mnie sobie jak zechcesz, uparcie wierzyć muszę w nierówność ludzi, w coś odrębnego w klasach wybranych. Nie mogę się zaprzeć, dla jakichś tam marzeń, tradycji wieków, bytu własnego, drogich mi pamiątek mojego rodu i pochodzenia, i wszystkiego co w puściznie odziedziczyłem *po przodkach.*

Sylwan ruszył tylko ramionami, i komedja w ten sposób ciągnęła się dalej: ojciec sprzeczką pobudzał syna, podnosił go i stawiał w świetle; syn dźwigał ojca, nie szczędząc mu kontrastów; oba razem radzi byli z siebie, bo ludzie mówili: — Jednakżeto młody hrabia nie darmo jeździł za granicę, głowa tęga! — A drudzy: — Stary, to pan całą gębą!

Trzeba wiedzieć, że u nas za *tęgą* głowę uchodzi, kto śmiało bredzi; a za pana, kto o swej procedencji gardłuje.

Wreszcie rzuciwszy syna wśród grona pilnych słuchaczy, Zygmunt-August odszedł ku gościom i spotkał nagle między niemi znajomego nam Jacka Kurdesza, który dość przepłoszony i obcy błądził w tym tłumie jak widmo, ze swą wygoloną głową, konfederatką na szabelce, w kontuszu na wyloty, żupanie atłasowym,

pasie lamowym i wąsem jak mleko białym.

— A! kochanego rotmistrza!

— Nóżki całuję JW. hrabiego — odparł szlachcic, schylając się — nóżki całuję. Pozwolisz mi JW. pan złożyć sobie najszczersze, z powodu tego dnia uroczystego, życzenia, i podziękować za ten honor, jaki mojemu ubogiemu domkowi uczynił syn JW. pana, nawiedzając szlachcica w jego chacie.

Dendera nadzwyczaj serdecznie wyściskał rotmistrza, który go wciąż w ramię całował i niemal za kolana chwytał; potem uprowadziwszy go trochę na bok, rzekł:

— A co? nie potrzebujesz czasem swojego kapitaliku?

— Jeszczeżto do terminu daleko, JW panie, — rzekł szlachcic, nie dając poznać po sobie intencji.

— Ale ja potrzebowałbym wiedzieć wcześnie, sumka nieszpetna, rotmistrzu!

— E! o tem potem — odparł szlachcic pokornie — nie mieszajmy jubilacji dnia tego tak uroczystego rozmową o interesach. JW. pan pozwolisz to odłożyć do powolniejszej chwili.

— A! jak chcesz, — rzekł hrabia grzecznie, trochę jednak zmieszany, bo się spodziewał wedle zwyczaju innej wcale odpowiedzi i prośby, ażeby kapitał zatrzymał jak najdłużej. Kolnęło go to odłozenie niemiło, a czoło jeszcze się posępniej zachmurzyło.

— Jakże tam gospodarstwo? — spytał, chcąc szlachcica rozruszać.

— At, małe dziedzictwo, wielkie kalectwo, JW. panie, wlecze się to jakoś.

— Zebrałeś już żyto?

— O! nie jeszcze, a tu kalendarz deszcze prorokuje.

— Ja mam już kilka tysięcy w kopach, ale jeszcze na polu.

— I ja nie wiele schwyciłem do stodoły.

— No! a w domu tam jak? Bogu dzięki, córeczka zdrowa?

— Do nóg upadam za pamięć.

— Dobra słyszę gosposia. Sylwan nie mógł się odchwalić podwieczorku...

Stary pogładził się po łysinie i uśmiechnął mile. Hrabia kończył:

— A śliczna słyszę panienka!

— Niczego, JW. panie, ale zwyczajnie wieśniaczka.

— Daj Boże pociechę!

I hrabia uprzejmie objąwszy radośnego rotmistrza, oddalił się od niego, odwołany przez kogoś. Szlachcic poszedł do gawędujących w kątku podtuptanych gospodarzy, przysiadł na rożku kanapy, i *cum debita reverentia* dla tak znakomitej kompanii nudził się i ziewał, starając mieć minę na wszelki wypadek uśmiechnioną.

Tymczasem rozpoczęły się tańce, które ostatecznie podzieliły towarzystwo na warstwy odrębne. Sylwan kierował niemi, zapalczywie lubiąc skoki, i naturalnie rej wodząc jako w domu. Matka jego, także namiętna tancerka, nie ustępowała mu w ochocie i niezmordowaniu, a rotmistrz Powala nieustępnie jej pilnował, tak, że to nawet trochę w oczy bić zaczynało, i stara hrabina szepnęła córce, aby tę *partie fixe* starała się urozmaicać dla oka ludzkiego.

Postanowionem było w programie dnia tego, że wśród spoczynku po tańcach, chwilę miała zająć muzyka: hrabianka Cecylia śpiewać miała *cavatinę* Belliniego, a towarzyszyć jej miał Wacław. Hrabia trochę dumny talentem wychowańca, chciał także, by się i on popisał z jakiem *solo* na fortepianie; czemu choć się bardzo sprze-

ciwiał i opierał muzyk, nie mogąc wymówić, posłusznym być musiał.

Po polskim, kontredansie, walcu i mazurze, wywołano z ciemnego kątka Wacława, i kazano mu towarzyszyć Cecylji do śpiewu. Biedny chłopiec, jakkolwiek powtarzał nieskończoną liczbę razy tę nieszczęsną *cavatinę*, zmieszany dziś świeżem skompromitowaniem swojem w obec Cecylji, smutny, wymierzonemi ze wszech stron na siebie oczyma zbity z tropu, przywiódł śpiewaczkę do niecierpliwości, to spiesząc, to zwalniając takt w miarę, jak krew żywiej, to powolniej w nim grała. Surowe spojrzenie naprzód, ostre słowo przy końcu, które pokryły szumne oklaski i powinszowania wszystkich (mogłoż być inaczej?) ledwie mu z oczu łez nie wycisnęły.

Ale potrzeba było grać. Hrabia, jakkolwiek posępny, trzymał się planu swojego, i zapowiedział wielkim głosem popis swojego wychowańca.

Cóż było robić? — grać musiał.

Ale co zagrać temu roztargnionemu tłumowi, którego połowa niecierpliwiła się, wyglądając dalszych tańców, a druga ani myślała o muzyce? Dla tak nieusposobionych słuchaczy potrzeba było, wzorem innych popisujących się, wybrać coś szumnego, mechanizm tylko zadziwiający wykazującego, zagłuszyć, zatrząść, zadziwić. On nic nie grał z tych wystawynch błyskotek, z tych sztuczek jaskrawych, które są jak żywo iluminowane kramne obrazki, bez myśli, bez kształtu, bez czucia, ale biją w oczy. Zaczął poważny pierwszy koncert Chopin'a, i grał go przepysznie: ale któż go zrozumiał? kto słuchał?

Kilka oklasków z litości i z radości, że dokończył przecie, powinszowania hrabiemu, całą były nagrodą wiel-

kiego wysiłku, wzruszenia, strachu i znużenia; potem Wacław wybiegł co prędzej do ogrodu sam jeden, i usiadł na ławce pod gankiem, oddychając ciężko, patrząc w oświecone rzęsisto okna salonu, i uciskając bijące, rozkołysane serce.

W salonach już się rozpoczął kontredans, a Cecylja obejrzawszy się ledwie pochmurno za odchodzącym Wacławem, ujrzawszy go, jak szybko uciekał w drzwiach od ogrodu, ruszyła lekko ramionami. Sylwan komuś chwalącemu przed nim talent Wacława, odparł zimno:

— Tak! tak! coś z tego być może! chociaż kto jak ja słyszał Thalberga, Liszta i Henselta, trzy najpotężniejsze talenta egzekucyjne, smakować w takiej mierności nie może. Dla was i to dobre!

To słówko głośno rzucone, zabiło Wacława w opinji wszystkich małp, co za wyrocznię nieodwołalną mają człowieka, który z zagranicy powrócił, i nie ważą się sądzić ani własnym rozumem, ani własnem uczuciem w obec cudzoziemskiego, zagranicznego zdania.

Gdy się to dzieje, hrabia ciągle obchodzi swych gości, uśmiecha się, rozmawia, słucha, szafuje grzecznościami; w tem mrugnienie znaczące hrabiny Czeremowej, która powstała ze swego miejsca, wywołało go do drugiego pokoju. Poważnym krokiem sunęła się hrabina do gabinetu, z góry patrząc na ustępujące przed nią z uszanowaniem tłumy i nizko jej kłaniających się gości.

Weszli oboje do gabinetu oświeconego tylko lampą alabastrową, w którym tem bezpieczniej było od natrętów, że obok tańcowano. Drzwi do sali stały otworem: każdego wchodzącego zobaczyć można było łatwo, a drugiego wnijścia nie miał gabinet. Chwilę

chodziła pani hrabina poważnie milcząca, jakby się przygotowywała, zażywając tabaczkę; potem niby po namyśle, odezwała się, obracając zwolna do zagryzającego już niecierpliwie usta Dendery:

— Darujesz mi hrabio, że w takim dniu muszę serjo rozpocząć rozmowę; ale mi jutro jechać wypada, jesteś i będziesz zapewne zajęty, nie zabierze nam to czasu wiele...

— Jestem do usług hrabinej — odparł sucho.

— A więc możemy, choć temu nie rada jestem, możemy i musimy się rozmówić; może ci to nieprzyjemnem być może.

— Słucham co się pani podoba — pochwycił hrabia, dumnie się prostując.

— Hrabio — rzekła powolnie cedząc i patrząc mu w oczy — jest rzeczą niezawodną, że źle bardzo stoisz w interesach; pomówmy o tem szczerze i otwarcie.

— Ja! źle w interesach! — oburzył się hrabia i rozśmiał zmuszonym śmiechem — któżto pani hrabinie zwiastował?

— Kto? jestto już nawet głosem powszechnym.

— Gdzie?

— Wszędzie prawie; wiedzą o tem i mówią wszyscy.

— O tem, zdaje mi się, jabym wiedzieć powinien najlepiej — odfuknął hrabia, przechodząc nagle z tonu poszanowania do wyzwolonego i swobodnego, który już się zamienia na szyderski.

— Właśnie od hrabiego chciałabym się o tem prawdy dowiedzieć.

— Nie widzę potrzeby, ani miejsca, ani pory do zdawania pani rachunków — rzekł hrabia sucho; — zresztą, pozwolisz się pani hrabina spytać nawzajem,

jakiem prawem chcesz mnie słuchać liczby *z mojego* majątku?

Mojego — dodał dobitniej, z przyciskiem.

Hrabina, głosem, tonem i mową zięcia, dotknięta była do żywego. Brak uszanowania, jakiego dotąd nie doświadczyła od niego, boleśnie ją obszedł; zarumieniona, oddychając żywo, odparła, podnosząc głowę po królewsku:

— Mości panie! majątek ten jest razem majątkiem mojej córki.

— Chyba wnuków, chcesz pani raczej powiedzieć?

— Przecież klucz Samodoły wziąłeś pan po Eugenii.

— Tak! — zaśmiał się hrabia szydersko — czterysta dusz z czterykroć sto tysięcy długu, gdy dusza tam nie warta i pięciudziesiąt dukatów!!

Hrabina przez chwilę mówić nie mogła, tak się rozgniewała; machnęła tylko ręką i chciała powrócić do salonu, ale się zawróciła jeszcze.

— To kłamstwo! to kłamstwo! — zawołała przerywanym głosem — klucz Samodoły, przeznaczony dla córki, był tylko obciążony długiem bankowym przez ś. p. męża mojego.

— A deportata pani, od których płacimy procent?

— Drugi rok jak go już nie odbieram — żywo przerwała hrabina.

Zygmunt-August zamilkł i odparł obojętnie:

— To zapłacę, ale mnie pani nie będziesz słuchać rachunku, bo nie ma prawdziwie z czego.

— Czy tak już mówisz do matki swej żony? — spytała ze wzrastającym gniewem hrabina.

— Nie mówię w tej chwili do matki mej żony, ale do rachmistrza, który mnie chce liczby słuchać, prawa

do tego nie mając, bo mi nic nie powierzył.

— Mości panie!

— Tak, pani hrabino!

— Mniejsza o to, mniejsza o to — zawołała stara, płonąc niecierpliwością i na twarz rozognioną wiejąc chustką — mniejsza o to: przyszedł czas może i innej liczby wysłuchać waćpana... Moja córka nie jest z nim szczęśliwą!

— Któżto pani zwiastował?

— Dość jest własnych oczu, by to zobaczyć.

— Życzyłbym spytać lepiej hrabinej i z własnych o tem nie sądzić domysłów, a mnie także wybadać, czy z nią jestem szczęśliwy.

— Z tym aniołem! — wykrzyknęła matka łamiąc ręce; ale wnet pomiarkowała się, że gest ten może być widać z salonu, i poczęła znowu powiewać chusteczką, usiłując przybrać powierzchowność spokojną.

— O aniele i jego skrzydłach, które go czasem zadaleko unoszą, radziłbym mnie wybadać! — powtórzył hrabia szydząc gniewnie.

— Jesteś pan potworą! — rzuciła hrabina ze złością niepohamowaną — potworą niegodną, by cię ziemia nosiła!

— *Chère comtesse, on commence á nous observer!* — odpowiedział zimno hrabia — *nous ferons bien de passer au salon.*

To mówiąc podał jej rękę wdzięcznie się pochylając: a że był u drzwi samych, musiała ją przyjąć, i tak z niezmiernemi pokłonami, uśmiechami, komplementami i synowskiem poszanowaniem odprowadził ją buchającą gniewem, a wywdzięczoną na pozór, do porzuconego przed chwilą krzesła.

W kwadrans potem, pod pozorem bolu głowy, pani hrabina Czeremowa odeszła do swych pokojów, pontyfikalnie znowu przez niego odprowadzana aż do drzwi. Ból głowy! Ileżto ten ból głowy nie pokrywa dramatów kończących się nim i rozpoczynających, ile tajemnic, ile grzechów! Co to za skarb drogi niewidoczna choroba, którą wziąć można i zrzucić z siebie ile razy potrzeba!

Zaledwie powrócił do salonu, rzekłbyś, że to był dzień feralny: służący szepnął na ucho hrabiemu, że w bocznym pokoju czeka na niego z pilnym interesem Smoliński. Złą to jest prawie zawsze wróżbą, gdy kto do kogo przychodzi z papierem w ręku: rzadko papier zwiastuje dobrą nowinę, bo dobre wieści w życiu człowieka nieliczne, najczęściej ta karta tajemnicze niesie kłopoty, frasunki, przypadek, nieszczęście, zawikłanie jakieś, jeśli nie cios nieuleczony.

Hrabia postrzegłszy Smolińskiego, który go w tym dniu i godzinie tak pilnie wzywał, stojącego z papierem w ręku, pobladł i prawie gniewnie zawołał:

— Przecież wiesz, jak dziś jestem zajęty: mogłeś z tem poczekać do jutra rana.

— Ani godziny! — rzekł Smoliński posępnie.

— Cóż to jest?

— A cóż ma być: naturalnie nieszczęście.

Hrabia zadrżał i stracił gniew i przytomność. Jeszcze nie wiedząc co go czekało, chwycił się za głowę i upadł na krzesło.

— Mówże prędko, mów!

— Abramson....

— Abramson zbankrutował i mój załóg przepadł!

— Tak jest.

— To być nie może.

— Urzędowe oznajmienie i sekwestr na klucz Słomnicki.

Dendera nie rzekł ni słowa, tylko spojrzał w czarne okna i zamilkł jak ściana: usta mu zapadły, zacisnęły się, czoło pofałdowało: zestarzał w mgnieniu oka.

— Co mam robić? — spytał Smoliński.

— Co sobie chcesz.

— Pozwoli pan hrabia choć po czasie przypomnieć sobie, że zawsze byłem tym załogom przeciwny, że zawsze mówiłem...

Ale hrabia w myślach zatopiony nie słuchał.

Smoliński ze zwykłą swoją bezczelnością wmawiał mu fałsz; jego bowiem zręcznej insynuacji winien był Abramson, że mu dano załóg, od którego płacił po dukacie z duszy hrabiemu, a po trzy złote Smolińskiemu. Teraz gdy Abramson zbankrutował, Smoliński obawiał się przypomnienia, że często słówko za nim rzucił i uprzedzał wymówki, zapierając się przeszłości. Trzysta dusz przepadło za sześć tysięcy złotych zapłaconych z góry hrabiemu, i tysiąc danych do kieszeni plenipotenta. Żyd ze skarbu kilkadziesiąt tysięcy rubli chwyciwszy, uciekł do Brodów.

— Co mam robić? — powtórzył, z ukosa spoglądając na hrabiego Smoliński.

— Idź kpie i powieś się na gałęzi — odburknął nagle wstając Dendera, i nie rzekłszy słowa więcej, wyszedł do salonów, otarłszy tylko czoło, a usiłując przybrać postawę wesołą i spokojną.

Ktoby go zobaczył wchodzącego do rzęsisto oświeconego pokoju tańców, nigdyby się nie domyślił, że niósł z sobą tajemnicę tak wielkiej wagi, od której mógł los

całej jego rodziny zależeć. Uśmiechający się znowu, ledwie trochę bledszy, spotkawszy u drzwi prawie Jacka Kurdesza, wziął go zaraz na bok.

— Wiesz kochany rotmistrzu — rzekł — trafia mi się doskonała spekulacja; nie chcesz być ze mną do spółki?

— Cóżto takiego? jeśli wolno spytać się hrabiego.

— Wyborna! doskonała i pewna spekulacyjka! podradzik pełen nadziei! sto na sto! Masz dwadzieścia tysięcy do spółki?

— Gdziebym ja mógł mieć taką sumę gotówką? — odparł pan Jacek, nie zmieszawszy się natarczywością i już jakby podejrzywający cokolwiek. Czy to nam szlachcie trzymać takie kapitały w szkatułce?

— Szkoda! Mógłbyś łatwo ledwie nie grosz na groszu zarobić.

— Szkoda! ale...

— A nie wiesz tak jakiego uczciwego człowieka z zapasem?

— Panu hrabiemu nietrudno będzie o tak małą sumkę.

— Ale bo tu wszystko na pośpiechu: czas ucieka, żydzi godzą.

— Wszak pan rotmistrz Powała podobno pięćdziesiąt tysięcy pozawczoraj gotówką odebrał od brata, i właśnie go kwitował, gdy byłem w powiatowem mieście.

— Masz racją, wezmę u niego

I hrabia posunął się dalej. Żona jego właśnie tańcowała z panem eks-rotmistrzem, który był w tak różowym humorze, widząc się bliskim osiągnięcia serca JW. hrabinej, że byłby rodzonego ojca oddał dla niej, dla pochwalenia się potem między kolegami dawnemi

tak umitrowaną zdobyczą. Hrabia w intermedjach tańcu klapnął go po ramieniu przyjacielsko.

— Słówko! rzekł z uśmiechem.

— Co każesz hrabio? — uśmiechając się sympatycznie zawołał rotmistrz.

— Kieliszek starego wina.

— *Cela n'est pas de refus.*

— A zatem po kontredansie.

— Właśnie go kończymy.

I ujęli się pod ręce, a pan Powała śmiał się z łatwowierności męża, a hrabia śmiał się zawczasu z rotmistrza, widząc go w usposobieniu takiem, że niczegoby odmówić nie potrafił.

Weszli do pokoju, w którym był stół pokryty butelkami: hrabia z pod obrusa dobył zapleśniałą bańkę węgrzyna, samym swym kształtem nie do dzisiejszych należącą czasów.

— *Vous m'en direz des nouvelles* — rzekł mrugając.

— Tokaj stary.

— Stary, ośmdziesiąt-letni tokaj, zobaczysz.

— Zdrowie solenizanta!

— Dziękuję ci rotmistrzu! — dodał żywo z wesołą twarzą i śmiechem dobrodusznym — nie wszyscy mi jednak, jak ty, dziś winszują.

— A! są co lepiej to może umieją, ale pewnie nie tak szczerze.

— Cha! cha! Różnie się trafia! Miałem dziś właśnie jedno bardzo oryginalne powinszowanie.

— A cóżto takiego panie hrabio?

— Wyobraź sobie rotmistrzu nieokrzesanego brusa, który przed rokiem na klęczkach wyprosiwszy sobie u mnie, żebym przyjął jego sumkę na procent, dziś obrał

sobie dzień moich imienin, by mnie napaść o jej oddanie.

— *Mais c'est bête!*

— *C'est absurde!* I złapał mnie naturalnie zupełnie niespodzianego, nieprzygotowanego. Oburzony, kazałem natychmiast Smolińskiemu choćby u żyda wziąć i zaraz tego miłego gościa uspokoić: tak mnie to poruszyło.

— Cóżto za sumka? — spytał rotmistrz.

— *Une misère de 30,000 florins.*

— Chcesz hrabio, to ci jutro przyszlę.

— Alboż możesz mieć gotowe pieniądze? — spytał hrabia z dobrze udanem zadziwieniem i niedowierzaniem.

Rotmistrz się uśmiechnął z niejaką dumą.

— Jutro ci przyszlę hrabio.

— Twoje zdrowie rotmistrzu. Bardzo dziękuję ci za uczynność... uwolnisz mnie od kłopotu... Jeszcze kieliszek..

— Nie warto mówić o tem.

Zagrano walca i pan Powała rozbijając się poleciał do hrabinej, a Zygmunt-August powolniej za nim idąc, szeptał w duchu:

— Mam trzydzieści tysięcy: jutro biorę pocztę i jadę z nimi do Żytkowa. Wyrobię się, muszę się wyrobić: główna rzecz była dostać na to pieniędzy. Biedne rotmistrzysko! jaki młody! a takie wąsy!

I rozśmiał się pocichu.

W przestankach tańca rozmawiano, a jak szerokie sale, jak różne twarze, jak niepodobni do siebie byli goście, tak dziwnie też niejednakie były rozmowy. Szczęściem leciały każda w inną stronę, nie spotykając się z sobą, nie obijając o siebie.

W tym samym gabinecie, w którym przed chwilą hrabia z matką swej żony tak przykrych kilkadziesiąt słów zamienili z sobą, z którego tak poruszeni odeszli; siedzieli taraz na kanapie: Sylwan palący cygaro i hrabia Walski, jak Sylwan wychowany za granicą, bogatszy od niego, koniarz także, młody jak on, jak on zcudzoziemczały, ale mający nad nim tę wyższość, że bardzo będąc zepsuty, nie dognił jeszcze do serca. Powłoka w nim tylko przez zetknienie się ze zgnilizną zepsuta była, reszta miała jeszcze życie.

Walski nie lubił Sylwana, Sylwan uważał za potrzebne mieć tak pokaźnego przyjaciela. Czyż raz potrzebujemy jak on przyjaciół, jak ozdobnych fraszek tylko, żeby się pochlubić niemi? Rzadko dobieramy ich dla serca, częściej dla oka. Chcemy mieć przyjaciela bogatego, pięknem zowiącego się imieniem, dobrze wychowanego, aby z niego o nas ludzie sądzili. Walski się nudził i chętnie przyjmował serdeczności Sylwana, choć z nim nie sympatyzował: już dla zabicia czasu, już przez angielską jakąś obojętną dumę. Sylwan też nadskakiwał mu w cztery oczy, żeby mieć prawo potem w obec stu osób mówić do niego: — mój Karolku! i wziąwszy go pod rękę, szeptać i śmiać się.

Gdy usiedli na ustroniu, a tak przecie, żeby cała młodzież widzieć mogła, że hrabia Sylwan z hrabią Karolem poufale coś szepcą, (bo z sali do gabinetu przez drzwi otwarte widać było wszystko), przemknął się stary pan Jacek Kurdesz mimo drzwi, i naturalnie hrabia Karol zapytał:

— Cóżto za stara podgolona czupryna?

— A! a! wyśmienity szlachciura, właśniem ci o nim miał mówić.

— O nim?

— O nim, i nie o nim tylko, ale tak jak, bo o córce.

— Ma i córkę? Jest tutaj?

— *Quelle idée!* To sobie prościuchna dziewczyna, ale śliczna jak dzika róża.

— Porównanie nie nowe, ale barwne — rzekł Karol puszczając dym półgębkiem do góry.

— Wystaw sobie — kończył Sylwan — coś tak niewinnego, tak prostego, tak naiwnego, jakby w powieści, jakby nie na naszym świecie, gdzie dwunastoletnie dzieweczki już intrygować poczynają. Kibić trochę silna, ale kształtna bardzo, twarzyczka śliczna, uśmiech bardzo wdzięczny.

— Oho! wpadasz w zapał, poetyzujesz: czyżbyś się miał w tej prościuchnej dzieweczce zakochać?

— Zmiłujże się! zakochać! *c'est beaucoup dire*, ale myślę o czemś...

— Naprzykład?

— Myślę sobie zapracować na miłe wspomnienie.

— Jakżeto, hrabio?

— Rozpocząć z nią romansik naprędce, bez konsekwencji.

— Bez konsekwencji! — rozśmiał się Walski z dziwnym wyrazem smutnego jakiegoś politowania. — A potem? — spytał.

— Cóż potem? Nic.

— Nie pojmuję takiego projektu, bez konsekwencji!

— Jakto! cóż dziwnego? Piękna, młoda, oryginalna, bo dzika i prosta; zajmuje mnie, bawi. Jeżdżę, jesteśmy szczęśliwi, a potem się sobie rozstajemy, mając dosyć.

— Jakto wybornie obmyślano! Pamiętaj tylko, ko-

chany panie Sylwanie — protekcjonalnie dodał Walski — że ze staremi podgolonemi czuprynami kończą się podobne plany często na kobiercu, to jest: albo na batogach, albo u ołtarza.

— Cha! cha! On mnie za kolana ściska, sam mi chciał córkę koniecznie pokazać.

— Dzikie jak widzę masz wyobrażenie o ludziach.

Sylwan się uśmiechnął z zarozumiałością młodzieńczą.

— Spodziewam się — rzekł Walski — że to coś powiedział, jestto tak sobie żartem.

— Nie, to projekt stanowczy, serjo, bardzo serjo.

— Pozwólże, bym ci w porę przyszedł z radą.

— Najchętniej, byleś mi nie odradzał.

— Powiem ci tylko proste, pewne, z doświadczenia wyciągnięte aksjoma.

— Z doświadczenia własnego? — szydząc zapytał Sylwan.

— Na ten raz z cudzego tylko może; zresztą z jakiegokolwiekbądź, to pewno, że z doświadczenia.

— Słucham pilnie i posłusznie.

— Radzę więc, a naprzód: nie wdawaj się nigdy w miłostki z projektem zerwania ich jutro; nie znasz siebie, nie znasz kobiet i nie możesz przewidzieć okoliczności. Nic łatwiejszego jak zacząć, nic trudniejszego jak skończyć i zerwać...

Sylwan rozśmiał się po swojemu.

— Jestem trochę starszy od ciebie — rzekł Karol — słyszałem o wielu podobnych przygodach, chociażem się w nie nie wdawał. Ja, jak wiesz, potrzebowałem dotąd atłasowej sukni, koronek i pachnideł, żebym się mógł zakochać; dla mnie ideał musiał być strojny, musiał

być zfrancuziały, musiał być z mojego świata; nie poglądałem nawet na szlachcianki, bo czerwone ręce i ogorzała twarz...

— Alboż myślisz, że moja tak wygląda! — zakrzyknął Sylwan — rączka jak z marmuru...

— Tem gorzej! Słuchaj dalej. Słyszałem o niejednej podobnej przygodzie, zawsze się one smutnie kończą. W naszych salonach równa gra: te panie wiedzą doskonale i znają z czem do nich przychodzim, nie rachują na nas więcej niż należy. Gdzieindziej, w sferze niższej, twoja miłość wywoła zaraz marzenia ślubu i dozgonnych węzłów. Gra nierówna: będziesz zdrajcą, a być zdrajcą zawsze nie ciekawa. Miłość zaś kończąca się trywialnie, krzykliwie, wrzaskliwie, gorsząco, nic potem! parafiańszczyzna!

— Ty bo Karolu myślisz widzę, że ja nie mam sumienia, żebym uwiódł i porzucił, bez serca, bez...

— A cóż? ożeniłbyś się?

— Gdzież znowu! to rzecz inna; ale nie możnaż załagodzić i nagrodzić inaczej?

— Nagrodzić zdradę, zawód taki, i spękane serce i życie?

— Bierzesz to ze strony tragicznej, której zwykle podobne związki nie miewają. Mnie się zdaje, że to się dziś nigdzie tak już nie bierze. Frania moja musi dobrze wiedzieć z góry, że się z nią ożenić nie mogę.

— *That is the question;* właśnie może myśleć przeciwnie.

— No! no! dość tego! Jesteś widzę w humorze przeciwieństwa.

— Przyznam ci się, że czupryna pana Kurdesza nie rokuje mi nic dobrego dla ciebie; a że za kolana ści-

ska, to nic nie dowodzi; palnie cię potem batogami jak należy, rozciągnąwszy kilimek. Ma więcej dzieci? ma ona siostry?

— Nie, jednem jedna.

— To jeszcze gorzej!

— I nie tak szlachcianka ubożuchna, jak ci się może wydawać. Smoliński mi mówił, że mają dwakroć sto tysięcy górą u mojego ojca; wioseczka krom tego bez długów i coś pewnie jeszcze w szkatułce.

— Tem gorzej, a gorzej! — dodał Karol — nie radzę ci się w to wdawać, albo skończysz na ożenieniu, albo na awanturze.

— Ba! nie takim głupi!

— Wypadnie ci zostać podłym lub głupim, a wybór, przyznam się, nie łatwy.

— Na jakiegożto moralistę napadłeś tego wieczora? — spytał Sylwan trochę zmieszany — musisz sam gdzieś być w tęgich obrotach, kiedy ci się na taką surowość względem mnie zebrało.

Karol westchnął tylko i nic nie odpowiedział.

Zygmunt-August przysiadł do żony, korzystając z figury, do której w tej chwili pochwycono rotmistrza, nieodstępnego jej *cavalière servente.*

— *Ma chèrie!* — rzekł zcicha.

— Co każesz, Guciu? — spytała, przechylając się bardzo wdzięcznie pani hrabina, tak, żeby ruch jej wykazał pięknie utoczoną kibić.

— Powiedz mi, proszę, co to jest twojej matce?

— Mojej matce?! zdaje mi się, że ją głowa boli.

— Nie wiesz nic! robiła mi dziwne zapytania, ledwie nie wymówki...

— Tobie?! — z dobrze odegranem zdziwieniem spytała żona — *est-ce possible?*

— Zdaje mi się — poważnie kończył Zygmunt-August — że na te wymówki nie zasłużyłem.

— Jakiegoż były rodzaju?

— Różne, i w ostatku i za ciebie.

— Za mnie?! mieszając się nieco sentymentalnym półgłosem odrzekła Eugenia — nie pojmuję tego.

— Zdaje mi się, żem na nie nie zasłużył!

— Czyżem kiedy dała poznać po sobie choćby najlżejsze nieukontentowanie?...

— Miałaś czas poznać mnie i ocenić!

— *Mon cher*, *inutile de dire*, *que je n'y suis pour rien*... Nie pojmuję nic...

Małżonkowie czule uśmiechnęli się do siebie; w uśmiechu hrabiego była skryta niecierpliwość i gniew, w hrabinej jakaś obojętność, osłoniona rozczuleniem; patrzała już gdzieindziej.

— Powiedz więc matce swojej...

— Ale naturalnie... nie troszczże się o to...

Wtem nadbiegł rotmistrz Powała, a hrabia z intencją umyślnie natychmiast wstał, spojrzał tylko na żonę i przemówiwszy coś do przybywającego, spiesznie się pod pozorem jakiegoś pilnego zajęcia oddalił.

— A! jakiż głupi! jakiż głupi! — mówił w duchu rotmistrz.

Hrabina z gniewem postrzegła to nagłe odejście; szybkie oddalenie wiele bardzo mówiło, a więcej jeszcze szyderskie, rzucone z ukosa wejrzenie. Była odgadnioną, zbadaną i wzgardliwie rzuconą na pastwę rotmi-

strzowi. Krew pierwszy raz może w życiu zawrzała w niej tak silnie, że rumieniec na twarz wystąpił, a dowcipne jakieś zapytanie, które w tej chwili wysmażył rotmistrz, rozbiło się o jej ucho nieposłyszane i poszło w świat bez odpowiedzi.

Cesia czatowała u drzwi, nie na Wacława, bo on był tylko dla niej próbką, rodzajem trupa, na którym się uczyła potrzebnej anatomii serca — ale na wyjście hrabiego Karola Walskiego, z bratem jej siedzącego w gabinecie. Cały wieczór już strzelała do niego, a nie doczekawszy się skutku, była niecierpliwa i gniewna. Nareszcie wyszedł pan Karol, zimny, roztargniony, obojętny, i powiodłszy okiem po sali, wstrzymał się nieco we drzwiach, niedaleko Cecylji, która, jak widzimy, dobrze obrachowała korzyści obranego przez siebie miejsca. Sylwana, ledwie się ukazał, zaraz zabrano do tańca, a hrabia Walski został w progu, i sama grzeczność wymagała, żeby coś przemówił do Cesi. Ona spotkała jego ledwie poczynające się na ustach słowa, wejrzeniem i uśmiechem tak silnie przemawiającemi, że gdyby nie przeważne roztargnienie i smutek Karola, byłby musiał zadrżeć aż do głębi. Byłto uśmiech i wejrzenie dzieweczki, której pilno dowieść, że wyszła z dzieciństwa; siłą ledwie im dorównać może uśmiech i spojrzenie starej zalotnicy.

— Możeżto być, żebyś pani już odpoczywała?

— Godziż się, żebyś pan nie tańcował?

— Ja nigdy, lub tak jak nigdy nie tańcuję.

— Dlaczego?

— Trzeba być bardzo młodym, żeby się tak wesoło wykręcać.

— A pan chorujesz na starość i na Byronowskich

bohaterów?

— Nie pani! — odparł trochę zdziwiony śmiałością Karol — mam daleko rzeczywistszą chorobę w sobie, nie potrzebuję jej sobie tworzyć.

— A cóżto za choroba? wszak nie podagra jak u pana podczaszego?

— Dotąd nie, ale coś daleko gorszego.

— Byłażbyto febra, z którą miss Lucy pięć lat już się pieści i rozstać nie może?

— Coś gorszego nawet od febry.

— Doprawdy, gorszego? Już nic domyśleć się nie mogę.

— Bardzo pani winszuję.

— A! a! Ja się nie potrafię domyśleć, a pan nie zechcesz mi się zwierzyć?

— Doprawdy! nic ciekawego, stare dzieje.

— Tem lepiej! ja tak stare dzieje lubię!

— Moja historja nie ciekawa wcale: nudzę się tylko.

Cesia, która się oświadczenia była gotowa spodziewać, zaczerwieniła się z niecierpliwości i gniewu.

— Brzydka choroba — odparła z przymuszonym uśmiechem — ale pan wiesz, że teraz wszyscy bardzo wierzą w homeopatją, i miss Lucy ciągle mi o jej zasadach prawi. Jej winnam, że wiem co to jest. Choroba w homeopatji leczy się drugą, silniejszą chorobą.

— Rozumiem: każesz mi pani szukać drugiej, może gorszej?

— Byle innej.

— Wolę pierwszą.

To mówiąc, niespodzianą żywością Cesi zajęty Karol, usiadł przy niej, spojrzał na nią z uwagą, jakby ją widział raz pierwszy, i po chwilce dodał:

— Życzysz mi pani podagry, czy febry?

— Zostawiam to do jego wyboru; obie pozyskują się łatwo: pierwsza kieliszkiem, druga zaziębieniem.

— *Vous étes bien aimable!* wolę jeszcze nudy.

— Co do mnie — mówiła Cesia — nie znam nic nudniejszego nad człowieka znudzonego; a miarkując z tego, jakie na mnie czyni wrażenie, domyślam się, jak będąc ciągle z sobą, musi się sobie naprzykrzyć.

— Dziękuję za komplement — szczerze się śmiejąc odparł Karol — i uciekam.

— Możesz pan pozostać. Rzadko widuję znudzonych; dla rozmaitości nie szkodzi i to zobaczyć. *Après tout — c'est une étude.*

To mówiąc, gdy właśnie kolej przychodziła na nią tańcować i wybrać do figury, podała rękę Karolowi. Ten wyszedł na środek, ale pieszo i powoli pokręciwszy się po sali, rozmawiając i nie dając rozżywić, wrócił wkrótce do kątka i gawędy. Cesia ścigała go niezmordowanemi oczyma: niecierpliwił ją. Bardzoby się mylił, ktoby z tego sądził, że Karol ją zajął; chciala go tylko podrażnić i sił swoich na nim doświadczyć. Wacław od kilku godzin nie był już dla niej tryumfem: trudnoż ubogiemu, nieznanemu marzycielowi zawrócić głowę z wysoka rzuconem wejrzeniem. Ale Karol! Karol, co świat przewędrował, co tyle widział, tyle przeżył i zapewne przekochał, gdyby się zajął, Cesia byłaby już siebie pewną: byłby to dla niej patent *maturitatis.*

Gdy tu się tak wesoło bawią w serce i spojrzenia, Wacław siedząc na ganku sam jeden, śledzi kroki Cesi. Widział jej rozmowę z Karolem, widział wejrzenie i uśmiech z goryczą, z bolem, który zna tylko ten,

co kochał i był miotany zazdrością wściekłą, i pastwił się sam nad sobą, szydząc z siebie.

Błyskawice gniewu, chęci zemsty, to znowu bezsilna rozpacz, łzy i żal miotały nim kolejno; rzucał się i upadał osłabły, a przewalczywszy tak długą chwilę, już się był ku ogrodowi zawrócił, chcąc oderwać się od tego zabójczego widoku, gdy Cesia wybiegła na ganek.

Ona go spostrzegła w świetle rzuconem na kolumnę, o którą był oparty, i wyszła umyślnie pod pozorem ochłodzenia, stając w progu naprzeciw niego.

— A! to pan tu! po nocy! sam jeden! Co tu robisz?

— Odpoczywam i patrzę.

— Nie rozumiem jak się można było zmęczyć tak niegodziwem towarzyszeniem mi na fortepianie, którego panu nigdy nie daruję.

— Przepraszam panią, ale tak byłem zmieszany.

— Pan nigdy nie potrafisz dać koncertu. Czegoż się było mieszać?

— Nie wiem; z tego się nie wytłumaczę.

— Mam jeszcze inną i większą wymówkę — kończyła nielitościwa. — Co znaczyło podjęcie tej gałązki?!

— Ja?... ja?... — Wacław struchlał.

— Proszę mi się z tego dziwnego postępku wytłumaczyć.

— Sądziłem, żeś pani co innego, droższego zgubiła; widząc coś upadającego, myślałem, że to była bransoletka, spinka. Chciałem podnieść, by jej oddać.

— To co innego! odparła Cesia, i oglądając się dokoła to na salę, to na ganek, spytała:

— Znasz pan hrabiego Walskiego? Jakito miły człowiek!

Umyślnie dręczyła biednego. Wacław już nic nie odpowiedział: czuł, że był igraszką płochego dziewczęcia, a kochał je — cierpiał i milczał.

Cesia rzuciła mu wejrzenie wyuczone, długie, silne, płomieniste, zabójcze, jakby petlę na głowę dzikiego konia, i szybko poszła do pana Karola. Chciała tego pochwycić, ale i pierwszego nie mogła puścić jeszcze: był jej do dalszych doświadczeń potrzebny.

Córka godną była matki.

Wacław rzucił się w ogród, którego drzewa szumiały posępnie, w dziwnej będąc sprzeczności swą powagą, ciemnością i głuchym szmerem, podobnym do szumu modlitwy w chórze zakonników — z krzykliwą muzyką sali balowej.

Z jednej strony był pałac oświetlony, rzęsisto pałający, z którego wszystkiemi otwory wyrywało się światło, wonie, dźwięki! z drugiej ogród ciemny, pusty, tajemniczy, smutny, niebo czarne, księżyc blady, i natura, wielki ów obraz tysiąckroć widziany, tysiąc razy nowy.

Wacław czuł tę potężną sprzeczność dwóch światów, dwóch żywotów, sercem poety, i oderwał się na chwilę od siebie, tonąc w myśli odtworzenia muzykalnego tej wielkiej i pięknej sprzeczności.

— Co za symfonija! — zawołał — w jej środku moje serce miotane rozpaczą i cierpieniem: w jednę stronę weselne dźwięki obcego mi świata, który na mnie nie patrzy, który mnie odpycha, który mnie zaledwie darzy litością; z drugiej cicha natura, spokój, pieśń słowika, kochanka i ojca, szum drzew, mruczenie wody, daleka pieśń pastusza, daleki hymn pobożny, i głosy pustyni, stokroć powabniejsze od gwarów piekielnego ich wesela.

Ta cisza obwija mnie, utula i kołysze jak matka. Lecz na to potrzebaby Beethoven'a z jego geniuszem młodym, symfonii pasterskiej i heroicznej, z jego myślą wieszczą, z potęgą w jej oddaniu, z uczuciem owładnionem, podbitem i posłusznem, któreby lało się w formy mu wystawione, całe, pełne, silne. Weber tylko, tylko Beethoven dokazaliby tego. Berlioz stworzyłby harmonijny chaos — ja — śmieszność.

I usiadł zdaleka dumać: a obraz pięknej Cesi w białej sukience, z jej szatańskiemi oczyma, zamigał nad nim, uśmiechając mu się i drażniąc go.

Gdzieś w dali za drzewami słychać było trąbkę pastuszą, grającą powoli smutną pieśń tradycyjną, odwieczną, którą się lasy jak dziś, od pięciuset i od tysiąca lat rozlegały. Ta pieśń oderwała poetę od świata rzeczywistości, i pochwyciła go w marzeń objęcie...

Nazajutrz rano pełno jeszcze było wczorajszych gości w Denderowie, ale ci się powolnie rozjeżdżali; nikt nietylko nie wiedział, ale się nawet nie domyślał smutnej prawdy, którą późno w nocy Smoliński przyniósł na wiązanie hrabiemu: ścisłą bowiem nakazano zachować tajemnicę.

Rotmistrz z regularnością wojskową przysłał zaraz zrana 30.000 złotych. Powozy były upakowane do drogi, a hrabia czekał tylko rozjechania się ważniejszych gości, by pocztą pospieszyć na ratunek klucza, już sekwestrem zagrożonego. Załóg (kaucja) miał w sobie pewne niedostrzeżone nieformalności, które może umyślnie weń wciśnięto, starając się, by na nie uwagi nie zwracano przy przyjęciu; teraz one właśnie posłużyć miały na wywikłanie się z odpowiedzialności.

Jak świt hrabia się już naradzał sam-na-sam ze Smolińskim: bo nie kładnąc się spać nawet, skoro gości rozprowadził po kwaterach i powsadzał do powozów, pospieszył pracować ze swym rządcą i plenipotentem.

Smoliński miał minę posępną, i często pstrykał ostremi odpowiedziami hrabiemu; hrabia mu też nie żałował grzeczności, przekąsów i grubych nawet poła-

jań: mimo to szły narady swoją drogą, wedle pospolitego przysłowia: „sprawa sprawy nie tamuje.“

Pan i plenipotent znali się bardzo dawno: razem umoczyli ręce nie w jednę brudną robotę, zachodziło więc pomiędzy niemi jakieś tajemnicze braterstwo, które wprawdzie tylko sam-na-sam objawiało się widocznie, ale niemniej było trwałe i znaczące.

Smoliński ostre prawdy mówił panu hrabiemu, hrabia łajał Smolińskiego bez ceremonii; znali się jak łyse konie i wzajemnie przebaczali sobie swoje defekta. Próbowali się odrwić czasem, ale mimo przebiegłości obu, kolejno im się to tylko udawało, tak równych sił byli. Smoliński czasem udarł hrabiego, hrabia podszedł czasem plenipotenta; ale cicho, sza! zgoda: świat o tem nie wiedział wcale, i trzymali się za ręce.

W obec ludzi, Smoliński był najniższym sługą Dendery, i stawał w progu tylko pokornie.

Jak świt, bocznemi drzwiczkami wszedł zaufany pełnomocnik do hrabiego, który nawpół rozebrany siedział na kanapie, rozparty, zamyślony, smutny, trzymając dla proporcji tylko cybuch w ustach, z którego nie palił.

— A co? — rzekł do wchodzącego — trzeba nam myśleć o interesach.

— Myślałem całą noc, ale cóż tu wymyśleć?

— Stary z ciebie osieł, mój Smoliński — rzekł Dendera. — Ja nie myślałem, a wymyśliłem, i mam już radę.

— Ciekawym! — trochę obrażony tą wyższością wybąknął Smoliński.

— Widzisz, że z ciebie na wiek wieków będzie cymbał, choć zęby zjadłeś na interesach. Załóg jest nieprawny.

— Jakto? JW. panie, — pochwycił plenipotent.

— A tak, mości Smoło! (tak go nazywał w chwilach wesołości lub gniewu hrabia), szukasz po obłokach, a nie widzisz co pod nosem.

— Cóż tam za nieprawność?

— Wiesz przecie, że ja nie miałem jeszcze *odkazu* na ten majątek; a zatem zakładać go, prawa dostatecznego mi brakło.

Smoliński osłupiał trochę.

— No! źle kaucją przyjęto.

— Cóż z tego, że ją przyjęto bezprawnie; niech ci pokutują, co przyjmowali.

— Ależ oni nam łaskę zrobili.

— Niech kpy jakieś łaski nie robią przeciw prawu. Jadę do Żytkowa i wyrobię co potrzeba, tylko mieć muszę na to pieniądze. Co mamy w kasie?

— Wczoraj ostatnie pięćset złotych oddałem w moc pensji hrabiemu Sylwanowi, i dwieście hrabinie; zostało sześćdziesiąt sześć, groszy dwadzieścia.

— Siedźże sobie z niemi, ja na drogę dostanę.

— Ale tu grubego grosza potrzeba, bo u nas wszystko się wprawdzie robi, ale robota drogo kosztuje.

— Jak myślisz? 30.000 dosyć będzie?

— Do zbytku.

— No! to mi wystarczy.

— Ale zkądże je wziąć?

— Spytaj lepiej zkąd wziałem.

— Jakto? już są...

— Już są.

— Ale zkądże u licha?

Hrabia mimo strapienia, uśmiechnął się zwycięzko.

— Prawdziwie — rzekł dotknięty Smoliński — ludzie

są osobliwszej łatwowierności.

— Kto ma ustaloną opinią i kredyt.

Smoliński ruszył ramionami.

— Proszęż hrabiego, dla kogo mam oblig przygotować?

— Panu rotmistrzowi.

— Co? jeszcze Kurdesz dał?

— A! nie, nie Kurdesz: temu nawet zaległy procent potrzeba dziś wypłacić jak najregularniej, żeby się nie zgłaszał o kapitał, ale panu rotmistrzowi Powale.

— O! cóż u licha! nie domyśliłem się! — zawołał Smoliński śmiejąc się — to co innego!

— Jakto co innego, trutniu! — cały w płomieniach poskoczył hrabia zaciskając pięście — mów mi zaraz, z czegoś się rozśmiał? co myślisz? co to jest: jakie co innego?

Smoliński odparł spokojnie spluwając:

— Jużciż to co innego, bo to nie interes, ale przyjacielska pomoc. — I przycisnął na wyrazie *przyjacielska.*

Hrabia ruszył ramionami, ale wewnątrz wrzał.

— Coś zrobił z Pęczkowskim? — spytał odwracając rozmowę.

— Niepospoliciem go zażył. Wszak trzeba nam na procent dla Kurdesza około dziesięciu tysięcy.

— Na dziś rano! koniecznie! bo Kurdesz, pamiętaj wacpan dopilnował się dobrze: ma oblig krepostnyj, a to nie żart. Stary póty gładki, póki wierzy: rozdrażniwszy go, nie żartować.

— Ej! nie takim jak on dawaliśmy rady!

— No! ale cóż z Pęczkowskim?

— Co? Zażyłem go z mańki, powiedziałem mu tak:

masz wacpan do wyboru, albo oblig na prostym papierze, zamiast zgubionego, i pokwitowanie nas przed aktami, bo inaczej nic nie damy; albo odnowienie obligu, wziąwszy kontrrewers na wypadek odszukania zgubionego, ale nam pan musisz dodać 10.000 dla zaokrąglenia sumki.

— I cóż Smołko? co? — uśmiechając się spytał widocznie uradowany hrabia.

— A cóż? stękał, kwękał, piszczał, prosił, nudził, durzył, gniewał się trochę i pojechał nareszcie po te 10.000.

— No! toś chwat! wracam ci *activitatem.*

— Prawda! ha!

— Oddaję ci sprawiedliwość, masz moję łaskę! — dodał hrabia.

— A więcej co? — spytał Smoliński frantowato.

— O! chcesz więcej; sto złotych gratyfikacji.

— Pieniądze teraz drogie i rzadkie — przerwał plenipotent — wie pan hrabia co: ot prosiłbym o asygnację na parę koni do Słomnik, ja tam sobie parę szkapek wybiorę; moje klacze się poźrebiły.

— Filut! to ty sobie weźmiesz...

— Rozumie się co będę mógł najlepszego.

— No! no! bierz cię licho. Za interes z Pęczkowskim warto: dałeś dowód niepospolitej zręczności.

— Jużto — przerwał Smoliński, wiedząc, że hrabia lubił dosyć choć niezgrabne pochlebstwo — jużto przyjmując co mi słusznie należy, muszę się i hrabiemu dziwić. Dwa interesa wśród balu tak obmyśleć, to trzeba głowy Sa...yna!

— Patrzcie trutnia! dopiero dziś przekonał się, że mam głowę!

Smoliński rozśmiał się na całe gardło.

— A teraz — rzekł hrabia — jeszcze słówko. Powiedz mi (przystąpił do niego bliziuchno i głos zniżył), zkąd ta stara kwoka hrabina Czeremowa, rozumiesz, zkąd ona mogła przewąchać, że my nie jesteśmy w tak złotych interesach, jak sobie ludzie myślą?

— Alboż co?

— Ba! co myślisz! Wczoraj mi poczęła prawić komplementa słono-gorżkie, na które jej potrafiłem odpowiedzieć. Wyobraź sobie, że śmiała mi wyrzucać Samodoły, dane mojej żonie z długiem bankowym i swojemi deportatami, od których procent płacę.

— Żartowała staruszka.

— Śliczne żarty! A sobie jednakże zostawiła ośmset dusz czyściuteńkich.

— I dlatego nie wypadało jej drażnić, panie hrabio.

— Nie mam co starej oszczędzać: wiem dobrze że idzie za mąż, a kto ją weźmie nie opłącze się darmo.

— Kto! kto! hrabina Czeremowa?

— Jak ci mówię.

— Ej to żarty!

— Nie, wcale nie żarty; bierze sobie ubogiego, młodego, ładnego chłopaka, któremu resztę majątku chce zapisać, czy podobno sprzedać. A ja z posagiem żóny zostanę na Samodołach. Wymówki czynione mi wczoraj były podobno tylko powodem wyszukanym do kłótni, żebym jej nie mógł dokuczać i odradzać, ale ja może znajdę na to sposób.

— Oj! i to niedobra nowina! — rzekł zasępiony Smoliński. — Ale sześćdziesiąt przeszło letniej babie iść za mąż!

— Co chcesz? znudziło się próżnowanie, a ma się

jeszcze za piękną i za młodą; kupi baronowstwo temu chłystkowi. Ale to na stronę. Com się chciał pytać: czy tu już chodzą jakie wieści niedobre o moich interesach? powiedzno mi szczerze.

Smoliński podumał.

— Prawdą a Bogiem, chodzą różne pogłoski, panie hrabio; ale jak to u nas, o każdym radzi mówią że jest zrujnowany, a jednak fortuny choć podpierane szkarpami trzymają się, więc ludzie czasem i prawdzie wiary nie dają.

— Jednakże już gadają...

— Alboż o kim nie mówią podobnie? Zawsze to tak bywało.

— Masz na to dowody?

— Nie daleko szukać: Kurdesz się pono skrobie i myśli już podnosić kapitał; Pęczkowski truchleje, inni niemal w ręce całują.

— To źle! Jak się jeszcze dowiedzą o sekwestracji na Słomniki, opadną mnie ze wszystkich stron pozwami; zginę!

— E! nic to! wyrobimy się jakoś, ale już potrzeba będzie miedzianem czołem i zuchwale, bez dzisiejszych zaklinań, ceremonij i udawań.

— Tego-bo ja nie chcę.

— Będziemy musieli.

— Drugi interes, mój Smoliński. Żonie mojej, Sylwanowi i Cesi, i Angielce, ani grosza pod niebytność moję. Powiesz im, że w pośpiechu wyjeżdżając nie zostawiłem żadnej dyspozycji. Jeśli gwałtownie potrzebują, niech u ciebie pożyczą, zapłacą procent.

Smoliński się roześmiał naiwnie.

— Ale zawsze pożyczka z kasy i procent do kasy.

— To się rozumie. Ale czegoż ty Smoło się śmiejesz? — zawołał oburzony znowu hrabia. — Cóżto w tem złego? Musiałem się wycieńczyć na te pensje dla nich, dobrze coś z tego odkroić. Nie bierze się od nich więcej nad dwa i pół procentu miesięcznie jak żydzi, pół procentu dla ciebie a reszta do kasy.

— Znam już oddawna tę manipulacją.

— Nikomu pod moję niebytność nie płacić nic; to druga reguła.

— I ta nie nowa.

— Jeśliby kto chciał co dać, bierz, i z mocy plenipotencji skrypt wydawaj; jeśliby się jaka formalność upiec mogła ze względu na przyszłość, nic złego; zawsze trzeba pamiętać, żeby się było czem ratować.

— Brać choćby najwięcej.

— Choćby najwięcej.

— A z temi pieniędzmi co robić?

— Zatrzymać do wyraźnej mojej dyspozycji.

— Cóż robić w Słomnikach?

— W kluczu Słomnickim, niż go sekwestr uchwyci, jeśli się wyrobić nie potrafię, co tylko da się uratować, brać i wywozić; bydło zaraz odpędzić, owce, miedź zabrać do Denderowa, sterty za granicę Denderowską poprzewozić i pozrzucać, z lasu sprzedać żydom do Żytkowa co tylko sprzedać się może.

— Ale jeśli się wyrobim, jak pan graf ma nadzieję, do czegoż to wszystko?

— Jeśli się wyrobim, to dobrze, nie zaszkodzi jednak ostrożność: trzeba wszystko przewidzieć.

— Zapewne, cóż szkodzi ostrożność!

— Na Sylwana, jeśliby gdzie szukał kredytu, pilne mieć będziesz oko; żydom powiedzieć, że nie ma rezy-

gnowanej schedy i jest bez żadnej ewikcji, a ja cudzych długów płacić nie myślę.

— To tylko procent powiększy: żydzi zawsze dadzą.

— A! jeśli zechcą, niech sobie zresztą dają.

— Więcej nic nie ma pan hrabia do rozkazania?

— Przypominam ci tylko, kochany Smoło, że procent Kurdeszowi potrzeba dziś zapłacić. Zresztą zrób co można, żeby dostać jak najwięcej, a wydac jak najmniej pieniędzy: to prawo ogólne.

Smoliński się ukłonił, uśmiechnął i wyszedł: hrabia wpół ubrany, drzemiący trochę ze znużenia upadł na sofę.

Około południa, kocz jego upakowany leciał już pocztowym gościńcem do gubernialnego miasta.

Sylwan kierował się w brzezinę, w której raz pierwszy spotkał Franię, ale teraz sam już bez Janka. Kurdesz tymczasem odebrawszy procent i wedle zwyczaju ofiarowawszy Smolińskiemu źrebaczka, (bo co rok coś mu dać było potrzeba przy odebraniu procentu) odjechał do domu, niebardzo się troszcząc o podniesienie kapitału.

Na pierwszy raz nikogo nie zastał młody hrabia w brzezinie do Wulki należącej, i daremnie parę razy przez nią przejechał; ale Frania nalegała dnia tego na Brzozowską, żeby pójść na grzyby, i ból tylko w nodze poczciwej towarzyszki przeszkodził do uprojektowanej już przechadzki.

Sylwan pojechał z chartami, znudził się i powrócił do domu w kwaśnym humorze, przysięgając sobie, że nigdy już więcej nie pojedzie, powtarzając nieustannie,

że ta niewdzięczna dziewczyna nie warta jest jego zabiegów.

Ale we trzy dni znowu, na gniadej angielce swej ruszał do brzeziny sam jeden. Los, który chętnie płata ludziom figle, i często im też robi przysłużki, które figlami pachną, chciał, by tego dnia Frania z Agatą tylko i Horpyną poszła sama na grzyby, właśnie ku drodze od Denderowa. Dziewczęta puściły się w las nieopodal od drożyny, a Frania na wywale usiadłszy, odpoczywała zarumieniona, gdy Sylwan ukazał się na ładnym swym koniu. Uśmiechnął się nieznacznie gdy ją zobaczył, ona się strwożyła, choć nie przysiągłbym, że marzyła, iż przyjechać powinien.

Widząc, że Frania wstaje z kłody, podskoczył żywiej ku niej i spytał wesoło:

— Co pani tu robi?

— Wyszłam na grzyby — odpowiedziała naiwnie.

— Ten lasek musi w nie obfitować, — odparł Sylwan — a to dla mnie bardzo szczęśliwie, bo i ja często przez niego przejeżdżam.

Frania się ogromnie zarumieniła na nowo, nie wiedziała co odpowiedzieć, spojrzała mu w oczy, jakby z nich chciała poznać czy mówi szczerze, czy żartuje; a nie widząc, jak tylko zimny uśmiech na twarzy młodzika zawczasu tryumfującego, uczuła się ogarnioną jakimś przestrachem niewysłowionym: ukłoniła mu się niezgrabnie, zawróciła żywo w las i znikła.

Sylwan, który dłuższej spodziewał się rozmowy, nie wiedział co począć z sobą: postał chwilę myśląc, że powróci, wreszcie skrzywiony zaciął konia i pojechał. Przebył lasek ku Denderowu się kierując, potem zawrócił jeszcze, przejechał drożynę parę razy, sądząc,

że Franię spotka, i posunął się aż na ścieżkę którą iść miała do domu, chcąc ją tu napędzić.

Ubodła go obojętność wieśniaczki; obrażony pragnął się za nią pomścić. Ale i tu jeszcze mu się nie udało: ujrzał bowiem Franię w towarzystwie dwóch dziewcząt naprost ścieżką przez ściernie żytnie idącą do dworku, a gonić jej mu nie wypadało. Zły, gniewny, znowu poprzysięgając sobie, że już nie wróci więcej, wściekle pogalopował do domu. Koń jego zmęczony, on sam zły i kwaśny, stanęli u ganku oficyn o mroku.

W Wulce Frania i Brzozowska siedziały na kufrach i rozmawiały pocichu we cztery oczy. Frania nie miała dla swej towarzyszki tajemnic, a Brzozosia je też, gdyby jakie i były, doskonale wyciągnąć umiała. Zaraz się wydało, że w lasku spotkała Frania Sylwana, wydało się co mówił: że dziewczę uciekło, że on potem po gaju błądził, że go Agata widziała na drodze ku Wulce.

— Otóż już ani chybi amant! — zawołała Brzozosia plaskając w dłonie — prawdę mówiąc, kochanie, ja się tego zawsze spodziewałam, ale teraz już pewna! Wczoraj kładłam kabałę razy sześć: wyżnik czerwienny raz-po-raz przy damie winnej stawał z prawego boku. To już taki widocznie przeznaczenie.

— Ale moja Brzozosiu, to grafiątko.

— Jakby to grafiątko zakochać się nie mogło.

— Taki młody, moja Brzozosiu, głowa roztrzepana.

— Tem lepiej, że młody.

— A w dodatku ojciec, matka, nigdyby nie pozwolili.

— To stare historje, moje kochanie! Czytałam i słyszałam o tych ojcach, co to nie pozwalają: ale to zawsze kończy się na tem, że się muszą przekonać i

radzi nie radzi pobłogosławić. Zresztą chybaby byli obrani z rozumu, gdyby pozwolić nie chcieli: a gdzież u licha co lepszego znajdą?

— A nie pytasz Brzozosiu nawet, czy on mi się podoba?

— Cóż? albo nie?

— Dziwuj się jak chcesz, ale coraz mniej; wcale nie tęsknię za nim.

— No! ale możeż być, żeby taki śliczny, młody...

— Nie przypatrzyłaś mu się; gdy się uśmiechnie wydaje się straszny: ma coś nieszczerego.

— Imaginacja! imaginacja! przywidzenie! Ale to tak zawsze z początku! Najlepszy znak, kiedy się panna kawalera boi: niezawodnie pójdzie za niego. To już nigdy nie chybi. Powiem ci Franiu, i jam-to była dawniej, pókim się w to sadło nie rozlała, dosyć hoża. Cześnikowicz na mnie bardzo patrzał, choć byłam ubogą dziewczyną; a nietylko on, ale i pan Paweł, i pan Remigian nieboszczyk smalił do mnie cholewki, a muszę ci się przyznać, że dla Remigiana miałam słabość. Takie-bo śliczne imię, i chłopiec był gdyby dąb. Bywało jak krzyknie na żart, to się szyby w oknach zatrzęsą. Otóż powiem ci kochanie, że w początku ani mi się śniło, anim na niego patrzeć nie chciała, a potem tak mnie za serce pochwycił, że nie było rady... Ale taki woli Bożej widać nie było...

I westchnęła, a Frania roześmiała się nieznacznie.

— Otóż ci jeszcze powiem serce — mówiła dalej — jeśliby ci się kiedy przydarzyło go spotkać tak jak dzisiaj, po co uciekać? Trochę sobie pogadać, trochę pobzdurzyć, pożartować, nie grzech zdaje się młodemu. Niechno się panicz rozpatrzy, a ja taki ręczę, że bę-

dziesz hrabiną.

— Ale moja Brzozosiu, nuż to jaki zwodnik i żartowniś, co się tylko chce naśmiać z biednej dziewczyny.

— Jezu Chryste! Cóż-bo ty Franiu gadasz, a któżby to mógł pomyśleć, z ciebie! z tej malinki! z tego złotego jabłuszka! z tego aniołka!

Frania roześmiała się rzucając na szyję Brzozosi.

— Nie psuj mnie proszę — odezwała się wesoło.

— Dzieciństwa bo ci się snują po głowie, Franiu moja; ja mu dobrze w oczy patrzałam, to młode i dobre jakieś chłopczysko... No... i kabała sześć razy wypadła. Taki musisz być grafinią!

Pomimo, że hrabia Sylwan dał sobie uroczyście słowo nie jeździć mimo Wulki, trafiało się jakoś zawsze, że tamtędy szła droga w tysiące miejsc, do których koniecznie jeździć musiał. Kilka razy jakoś nie uważając zabłądził na tę drożynę, a raz koń znowu był tak zmordowany, że zsiąść musiał z niego i pieszo przejść przez lasek.

W oddaleniu mignęła mu się biała sukienka pomiędzy brzozami, i naświstując na psa, nawołując go, choć z sobą nie wziął z domu, Sylwan puścił się żywo w kierunku różowo-białego zjawiska. Trafił tylko na Horpynę; Frania bowiem postrzegłszy to natręctwo, wolała wybrać inną drogę, niż spotkać się z nim wśród lasu.

Sylwan zakręciwszy się po brzeźniaku, zawrócił się za nią i naturalnie wreszcie spotkać ją musiał.

Powitali się jak dawni znajomi, chociaż Frania widocznie mocno była wzruszona, a Sylwan dosyć zniecierpliwiony.

— Dobry wieczór pani.

— Dobry wieczór panu.

— Pani tu znowu na przechadzce?

— Tak; to bliziuchno od domu, najczęściej tu wychodzę.

— Jakże się ma pan rotmistrz?

— Mój ojciec? dziękuję panu bardzo, zdrów zupełnie; pojechał dziś do plebanii, i właśnie czekam na niego, bo ma tędy powracać.

Skrzywił się trochę Sylwan; ale korzystając z chwili, wesołą począł rozmowę. Frania, proste dziewczę, ale nie brakło jej dowcipu; a przy odrobinie życia, dwoje czarnych biegających młodych oczu jakże są wymowne, gdy im i białe ząbki, i uśmiech, i ruchy, i wszystko co je otacza, dodaje wdzięku i wyrazu! Słyszymy nie raz to nawet, czego te oczy nie mówią. Sylwan, który ten romans poczynał w projekcie ukończenia go i uczynienia bardzo nie ceremonjalnym a poufałym dziwił się sam sobie, że onieśmielał przy dziewczęciu, które otaczał urok jakiś niepojęty dla niego. Gniewał się na szacunek, którego nie mógł nie uczuć dla niej.

Tego wieczora zaczęli i skończyli od pan i pani, i obojętnej całkiem rozmowy, gdy wózek pana Kurdesza zaturkotał w samą porę zdaleka. Frania pozostała na miejscu na drodze; Sylwan dosiadł angielki, i puścił się w cwał ścieżką poboczną, aby uniknąć spotkania ze starym rotmistrzem, o którego zdrowie przed chwilą tak się czule rozpytywał.

Franię to oburzyło nie bez przyczyny; nie pojmowała dla czego chciał robić tajemnicę z przypadkowego spotkania i chwilowej rozmowy.

Wkrótce, turkocząc coraz bliżej, wózek się ukazał

nareszcie ze spasłą chorążanką, poważnie idącą w hołoblach, i rotmistrzem, który wedle zwyczaju sam jadąc powoził. Ujrzawszy córkę, zatrzymał się stary, posunął trochę, poprawił siano, i wskazał jej miejsce przy sobie.

— Pewnieś się nalatała dosyć, musisz być zmęczona — rzekł łagodnie — siadaj, to cię do domu odwiozę.

— Jabym poszła piechotą, kochany ojcze!

— Siadajno, siadaj! ceregielów nie rób. Chorążanka jeszcze i nas dwoje pociągnie.

I Frania lekko skoczyła do wózka, sadowiąc się przy ojcu. Po zapytaniach o plebana, o drogę, o dom i robotników koło domu, których Franka widziała, wypadło coś powiedzieć o panu hrabi, bo właśnie dla tego, że on robił tajemnicę ze swej wycieczki, ona jej ścierpieć nie mogła.

— A wiesz tatku! kogo już drugi raz spotykam w brzezinie?

— O! kogoż? wilka czy zająca?

— A! proszę zgadnąć.

— Psa albo wilka? co? — rzekł stary, śmiejąc się.

— Ale nie! — śmiała się Frania — wcale coś innego; proszę zgadnąć koniecznie.

— No! kogoś z sąsiadów.... z sąsiadek.... ale nie z bliskich.

— Starego czy młodego? — zagadnął Kurdesz.

Frania mimowolnie się zczerwieniła.

— Młody! — odezwała się ciszej.

— O! to sęk, nie zgadnę; mów lepiej odrazu, bo się nie ofiaruję liczyć wszystkich młokosów, co ci na przełaj zabiegają.

— Otóż spotkałam... hrabiego Sylwana.

— Co? z Denderowa?

Stary zagryzł wargi, zamyślił się, a wzrok jego ożywiony zwrócił się na córkę. Potem pocałował ją w czoło.

— Bóg zapłać! — rzekł — za to, że mi mówisz szczerze co cię spotka, bo trzeba wiedzieć, moje serce, że to nie bez kozery. Panicz tędy nie ma nigdzie drogi, i przysięgnę, że podjeżdża umyślnie.

— Jakto? dlaczegożby?

— Ba! dla twoich ładnych oczek, moja Franko! Ale ostrożnie z paniczami tego kalibru! ostrożnie! Frant wyrachował, żeby sie ze mną nie spotkać; a mówiłże z tobą?

— A jakże, i dość długo.

— I gdym najeżdżał...

— Obrócił się ścieżką w las.

Kurdesz pokiwał głową i uśmiechnął się.

— Mądry on — rzekł z cicha — ale i ja nie głupi. Ho! serce, nie darmo wpadlaś mu widzę w oko; a że kawaler ożenićby się nie chciał, starać się nie raczy. Chciałby ciebie cichaczem rozkochać, a potem porzucić, jakto oni umieją. Ale zobaczymy, co z tego będzie.

— Jakto ojcze? — spytała śmiało naiwna Franka — mógłżeby on tak podle, tak nikczemnie...

— Słuchaj dziecko! — rzekł stary z wyrazem głębokiego uczucia — ty tak znasz świat mospanie, jak ja wiem co się na księżycu dzieje. Panowie wszyscy niemal tacy jak on; dla nich my szlachta drobna nał usługi, na uciechę, nic więcej; oni myślą że nam wszystko zapłacić można. Strzelbie, koniowi i panu nie wierzyćł Gdyby miał uczciwe myśli, czyżby, proszę cię, mospanie, nie przyjechał jak się godzi do nas do domu, nie!

pokłonił się ojcu? a to szuka ciebie i kryje się w lesie jak złodziej, nic potem...

Frania zarumieniła się znowu; pojęła ona trafność uwag ojcowskich, i oburzyła na młodzika.

— Nie prawdaż? — spytał konfederat.

— Ja nie wiem — szepnęła Franka.

— Więcej już do tego lasku wara! Jeśli paniczowi wpadłaś w oko, no! to znajdzie nas w chacie, mospanie. Jeśli się tylko swego ojca boi, na to może być rada; *est modus in rebus;* ale jeśli myśli z nas sobie żarciki stroić, zobaczymy, kto tu kogo na dudka wystrychnie. Niechże ci Bóg, mosanie, Franiu zapłaci za to, żeś mnie tak poczciwie ostrzegła. Kto wie, wielkie nieszczęście grozić nam mogło przez tego chłystka!

Szlachcic jakby myśl straszną otrzepnął z siebie, podniósł głowę, pokiwał nią, i podpędziwszy klacz, rozmawiając swobodniej z Franią, która odzyskała wesołość, śmiała się i czuła bezpieczną pod zasłoną ojcowskiego ramienia; — zajechał tak przed ganek, i chorążankę poklepawszy jak zwykle, do stajni odprawił.

Wiadomość o podjazdach tatarskich hrabiego tak starego opanowała, że się z Rozbojem nie przywitał nawet, nie posiedział na ławce; a zawoławszy Franię i Brzozowską, wszedł zaraz do pokoju naprzeciw. Brzozosia tak ekstra-ordynaryjnem wezwaniem stropiona, bo nigdy o tej godzinie powoływaną nie była, wpadła jak burza i stanęła, poglądając to na ojca, to na córkę.

Kurdesz wyjrzał za drzwi, pogładził wąsa, poprawił włóczkowego pasa, i rzekł do Brzozosi, pałającej już niepohamowaną ciekawością:

— Moja serdeczna panno Marjanno!

Na tak niezwykłe powitanie Brzozosia otwarła ogro-

mnie gębę, i spodziewając się czegoś nadzwyczajnie dziwnego, oczy otworzyła także, ręce obie podniosła, stojąc jak w słup obrócona Lotowa żona.

— Moja serdeczna panno Marjanno — powtórzył stary — gdybyś też raz w życiu, przez przyjaźń dla nas, potrafiła język za zębami utrzymać.

— I pluń panie rotmistrzu! — z oburzeniem odparła odwracając się Brzozosia. — Cóżto znowu? albożto jaką zrobiłam plotkę? co to jest?!

— Plotkę nie plotkę, znam twoje serce złote, szanuję cię, to dosyć powiedzieć, jak moję nieboszkę; ale prawdą a Bogiem, język ci często świerzbi.

— Ale cóżto jest u kaduka! — gorącując się i burcząc przerwała Brzozosia. — Cóżto za jakieś dziś nie wiedzieć zkąd i czego wymówki?

— Ale to nie wymówki, to tylko przyjacielskie przestrogi.

— Cóżto jest? zkąd? co? na co? po co te przestrogi?

— Co jest mospanie, to ważna sprawa, a w niej *in primis*...

— Któż u licha ten *Inprimisz?* Ja żadnego nie znam. Inprimisza żadnego nie było tu i nie ma.

Kurdesz się roześmiał serdecznie, a Frania za nim.

— *In primis* znaczy toż samo, co naprzód.

— Więc cóż naprzód rotmistrzu?

— Naprzód potrzeba milczeć jak słup...

— Ale jakże milczeć, kiedy nie wiadomo co i jak?

— Posłuchajże mospanie.

— Toż słucham, słucham, już aż uszy więdną.

— Święci się coś z kosa na prawo, że hrabiątkowi. co to tu był, podobno w oko wpadła Frania.

— A co? a co? a co? nie mówiłam! — krzyknęła

Brzozosia, przyskakując kolejno do Frani i do rotmistrza — a co? nie na mojem stanęło?

— Alboż co?

— Ja to odrazu mówiłam, że mu w oko wpaść musi.

— Komu?

— Ona jemu, on jej, dalibóg!...

Kurdesz ruszył ramionami.

— Toście mówili i przedwcześnie i niepotrzebnie.

— Nie ucz mnie pan, to już sądzono.

— Sądzono nie sądzono; paniczowi nasz domek śmierdzi, nie chce się poczciwie starać; chciałby sobie tylko figlami potajemnie dziewczynę ułowić, a potem szast nogą, i kłaniam uniżenie.

— Chowaj Boże! chowaj Boże! — przerwała Brzozosia — gdzie zaś! zkąd zaś!

— Zkądże to wiesz panno Marjanno?

— Zkąd wiem to wiem; ale to pewno, że sześć razy kabała mi wypadła...

— E! dałabyś pokój temu głupstwu!

— To u niego i kabała głupstwo! — łamiąc ręce z komiczną zgrozą zawołała Brzozosia.

— Słuchajże mnie waćpanna: oto już drugi raz dziś panicz w lasku Franię spotyka, szuka jej widocznie, zawiązuje rozmowę; szczęście tylko, że Frania ma rozum, i mnie zaraz o tem powiedziała.

Brzozosia, choć ruszając ramionami, zamilkła.

— Paniczowi chciałoby się widać bez pana ojca, bez uczciwego starania, romansów nowomodnych po pańsku.

— Ale cóż panie rotmistrzu?

— Ot co, mospanie, panno Marjanno: Frani aspanna nie puść odtąd krokiem od siebie i bez siebie, a z przechadzek do lasu kwita. Spacerujcie po ogrodzie

albo gdzie w drugą stronę, tak, żeby was nie spotkał. Jeśli szczerze kocha, niechże się po ludzku stara.

— A zapewne! i zobaczysz rotmistrzu, że przyjedzie, jak Boga kocham; co sądzono, tego nie przekiwać.

— Oj nie! — rzekł stary — raz może, dwa może; ale nie namto do hrabiów oczy podnosić: oni jak żydzi tylko się z sobą swatają i żenią.

Brzozowska poskrobała się w głowę.

— A jak się zniecierpliwi i porzuci? — spytała z bojaźnią.

— No! to jechał go sęk! — zawołał rotmistrz. — Cóżto moja córka ma sobie żebrać męża? Mosanie, alboto my nie taka szlachta jak drudzy, jeśli nie lepsza? Czyto ja po niej nie dam i Wulki i dobrego grosza pod poduszkę? Alboto ona kulawa, garbata czy szpetna, żebyśmy się z nią prosili i wdzięczyli jak suczka na przewozie?

— Co to, to prawda, kochany rotmistrzu!

— Więc *motus*.

— Jaki motuz? — spytała ciekawa Brzozosia.

— Cicho!

— A! rozumiem: motuz, węzeł, jak węzłem gębę zawiązał — dobrze! A jak sobie zresztą chcesz rotmistrzu! Taki hrabiątko nasze i nasze, jakem żywa; nigdy mi sześć razy z rzędu na jedno kabała nie wypadła darmo; pomyślcieno! sześć razy!

Było to we wtorek. Środę, czwartek i dni następne, ufny w potęgę swych niezliczonych wyższości i przymiotów, dzień po dniu Sylwan jeździł do brzeziny; widziano go z Wulki, i rotmistrz uśmiechał się pod

wąsem; w piątek nawet wysłał chłopaka, żeby go spytał czy nie zabłądził. Skorzystał z tego hrabia, i dawszy mu dwa złote, chciał się dowiedzieć, czy kto we dworze nie chory; ale parobek zaręczył, że wszyscy zdrowi jak ryby. Hrabiątko kwaśne pojechało do domu.

W niedzielę Frania z Brzozosią krytą bryką staroświecką, z parobkiem w nowej świtce na koźle, pojechały do kościoła. Kurdesz został w domu, domyślając się, że tam się z niemi Sylwan spotka. Prorokowała to i Brzozosia, a Frania nie bez ciekawości, wchodząc rzuciła okiem po kościele. Hrabia stał za ławkami, ukłonił się jej nieznacznie, i już go nie postrzegły aż wychodząc dopiero. Spotkał je u drzwi. Brzozosia drżała z niespokojności, i zarzuciła go zaraz pytaniami, uśmiechami, bijąc łokciem w bok Franię, ile tylko miała siły.

Frania ze spokojem dziewiczym odpowiedziała mu swobodnie na kilka zapytań, wesoło, raźnie uśmiechając się i poglądając, a odzywając się tak zręcznie i tak szczerze razem, że paniczowi przygotowane frazy na ustach zamarły. Najgorzej strapiło go to, że Frania na głos mu powiedziała:

— Mój ojciec bardzo żałował, że się we wtorek z panem hrabią nie spotkał: chciał go prosić na podwieczorek.

— Co u licha! — rzekł w duchu — albo to zdrada, albo nadzwyczajna powolność. Więc zaraz mu o mnie powiedziała!

Trochę złego humoru napędziła mu ta wiadomość i podrażniła go niewymownie, gdy ją wziął na rozwagę; w dodatku, w obec wszystkich dystyngowanych osób sąsiedztwa, z łaski Brzozosi, która go bez ceremonii

zatrzymała, musiał z niemi pozostać długą chwilę w przedsionku kościelnym, w towarzystwie dwóch niepoczesnie ubranych szlachcianek, z których jedna miała minę fasy z rozwieszonem na niej odzieniem, i nastrzępiona była w sposób bardzo śmieszny. W dodatku, wśród szeptów, śmiechów i wskazywania palcami młodzieży i kobiet, Sylwan podsadzić musiał do bryki odwiecznej Brzozosię i Franię; a Brzozosia, że jej to w oczach całej parafii niezmiernie pochlebiało, tak powoli siadała do bryczki, tak umyślnie starała się przedłużyć tę chwilę tryumfu!

Nareszcie uwolniwszy się od tej pańszczyzny, którą nie wiedząc czemu dopełnił, bo się sam na to wściekał, wychwycił się jak z ukropu z tłumu, który nań szydersko poglądał, siadł na nejtyczankę, i uciekł zły, jak gdyby się zgrał do grosza.

Całą drogę nie poznając siebie, łajał się od słów ostatnich, reflektował, karcił, rzucał, gniewał, i przyjechawszy do domu, nie poszedł do pokojów, ale pociągnął z bolem głowy na łóżko.

— Na dzisiejszem basta — rzekł z zapałem — niech sobie głupią tę gąskę łapie kto chce, ja w to śmiecisko więcej ręki nie włożę. Ślicznie! ślicznie! skompromitowałem się dla wieśniaczki, naraziłem się na śmieszność, na wytykania palcami. Co ludzie powiedzą! co ludzie powiedzą! — całe sąsiedztwo mnie widziało! Piorunem pójdzie ta nowina po dworach... mogę sobie powinszować...

W istocie, nie było dnia tego mowy w sąsiedztwie o czem innem, i rotmistrz Powała spieszył do Denderowa na obiad, pilno pragnąc historją syna przywieźć matce. Hrabina opowiadanie to zniosła stoicznie, uśmie-

chnęła się dwuznacznie; ale brew jej zmarszczona i zaciśnione usta dowodziły, że nad tem uczuć musiała. Po obiedzie rotmistrz poszedł do Sylwana na fajkę i gawędkę o koniach, o kartach, ale mu nic nie wspomniał o pannie Kurdeszance, i odjechał. Wieczorem zdziwił się wielce Sylwan, gdy go do matki wezwano; nie byłoto we zwyczaju.

— Byleby nie chciała u mnie pożyczyć pieniędzy — szepnął w duchu zimno, przywdziewając kusy kraciasty surducik — wczoraj niepotrzebniem się pochwalił, że wygrałem.

Nie domyślając się wcale po co go wzywano, Sylwan poszedł do hrabiny. Znalazł ją przechadzającą się wielkiemi krokami po pokoju sypialnym, pełnym woni, błyskotek, kwiatów, fraszek, i wystrojoną jak obraz cudowny.

— A! nareszcie! Dzień dobry ci i dobry wieczór.

Sylwan przywitał matkę po angielsku: w jego świecie wszyscy byli równi, i powitanie okazało poufałość, nie uszanowanie.

— Głowa mnie boli okrutnie! — rzekł padając na kozetkę.

— I nie dziw! — odparła śmiejąc się przymuszenie matka. — *Vous faites des folies.*

— Ja? cóżto jest?

— Całe sąsiedztwo za boki się trzyma śmiejąc z ciebie.

— Ze mnie? cóżto takiego?

— Jedyny jesteś! *vous ne vous doutez méme pas?*

Sylwan doskonale się domyślał, ale udawał że nic nie wie.

— Jakże, proszę cię, szaleństwa wyrabiasz dla jakiejś

tam szlachcianeczki, którejbym ja może za pierwszą garderobianę wziąć nie chciała...

— *Qui vous à conté cela?* to jakieś plotki...

— *Mais mon Dieu!* wszak Wieluńska była na mszy (hrabina umówiła się, że nie wyda rotmistrza i złoży to na służące). Wszyscy się brali za boki, gdyś z temi paniami rozmawiał i wsadzał je do powozu...

— Wieluńska to mówiła?

— Powiadam ci, wszyscy umierali ze śmiechu.

— Z czegoż? — odparł Sylwan gniewnie. — Nikt się ze mnie nie śmiał i śmiać nie może, bobym to srodze ukarał.

Matka ruszyła ramionami.

— Pomiarkuj naprzód co robisz. W obec tysiąca oczu kompromitujesz się w sposób najdziwniejszy dla jakiegoś drapichrusta. *C'est inoui!* Zapominasz kto jesteś! Nic nie mówię nigdy za inne szaleństwa, bo mogę ich nie widzieć i nie wiedzieć o nich, a zatem nic mi do tego, ale to już zanadto...

Sylwan się nasrożył.

— Mamo — rzekł — pojmuję, że to czynisz z najlepszego serca, ale wcale niepotrzebnie, jestem już w wieku...

Hrabina roześmiała się.

— Lepiej od ciebie wiem o twoim wieku. Chciałam cię tylko przestrzedz, bo skandalem się brzydzę. Pamiętaj co mówią Arabowie: „Zgrzesz sto razy przed Bogiem, Bóg ci przebaczy; ale ani razu przed ludźmi, bo ci tego nie darują“.

Sylwan ruszył ramionami i z niecierpliwością jak zawsze, bo mu najłatwiej przychodziło się zniecierpliwić, okręcił się nic nie mówiąc po pokoju.

— Moje dziecko — odezwała się hrabina poważniej — *ayez de la retenue*, miej wzgląd na siebie i na nas. Cóż-to jest? wyspowiadaj mi się szczerze.

— Po prostu dzieciństwo, z którego sobie ludzie zrobili historją. Ojciec posłał mnie do tego tam pana rotmistrza, zapraszając go na imieniny. Nie wiem zkąd był ten zbytek grzeczności; podobno ojciec coś mu tam winien. Poznałem więc mimowolnie jego córkę.

— Cóż? tak ładna?

— Ładna! jak wszyscy! Świeża! młoda!

— I zawróciła ci głowę — spytała hrabina. — Nie wielkie-by to było złe gdzieindziej, ale ktoś tak niższy od nas położeniem i wychowaniem. Tysiąc ztąd kłopotów, plotek; u nich zaraz wszystko zwykli brać na serjo! Staraj się pogrzebać twoję passją — dodała z francuzka — daj temu pokój!

— Ależ tu passji nie ma.

— Choćby to była tylko fantazja!

— Chyba fantazja. Ale cóż złego, żem się z nią przywitał w kościele?

— To tylko nieprzyzwoitość; potrzeba było udać, że się nie widzi.

— O! na drugi raz zrobię to pewnie.

Hrabina nie odezwała się więcej: sparła się na łokciu i zamilkła; smutna jakaś myśl nią owładła. Sylwan powoli wyszedł i powrócił do siebie w najgorszym humorze.

Biedni byli słudzy, biedne psy jego tego wieczora!

Tego samego wieczora, o mroku nadchodzącym, Cesia siedziała przy fortepianie i brzdąkała na nim jedną

ręką, wyciągniona w krześle, trzymając przed sobą na uwięzi Wacława, który myślą biegał gdzieś daleko.

Milczenie przedłużało się już od kwadransa, przerywane tylko piosenką, którą niedbale przygrywała niekiedy Cesia, coraz to oczy ogniste podnosząc na młodego człowieka, któremu oliwy do ognia już nie potrzeba było dawać: płomień był widoczny.

Bo pierwsza miłość zawsze jest jak ogień po długiej suszy wrzucony, straszliwą i pożerającą; później, któż nie zna historji tego uczucia i nie umie się w niem kierować? W początku wszystko w niem tajemnicą, niespodzianem, strasznem, bolesnem, a obok boleści są też i dziwne, wielkie rozkosze, które się już nigdy nie powtórzą w życiu. Pierwsza i ostatnia, są najsilniejsze pewnie: jedna chwyta nas jak niespodziane szczęście, ukazując niezgłębione przepaści wiekuistych rozkoszy; drugą obejmujemy jak deskę ratunku, bo po niej nie ma już dla nas nic: głucha pustynia, cisza, grób i śmierć...

Wacław był w cierpieniach i rozkoszach najpierwszego w życiu uczucia, gwałtownego jak wybuch wulkanu, co wstrzymany w przepaściach ziemi wstrząsa górami i łamie zastygłą jej skorupę. Uczucie to tak silne, bo pierwsze, z którem postąpić sobie nie umiał, musiał taić w sobie, musiał z niem walczyć nieustannie, by nie dać mu się objawić.

Cesia, której to było nie pierwszą miłością ale próbą uczucia, ale snem przepowiednim, igrała ze wzbudzoną namiętnością, jak się bawi z ułaskawionem dzikiem zwierzęciem pan jego. Gdy ją tail Wacław, wywoływała; gdy okazał, odpychała śmiechem, szyderstwem, podziwem, udanem niepojmowaniem: chciała słów i nie

rozumiała ich; zrozumianemi rzucała jak dziecię piłką. Smutny był widok tego cierpienia i tej pańskiej obojętności na nie. Tak czasem wyrostki wiejskie pastwią się nad biednym pochwyconym ptaszkiem, któremu po jednym wyrywają piórku, którego skubią ze śmiechem. Cesia była nielitościwa jak dziecko, dla niej życie miało się jeszcze tak dziwnie piękne, tak obfite w nadzieje, że się ani myślała w progu jego zatrzymać; ale z nudy, z próżni chwilowej serca, szukała sobie zabawki.

— Niech mi pan co zagra! — zawołała nareszcie wstając — tylko proszę co wesołego.

— Cóż pani każe?

— Coś Straussa.

Posłuszny jak pozytywek Wacław, uderzył w klawisze: walc Straussa pod jego ręką tak wściekły przybrał charakter, iżby go szatani w piekle po wierzchach płomieni tańcować mogli. Nie zmienił w nim ani jednej nuty, ale wyraz tak był straszny, tak burzliwy i namiętny, że Cesia uczuła nagle coś na kształt przestrachu i smutku niespokojnego.

— A! czyżto wesołe? zlituj się pan.

— To walc Straussa.

— Innego!

Inny walc był znowu smutny jak płacz, łkania, jęk i boleść; tęskny jak rozpacz, wywoływał łzy, płynęła pieśń melancholijna, jak wstęga czarna: rzekłbyś, że to krzyk zranionego do głębi serca. A jednak był to walc Straussa, ale przezeń jak przez pierwszy, przezierała biedna, zraniona dusza.

Cesia się zachmurzyła, zamyśliła: widocznie poczynała się gniewać prawie.

— Jak to pan dziś grasz nieznośnie — zawołała

z wyrazem niechęci — walc jeden straszny, drugi łzawy: nie umiesz-że pan żadnego wesołego? Graj pan polkę, nie polkę-mazura, ale polkę wesołą.

— Nie rozumiem dlaczego pani chcesz w sobie dziś pobudzić wesołość, gdy jej sama posiadasz tak niewyczerpane skarby.

— Doprawdy? pan tak myślisz?

— Tak jest.

— Ależ wesołość powierzchowna, czy nie ukrywa czego czasem?

— Czasem kryje obojętność i chłód, i to podobno najpospoliciej.

— Nie myślę, żebyś pan miał prawo o tem sądzić i mógł o tem wyrokować.

— Przepraszam panią. Zapytany mówię co myślę.

— Najgorszy zwyczaj, panie Wacławie: nigdy się nie powinno mówić co się myśli; ale.... przepraszam, zapomniałam, że pan nie jesteś kobietą.

— I dla mężczyzny przyda się ta rada. Co pani grać mi każe?

— Na miłość Boga co wesołego.

— To tak trudno.

— Trudno! trudno! Wszakże to pierwsza z brzegu szejne-katarynka potrafi.

— Właśnie dlatego, że nie mam szczęścia być szejne-katarynką...

— Bądź pan nią na chwilę: zobaczym ile masz mocy nad sobą?

— O to pani chodzi?

— Gdyby.

— A więc gram...

I znów odezwały się klawisze, a polka wyrwała się

z pod palców Wacława tak świeża, tak strojna, tak namiętnie pusta, taka śpiewna i śpiewająca, że w oczach Cesi stanęły salony oświecone, i tancerze w białych rękawiczkach, i szepty tłumu wielbicieli... i cały świat jej marzeń pustych, szalonych, piętnastoletnich. A grał Wacław z takim wyrazem, z taką trzpiotowatością, jakby sam tańcował na upragnionem długo weselu.

— Brawo! brawo!

— Cóż teraz pani powie o mojej mocy nad sobą?

— Wielka, ale krótka jak polka. A teraz graj już pan co chcesz.

— Dzięki Bogu!

I począł z sonaty Chopin'a ten znany dziś tak powszechnie marsz pogrzebowy, z którym chyba drugi marsz Beethovenowski porównać się może. Wdzięk u obu melancholijny jeden. Beethoven tylko pisał swój, starym już podobno, obrobił go, wystudjował, wypracował umiejętnie, oszlifował djament. Chopin wylał z serca co w niem miał: naiwnie, poprostu, bez kunsztu prawie, jak Homer śpiewał, sam nie wiedząc o tem, że tworzył razem arcydzieło pomysłu i formy.

Cesia patrzała na Wacława i zdało jej się, że widzi zapalone pochodnie, długi szereg księży w czarnych kapach, trumnę ubogą na marach prostych i płaczących krewnych... Płacz ich powolny, tęskny raczej niż rozpaczliwy, chrześcjańską boleść, co ma pociechę w niebie, malujący i poddany woli Bożej.

— A! dosyć tej elegji — zawołała przerywając — to ten nieznośny pański Chopin, którego cierpieć nie mogę nawet w jego mazurkach. Są to mazurki filozoficzne, transcendentalne, Bóg wie co; a wszędzie smutek, a wszędzie taki gorzki smutek, jakby pieśń wygnańca...

— Smutek dusz wyższych, co zawsze wśród szczęścia nawet tęsknią do niebios.

— Dziękuję za komplement: ja co nie tęsknię, nie mam honoru należeć do dusz wyższych.

— Pani może tęsknoty swej tylko pokazać nie chcesz, boś nadto dumna, a wreszcie tak młoda. Któż tęskni tak młodo?

— Pan zawsze masz mnie za małe dziecko.

— Nie pani! o! nie!

— Graj pan wlazł-kotek za karę...

— Co pani każe... ale wlazł-kotka...

— Tak, to właśnie.

— Żarty czy...

— Doprawdy, chcę wlazł-kotka.

— Istotnie?

— Tyle razy powtarzam.

Posłuszny ale smutny i zniechęcony zagrał jej Wacław z tego tematu tak ciasnego, coś dziwnego, fantastycznego, zamieszanego, burzliwego, jakiś taniec czarownic z chychotem puhaczów i szumem wichrów... Dziką począł tę fantazją, urywał, chwytał tema, przerabiał go, łączył ze śpiewem, z którego naigrawać się zdawał, i bawił się z nim jak niedźwiedź zmuszony igrać z łańcuchem na którym go wodzą.

Nareszcie skończył: a dwie łzy w ciemności potoczyły się niewidziane po jego twarzy. Chciał odejść, ale Cesia nie życzyła sobie sama pozostać.

— Czegoż pan się tak spieszysz?

— Wie pani, że odjeżdżam.

— Pan odjeżdżasz? Dokądże to?

— Jadę... w świat.

— Cóżto? żarty dla rozczulenia mnie?

Pierwszy raz myśl rozstania zupełnego na wieki, przeszła główkę Cesi pustą, i czuła jakby ściśnienie serca, jakby smutek, jakby żal w zarodzie jeszcze nierozwinionym. Przywiązujemy się do ofiar pierwszych naszych namiętności.

— To nie są żarty — dodał Wacław — moja przyszłość cala jest w mojej pracy; dość długo byłem dla państwa ciężarem, dość im winienem i tego nigdy nie zapomnę; czas wreszcie samemu o własnych siłach pójść szukać chleba.

— Tylko chleba?

— Tylko chleba! Mogęż roić o czem więcej? możnaż dziś dobić się sławy obok mistrzów tylu? A! gdyby choć chleb czarny w ciszy, spokoju, ustroni; ale i o ten kawałek suchy, jeśli nie polany łzami, potrzeba będzie dobijać się walką z braćmi sierotami losu i gryźć jak o kość. To los co mnie czeka.

— Ale pan nie pojedziesz.

— Owszem pani, muszę jechać i pojadę.

— Będziesz czekał na powrót mego ojca.

— Hrabia pisał mi, żebym wyjeżdżał i ma mi dopomódz w Żytkowie, gdzie już na mnie czeka.

— Powrócisz przecie do nas?

— To Bóg wie jeden. Któż powiedzieć może: powrócę? A potem dlaczegóż i czegóżbym powracał. Wdzięczność moja wytrwa dla was i zdaleka, a państwu jam niepotrzebny. Zawołacie mnie kiedy, przybiegnę posłuszny jak pies do dawnego pana; ale w waszem życiu czemże ja jestem? Jednym z tych, których macie mnóstwo za pieniądze: czemś pośredniem między sługą a nudnym i z łaski przyjmowanym sąsiadem.

— Pan o nas źle może sądzisz...

— Nie. Rozmierzam tylko bacznie i bez złudzenia co nas dzieli i dzielić będzie wiecznie, co mnie oddala od państwa, i co się nigdy przełamać nie da. Jeśli będę potrzebny, zawsze przyjdę, choćby pieszo, choćby o kuli wam służyć.

— Pamiętaj pan — przerwała pusta Cesia, zwracając rozmowę, żeby ukryć trochę uczucia — że gdy zatęsknię za wlazł-kotkiem, wezwę pana choćby ze stolicy, żebyś mi go zagrał.

To mówiąc, poskoczyła z miejsca i odeszła.

Wacław spiesznie otworzył drzwi ogrodu i wybiegł szukać w chłodzie i cieniu drzew, w widoku miejsc znanych mu od dzieciństwa, uspokojenia, siły, rezygnacji.

Potrzeba było te miejsca opuścić, a my nędzni niewolnicy tak przyrastamy do ziemi. Pod tym względem jesteśmy rośliną, co przytknięta do gruntu ujmuje się go i chwyta, by żyć. I my w młodości zwłaszcza, chwytamy się każdego kątka, w którym chwila życia nam spłynęła, czepiamy się do niego, by cierpieć potem, gdy nas los przesadzi na ziemię nową. Wacław żegnał z kolei kątek każdy, choć nigdzie nie uśmiechnęły mu się uczucia przyjaźne, choć wszędzie przecierpiał od dumy, obojętności, wzgardy, szorstkości otaczających; ale miejsca cierpień są nam równie drogie, jak ozłocone szczęściem. Któż nie płakał po długiem więzieniu i czule nie wspominał go swobodny? Wacław szedł przez ogród i napawał się widokiem miejsc, które chciał zapamiętać na zawsze, bo myślał, że już do nich nie wróci, a były mu drogie. Trochę marzeń miłośnych, tych marzeń, co jak drobne maku nasionka, umieją wysoko wyrastać i bujnie rozkwitnąć; zdobiły jeszcze i urokiem swym opromieniały każdy kątek. Byłyto jak sny, jak

w chwilach usypiania dzikie obrazy, nieurzeczywistnione nadzieje; ich olbrzymiość i zarysy mgliste stanowiły piękność.

Kochał Cesię, a z dwuletniej miłości zostawała mu przy rozstaniu: gałązka rezedy zdjęta z posadzki, której się zaprzeć musiał, kilka słów dwuznacznych i wiele gorzkich płochej dzieweczki pocisków, które utkwiły głęboko.

Ogrodem zbliżył się ku stawowi, błądził długo nad jego brzegiem, i smutniejszy niż kiedy, powrócił do swojej izdebki, która pełna była upakowanych już rzeczy, pusta, smętna i duszna. Wrócił zrozpaczony o przyszłości, idąc w świat rozczarowany bez tych zwykłych nadziei młodych, bez marzeń sławy, czując, że nań oczekują walki, niedostatek, upokorzenia. Wszystko to przewidział, wszystkiego był już spróbował. Obojętny, z nadzieją tylko jedną, że sztuka którą kochał, będzie mu pociechą, szedł posłuszny losowi z zawiązanemi oczyma, mówiąc sobie:

— Na wszystkom gotów, co mi los zdarzy.

Cesia starała się zobaczyć z Wacławem na wyjezdnem, bo od tego wieczora zawitał do niej smutek dotąd nieznany i jakieś uczucie, które tłumaczyła sobie litością tylko. Nazajutrz spotkała go jeszcze u matki; wyszła do ogrodu potem, ale już Wacław pożegnawszy wszystkich i nie chcąc przedłużać ciężkich dla siebie chwil rozstania, popędził w tumanie kurzu ku nieznanej a strasznej jak przepaść przyszłości.

Cesia podumała chwilę, sparta na ławce w ogrodzie, poszła do sali do fortepianu i grać nie mogła: klawisze ją parzyły, miejsce gorące jeszcze było jego bytnością ostatnią, niepokój budził się w niej niepojęty, łzy cisnęły choć spychane do powiek dziwnem osłupieniem otwartych. Usiłowała się przemódz i nie mogła. Nazajutrz dopiero żal stał się lżejszym, potem została tęsknota tylko, potem... Ale nie łapmy ryb przed niewodem: przyjdzie nasz niewód na te tonie.

Sylwan gniewał się tylko na siebie, że tak niezgrabnie wziąwszy się do romansu z panną Kurdeszanką, wszystkich oczy uderzył, rozśmieszył sobą, wywołał plotki i sprowadził na siebie wymówki. Skompromitowany powinien był zerwać wszystkie stosunki, ale mi-

łość jego własna zbytecznie na tem bolała. Porwać się, nic nie dokazać, a w dodatku ludziom być pośmiewiskiem! tego znieść nie mógł: młoda jego duma i wysokie pojęcie o swych przymiotach, oburzały się na to. Chciał teraz pomścić się głośno, uwieść i porzucić; wolałby był, żeby go przeklinano, niż żeby z niego szydzono. Tak biedny miał przewróconą głowę, a serce zamarzłe!

Ale napróżno łamał sobie tę biedną głowę nad sposobami wyjścia zwycięzkiego z tej matni, w którą się uwikłał; nie widział żadnego. Gniewał się i złościł. W takiej dyspozycji umysłu, powracający przez Denderów z dalszej wycieczki, hrabia Karol Walski go zastał.

Sylwan przyjął przyjaciela z radością, rozbawił się przy nim; a z polecenia wyraźnego matki, podprowadzając go do siostry, zatrzymując, łapiąc, gdy sam-na-sam wieczorem pozostali, zwierzył się doświadczeńszemu całej swej przygody i dalszego jej toku bardzo szczerze, bo i wstydu, i gniewu, i chęci zemsty nie ukrył.

— Zamiast rady — rzekł Karol — powiem ci historyjkę nauczającą, tylko mi daj słowo, że jej powtarzać nie będziesz.

— Ale cóż znowu? myślisz żem plotka?

— Słuchaj więc. Znam zblizka w moich stronach młodego człowieka, który jak ty powiedział sobie, zobaczywszy młodą szlachcianeczkę, córkę ekonoma: — Cóż szkodzi pokochać się trochę, zabawić, rozerwać, a potem.... Któż myśli co potem będzie? — szepnął sobie — jakoś to będzie. Poczęła się tedy łatwa znajomość, łatwe między młodemi uczucia, coraz bliższe stosunki, a pan Strzemba, ojciec panny...

— Co ty mówisz? a toż Strzemba jest u was ekonomem! — żywo przerwał Sylwan.

Karol się trochę zarumienił, ale odzyskując odwagę i przytomność, wstydził się kłamać dalej.

— Słuchajże tem uważniej, bo to moja własna historja. My panowie wyobrażamy sobie wszystko, co niżej nas, ledwie człowiekiem, nie przypuszczamy, by poza naszą cywilizacją powierzchowną było i mogło być serce, obyczaje, myśli i uczucia. Lekko cenim sobie ludzi i błądzim co krok....

— No! ale cóż się stało z panną Strzembówną?

— Strzemba nic nie mówił, dom otworzył z zaufaniem, ledwie nie z zaproszeniem; znalazłem tu dziewczę, którego tęskna twarzyczka mnie ściągnęła, a które odrazu uszanować musiałem, bo było tego warte. Nie po naszemu, nie po francuzku wychowana, nie tak jak my mówiąca, od pań naszych daleko poważniejsza, wszystko biorąca serjo i uważająca za szczerze, pobożna, poczciwa...

— Daruję ci resztę litanji — przerwał Sylwan — widać dobrze udawała, ale ty chyba kobiet nie znasz?

— O! gdybyż udawała — kończył Karol — nie miałbym na sumieniu ją zwodzić; ale szczerego i wierzącego nam zawieść, zdradzić, to zbrodnia!

— Ba! takie zbrodnie!...

— Nie wahałbym się za nie powiesić.

— No! cóż dalej?

— Wplątałem się tedy w miłostki, z których już wycofać się i wybrnąć było niepodobna, bom myśląc się tylko zabawić, zakochał na prawdę.

— Jakież z ciebie cielę! Daruj hrabio, ale w pannie Strzembównie?!

— Może i cielę, ale stało się jak ci mówię.

— Cóż tedy dalej? bo to dla mnie żywa nauka.

— Dalej? dalej po dwóch leciech odwiedzin powtarzanych i ściskających się coraz stosunków, gdym siły nie miał jej opuścić, ani w łeb sobie strzelić, hrabia Karol Walski, herbu Topor, ożeniłem się potajemnie z panną Strzembówną.

— Co ty mówisz! — zakrzyknął porywając się Sylwan. — Jakto? tyś doprawdy żonaty?

— Jak mnie widzisz; a w dodatku szczęśliwy przez nią. Ale słuchaj końca. Ożenienie nie jest rzeczą tak łatwą i prostą, jak się niejednemu zapalonemu młodzikowi zdaje. Gdy rodzice mówią: wybieraj ze swego stanu, gdy cię rozsądkiem zimnym i nudnym kierują, nie sąto słowa bez znaczenia i gderanie dumy lub uporu. Ożenienie łączy nas nie z jedną kobietą, ale z całą nową rodziną, z całym drugim, jeśli ona do drugiego należy, światem. Przez nią spokrewniasz się z ludźmi, z któremi żyć nie możesz. Tak i ze mną; jestem szczęśliwy z panną Strzembówną, ale Strzembowie! A! Strzembowie! Strzembięta! Strzemboszęta! Strzembów krewni i powinowaci, kolligaci i familia: bo rodzaj Strzembów jest zawsze niesłychanie płodny i rozrodzony... Tu już sił i cierpliwości braknie!

— Prawisz mi rzeczy niepojęte i do wiary niepodobne, kochany Karolu! Byćże to może?

— Jest jak ci mówię. Przypominam ci tylko nawiasowo, że krom nas dwóch nikt o tem nie wie; pamiętaj, że jeśli się wygadasz, śmiertelnie mi zaszkodzisz i śmiertelnie mnie obrazisz...

— Ale bądź spokojny, nigdym się jeszcze niechcący nie wygadał w życiu. Pozwól mi się trochę całej tej

z Tysiąca nocy historji podziwić. Jakto? ty! ty! którego uważałem za mentora i mistrza, tak olbrzymie i heroiczne zrobić mogłeś głupstwo?

— A co więcej, przyznaję ci się do niego. Właśnie, żem je zrobił, nikt nademnie skuteczniej poradzić ci nie potrafi: *ab uno disce omnes.*

— Co ja, tobym nigdy nic podobnego nie uczynił.

— Jestżeś pewnym, że nie pokochasz, lub pewnym, że potrafisz z zimną krwią zostać podłym?

— Ale zlituj się! tysiąc jest sposobów środkowych... Strzemba byłby wziął dla córki dziesięć tysięcy posagu i wydał ją za mąż.

— Alem ja ją kochał!

— Otóż w tem właśnie jest wielkie niedarowane głupstwo.

Karol ruszył trochę wzgardliwie ramionami.

— To prawda — rzekł — mam głupie serce, i to mnie, jak ty nazywasz, zgubiło. Ty jestżeś pewnym że go nie masz?

— Ja? nic a nic!

— Jeśli tak, przyznam ci się, tyś straszny człowiek.

— Tak! dla kobiet.

— Mnie się zdaje, że kto nie umie kochać kobiety, nie potrafi przyjaciela.

— Filut! chciałbyś mnie widzieć razem z sobą w jednej kozie; ale nie! nie! Ja sobie dam radę...

— Życzę ci, cofnij się póki pora.

— Cofnąć się, żeby się śmiano ze mnie?

— Wolałbyś, żeby płakali?

— Zdaje mi się.

— Boję się, żebyś sam nie płakał.

— Ja?! ale któż dobrze wychowany płacze?

Karol od stóp do głowy zmierzył Sylwana i ruszył tylko ramionami.

— Mój Sylwanie — rzekł — oducz się twoich burszowsko-lwich pojęć o człowieku i młodości. Serce jest warunkiem życia.

— Ale cóż ma za związek serce z podobną intrygą?

— Bez serca, jestto brudna, zwierzęca namiętność.

— Cha! cha! Doprawdy, od czasu jakeś się ożenił, pogłupiałeś, kochany Karolu! jesteś moralny jak Marmontel, i prawisz o sercu nieznośnie, jak stary romans ośmnastego wieku.

— Bo mnie serce boli — odparł Karol.

— A ja go jeszcze nie czuję w sobie, i wolno mi, spodziewam się, użyć tej drogiej chwili młodości...

— Używaj! Bóg z tobą!

Po tej rozmowie Sylwan, któremu matka nakazywała zatrzymać hrabiego Karola, będąc przekonaną że jest nieżonaty, i pragnąc go zbliżyć do Cesi; naśmiąwszy się po cichu z tego dziwnego składu okoliczności, nie zapraszał już uparcie Walskiego, który zaraz odjechał. Hrabina ostre za to wymówki czyniła synowi, ale zniósł je język trzymając za zębami, i tajemnicy przyjaciela nie wydał. Śmiał się tylko w duchu. A wśród rozmów, śmiechów, wśród salonowej zabawy, myśl tylko jedna tkwiła w nim ciągle: chciał się koniecznie, koniecznie pomścić, i wstyd swój powetować świetnem zwycięztwem.

Na kim? spytacie, na sobie za niezręczność? — Nie, na biednej Frani niewinnej i na Kurdeszach. Ale smażył sobie głowę, a sposobu wiodącego ku temu znaleźć nie umiał; po długich rozmysłach postanowił na-

reszcie brnąć dalej, jechać do Wulki pod pozorem kupna siwej klaczy rotmistrza.

Znaleziony powód odwiedzin niezmiernie go ucieszył. Mając gotowy pretekst, co najprędzej chciał myśl przyprowadzić do skutku; kazał konia osiodłać, zostawił Janka szczebiotliwego w domu, a sam umyślnie skierowawszy się wprzód w inną stronę, aby ludzie kroków jego nie śledzili, zaroślami przedarł się do Wulki.

Byłato godzina wieczorna; rotmistrz wedle swego letniego zwyczaju siedział w ganku na ławce.

Ganek dawniej u szlachcica, w ciepłą porę roku, był najulubieńszem jego schronieniem; nie było tu tak duszno jak w izbie; widać z niego całą gospodarkę, bo często i łany, a zawsze drogi i ścieżki, całe obejście gospodarskie, gumna, obory i folwarczne budowle. — W ganku łatwiej znalazł pana wieśniak, rozmówił się z jegomościa przechodzący ekonom; sam jeden siedząc, nie był tu samotnym, wzrok jego czuli wszyscy. Bocian mu klekotał na starej olszy, rżały w stajence koniki, gruchały gołębie, a z sąsiedniego kościółka dzwonek godziny dnia przypominał. U nóg rotmistrza legiwał stary Rozbój, towarzysz jego, ilekroć pieszo za próg domu się ruszył. Często Brzozosia wyszła z przeciwka, i stanąwszy na progu, rozpoczynała gawędę; często Frania siadała przeciw niego z pończochą; czasem idący ze stajni parobczak stanął do rozmowy, gumienny oparł się na chwilę o słup i wyspowiadał się z dziennych robót, których doglądał; a tak dzień w ganku upływał wesoło i czynnie. Tu wyniosłszy stół, nakrywano nieraz do obiadu, podwieczorku, wieczerzy; tu miały miejsce obrady wiejskie, którychby ciasny domek szlachecki nie objął, gdy cała na nie stoczyła się ze

wsi gromada; tu przyjęcie wianków, odbieranie włóczebnego, powinszowania i prośby... Wieczorem późniejszym, gdy zmrok zapadał a w izbie ciemnieć poczynało, stary *sodalis marianus* z książeczki mógł czytać jeszcze w ganku i domówić resztę pacierzy.

To też miejsce, które tu zwykle zajmował pan Kurdesz, znaczne było na ławie, i poręcz jej nawet wyślizgała się od opierania, a nikt z domowych przez uszanowanie, choć pana nie było, nie śmiał zasiąść w jego uprzywilejowanym kątku.

Rotmistrz siedział w ganku na swej ławce i rozmawiał z panną Marjanną, która ręce założywszy na piersi, oparta o uszak, przypominała mu stare czasy, marzyła z nim razem o lepszej przyszłości, gdy pan Sylwan ukazał się we wrotach na koniu, a Rozbój rzucił się, ujadając silnie, przeciwko niezwykłemu gościowi. Zrazu Kurdesz nie poznał przybywającego, ale panna Marjanna, której się śniło w nocy, że kładła wianek rozmarynowy na czoło swej Frani, domyśliła się odrazu i krzyknęła zatykając sobie usta:

— Święty Boże! dalibóg to on!

— Co? kto? — zapytał Kurdesz.

— A hrabiątko!

To powiedziawszy, nie czekając dłużej, kopnęła, trzaskając drzwiami za sobą, i wpadła do Frani zdyszana, ledwie słowo przemówić mogąc, przyciśniona wzruszeniem i tak zmieniona, że Frania spojrzawszy na nią, w pierwszej chwili wielkiego jakiego nieszczęścia się dorozumiewała, i zerwała się z krzesła równemi nogami.

— Co to się stało, panno Marjanno?

— Co? on! dalibóg on! dalibóg on! jak Boga ko-

cham! słowo daję, on! on! — krzyczała Brzozosia w niepohamowanym zapale.

— Kto on? co? — spytała Frania.

— Ale on! Franiu, on! jak Boga kocham! gniady, na szaraczkowym koniu, chcę mówić szaraczkowy surducik, koń gniady, na czole strzałka, w ręku biczyk śliczny; poznałam go: bez ogona, w żółtych rękawiczkach.

— Koń w rękawiczkach! — parsknęła ze śmiechu dziewczyna, która się już domyślać poczęła o co chodziło.

— Czegoż-bo udajesz, że mnie nie rozumiesz? On! hrabiątko twoje, przyjechał, jest, ubierz się ślicznie. Przyjechał! a widzisz, na mojem! widzicie! nie mówiłam? I ty i ojciec nic nie rozumiecie świata i ludzi! Ja się na tych rzeczach znam dobrze. Już kiedy co powiem, to nie darmo: ot taki przyjechał.

Wtem — Brzozosiu! panno Marjanno! — rozległo się z ganku, i Brzozosia choć w pretensjach trochę, z wielkiej niecierpliwości nie poprawiwszy nawet czepeczka i włosów nieco rozsypanych, rzuciła Franię, a pobiegła do Kurdesza.

Po chwilce wróciła, ale powolnym krokiem, zamyślona i widocznie gniewna; weszła do pokoju swej panienki, i skrzywiona przemówiła ruszając ramionami:

— Niech-że sobie robi co chce, ja się już nie mieszam do niczego.

— Cóżto znów stało się panno Marjanno?

— A cóż ma być? byłam tego pewną, że twój ojciec zmaluje jakieś cudactwo! Chce robić po swojemu, i powiedział mi na ucho, że panicz przyjechał tylko klacz tam jakąś kupować, więc żebyś ty nie wychodziła do niego do pokoju, tylko ja sama. Widział-że

kto tak kawalera przyjmować? wszystko popsuje. Ale co mnie do tego! Róbcie sobie co chcecie, ja ręce umywam. Pan rotmistrz jak sobie pościele, tak się wyspi.

I obrażona, zniechęcona, poczęła się Brzozosia przechadzać po pokoiku, poprawując powoli ubioru i włosów, zaglądając do zwierciadełka wiszącego na ścianie.

Frania, trochę niechętnie, ale z pokorą dziecięcia, które tak kocha ojca, że mu wierzy ślepo, przyjęła rozkaz rotmistrza; zaczęła się była ubierać, ale usłyszawszy od Brzozowskiej o dyspozycji, usiadła w krześle, i choć trochę rumiana, trochę roztargniona, choć przysłuchując się rozmowie, która ją z ganku dochodziła, robiła dalej zaczętą albę do kościoła. Brzozowska wciąż chodziła i gderała:

— Starzy nie powinniby się w to wdawać, a nam to zostawić. Kto to widział pannę ukrywać! Śliczna rachuba! Ale co mnie do tego? To pewna, że rotmistrzowi zmyję głowę jak hrabiątko pojedzie. Ale niech sobie robi co chce, niech robi! Zobaczymy jak pokieruje.

Frania milczała, nie mieszając się do rozmowy panny Brzozowskiej samej z sobą; panna Marjanna gderała:

— Ani się mnie spytał! ani poradził! szach! mach! ni z tego, ni z owego, niech nie wychodzi! Dlaczego? że niby to dla konia przyjechał? No to cóż? Zwyczajnie; nie powie odrazu: przybyłem starać się o względy panny Franciszki! Ale mnie nic do tego, niech sobie robi jak mu się zamarzy.

— Moja Brzozosiu kochana — przerwała Frania po chwili — ojciec musiał sobie pomyśleć dla czego to robi.

— At! zamarzyło mu się! Panicz zwyczajnie nic

wiedział co powiedzieć, i udał, że mu się siwka podobała, że chce się potargować. Kto to tego nie rozumie! stare figle! Ojciec zaraz bierze to za dobrą monetę, i powiada mi, kiedy przyjechał do siwej, to mu tylko siwą pokażę. Gadaj-że z nim! widział kto co podobnego?!

— A to może i dobrze — odpowiedziała Frania — jeśli nie do nas, tylko do siwki przyjechał, po cóż ja mam wychodzić?

— Ale bo to nawet niegrzecznie! Kto to widział, jak chłopską narzeczonę w komorze córkę chować!

— Ojciec tak chciał, cóż robić Brzozosiu! Jużciż nie taję, żebym wolała wyjść i pogadać, i pośmiać się; ale z rotmistrzem wiesz, po żołniersku, trzeba słuchać co powie.

— Ej! to nam kochanie! ale nie tobie! ty go jak zechcesz, na włosku prowadzisz. Ale rób sobie co myślisz, ja cię nie chcę buntować; choć to pewna, że nic by ci nie powiedział, choćbyś i wyszła.

— Ale mnie także, moja Brzozosiu, nie wypada się spieszyć bardzo przeciwko niemu, kiedy nie do nas, tylko do siwki przyjechał.

— O! jużto wy z ojcem oboje ciągniecie coś bardzo mądrze! Ciągnijcie sobie jak chcecie; ja się więcej do niczego nie mieszam. Pójdę tylko, zadysponuję i wyreguluję podwieczorek, i ręce umywam...

Jakoż gderając jeszcze, wyszła Brzozosia.

W ganku siedział stary Kurdesz, doskonale udając, że się ani domyśla, po co pan hrabia przyjechał; klacz stała wyprowadzona, a rozmowa toczyła się o koniach. Rotmistrz niesłychanie pokorny, grzeczny, przyjmował JW. grafiątko, nie wspominając nic o sobie, ani

o córce nie mówiąc, tylko o koniu. Wynosił wysoce zalety rodu siwki, jej matki, babki, ojca i dziada, jej sióstr i braci, i cenę siwki podnosił do wysokości bajecznej.

Sylwan w bardzo fałszywem położeniu kręcił się jak w ukropie: co chwila spoglądał z ukosa, czy gdzie Frani nie zobaczy, a zapytać się o nią nie śmiał.

Siwka stała przed gankiem, a stary woźnica z og.omnemi po uszy wąsami, co niegdyś służył szeregowcem w konfederacji razem z panem swoim, umiejętnie ją pokazywał, przebiegał z nią, puszczał, wstrzymywał, głowę jej podnosił i niesłychanie zachwalał. Rotmistrz począwszy naprzód od siwki, nie dał zejść rozmowie z koni, i co raz nowe o nich dykteryjki wyciągając jak z rękawa, co raz nowe czyniąc postrzeżenia, przywodząc przepisy, chwytał swojego gościa, by mu nie dać nic powiedzieć, co by w inny tor rozmowę sprowadzić mogło.

Brzozosia kilka razy przeszła przez sień, z ukosa rzucając okiem na Sylwana, a widząc go posępnym i znudzonym, ruszała ramionami i szeptała do siebie:

— Ani chybi, że go zrażą. Ale jak sobie chcecie, ja ręce umywam! do niczego się nie mieszam! Właśnie jemu konie w głowie! Biedne chłopczysko!

— A zatem — kończył rotmistrz — gdzie pan graf każesz klacz prowadzić: czy do Denderowa, czy do stajni?

— Jak to? pięćdziesiąt, ani grosza mniej, to ostatnia cena? — spytał dość obojętnie Sylwan.

— Powiem panu grafowi, mosanie — przerwał Kurdesz — że za jej babkę, kula w kulę taką, wziąłem od majora pruskiego, co jeździł za remontą, ośmdzie-

siąt dukatów i jeszcze dodatku spodnie i kaftanik, z jeleniej skóry, który mi się bardzo u niego spodobał. To prawda, że mi się ten figiel na nic nie zdał, bo Niemiec choć się wydawał człowiek korpulant na oko, cienki był jak komar, i ani w jego pluderki, ani w jego piszczałkowate rękawki wleźć nie potrafiłem. Matka siwki służyła mi lat ośmnaście, aż do tego przypadku....

— Tego, co mi pan opowiadał — przerwał Sylwan.

— Alboż opowiadałem?

— Tak jest. Napoili ją zgrzaną.

— Otóż to, ten gbur Hryć, istny Hryć panie, był przyczyną jej śmierci; nigdy na niego patrzeć nie mogę bez obrzydzenia, jak na zbójcę. Jeszczebym ją miał.

— A czterdzieści dukatów?

— A! JW. grafie, dla niego bym to uczynił pewnie, ale jeszcze żadna klacz z tego rodu za te pieniądze nie poszła; miałbym to sobie za grzech, moję ulubioną oddać taniej od mniej pokaźnych sióstr i braci. Proszę spytać pana Powały, czy mi za siwą klacz w siedmiu latach, z białą nogą nawet, co już jest choć u siwej feler, nie zapłacił pięćdziesiąt dwa dukaty na Jurja w Ciunapowie na jarmarku.

— Przyznam się panu, że to mi się wydaje za drogo.

— No! a zatem do stajni!

— Pozwolisz mi pan namyśleć się dni kilka i rozkalkulować?

— Kilka dni? czemuż nie! i owszem. A teraz, może co przekąsimy, proszę do chaty.

I z ceremonją wiodąc naprzód gościa, wszedł rotmistrz do pierwszej izby, gdzie tylko Brzozosię z klu-

czami od szafy w kwaśnym humorze i stół już nakryty zastali. Sylwan, który się spodziewał Frani, do reszty się zachmurzył nie postrzegłszy jej. Szlachcic był w wyśmienitym humorze, grzeczny aż do przesady, gadający do utrudzenia i zapraszający do jadła po staroświecku, to jest natrętnie.

Podwieczorek był zastawiony wielce przemyślnie. Brzozosia pojęła, że drugi raz dać tych samych potraw nie wypadało: zamiast kurcząt, wystąpiła z dzikiemi kaczkami na buraczkach, i zamiast pierogów ze śmietaną dała kartofelki posypane zieloną cebulką i oblane masłem. Oprócz tego, na staroświeckiej porcelanie zbieranej drużyny, były różne przysmaczki, począwszy od młodej kukurydzy, aż do starego piernika, a flasza opleśniałego węgrzyna towarzyszyła flaszce wódki starki złocistej jak oliwa i butlowi marcowego piwa.

Sylwan jeść i pić nie raczył: zdało mu się ze złego humoru nie kosztować nawet; prosił tylko o szklankę mleka z razowym chlebem, podziękował za resztę. Brzozosia szepnęła kiwając głową: — Nawet jeść nie chce! — Rotmistrz bynajmniej tem nie zmieszany, o mleku i chlebie powiedział historyjkę z czasów konfederacji Barskiej. Znienacka spytał Sylwan Brzozosię o Franię; ta nie wiedziała co mu odpowiedzieć, i zabierała się znaczącym sposobem ruszyć ramionami, gdy szlachcic uprzedził ją, żywo się posunąwszy:

— Bardzo JW. panu dziękuję za pamięć. U siebie, u siebie zajęta... Zwyczajnie wieśniaczka, zawsze za robotą, nie to, to owo...

Sylwan na tak wyrazistą odpowiedź już więcej nie pytał o nic; wkrótce pożegnał gospodarza zachmurzony, i zabrał się do odjazdu zły okrutnie na siebie, że

pojechał; na rotmistrza, że go tak przyjął sucho.

Jeszcze w ganku przypomniał mu stary, że do dwóch dni czekać będzie odpowiedzi, i naschylawszy się niemal do kolan, nakłaniawszy w progu, za progiem, na wschodku, na ścieżce, w bramie, nachwaliwszy konia, odprawił hrabiątko.

Frania z okna tylko wyjrzała za odjeżdżającym, z jakiem uczuciem, nie wiem. A gdy zniknął za bramą, wybiegła zarumieniona do ojca, który na starej dłoni sparłszy czoło, zadumany siedział na swojem miejscu.

Poznał ojciec, że córce nie było po myśli jego rozporządzenie, i domyślił się jej żalu, nim posłyszał wymówki.

— Ojcze, cóżeśto mnie tak jak zakonnicę zamknął?

— Usiądźno moje dziecko i posłuchaj — odparł szlachcic spokojnie.

Brzozowska za drzwiami ukryta słuchała.

— Spodziewam się serce moje — mówił rotmistrz — że nie możesz wątpić o przywiązaniu ojca do ciebie, o tem, że ci najlepiej życzę. Otóż com robil i co zrobię, to pewnie dla dobra twojego, choć czasem może ci to być z przykrością. Wybij to sobie z głowy, żeby taki gagacik chciał się z tobą żenić: rozmiłować się czasu nie miał i nie mógł, chce mu się tylko na wiatr poumizgać, ciebie pobałamucić, i zdaje mu się, że pod słomianą strzechą wszystko wolno.... Ale pókim ja żyw, mosanie, na to nie pozwolę. Myślał, że mnie tak wyprowadzi w pole, starego wróbla na plewę; przyjechał konia kupować, a to komu innemu chciało się zajrzeć w ząbki. Lepiej się z sobą moje serce podrożyć, pozna, żeśmy nielada obdartusy, którym pańska łaska lepiej smakuje od własnego spokoju i uczciwej sławy; inaczej

będzie musiał śpiewać, jeśli co serjo myśli. A ty serce moje, poco się nim masz próżno zajmować, albo sobie głowę nabijać Bóg wie czem, kiedy tu jeszcze skóra po lesie chodzi, i podobno na wierzbie gruszki.

— Jak się wam podoba ojcze — odpowiedziała Frania — jak wola wasza, ale mnie się zdaje, że nie byłoby nic zaszkodziło, choćbym była i wyszła. Byłabym potrafiła może tak go przyjąć, jakby tylko do klaczki nie do mnie przyjechał.

— No, to drugi raz, jeśli panicz przyjedzie, wyjdziesz sobie, ale teraz to i lepjej, że się tak stało, choć wiem, że Brzozosia, mosanie, dobrze mnie tam musi oporządzać.

Brzozowska, *deus ex machina*, z furją wyleciała z za drzwi ręką machając.

— A coto, to jak Boga kocham prawda, nie ma co mówić panie rotmistrzu. Pan też, Bóg wie co wyrabiasz z wielkiego rozumu, i licho wie na co się to przyda. Coto przeciwko sądzonemu człowiekowi się borukać?

— Ale któż ci moja panno Marjanno powiedział, że tak sądzono?

— Kto powiedział to powiedział, ale że tak jest, przysięgnę.

— Cóż ty poradzisz na to, że ja w kabałę nie wierzę?

— Ja też mówię, powiadam, panie rotmistrzu, róbcie sobie co chcecie, ręce umywam, do niczego się nie mieszam, o niczem wiedzieć nie chcę. Ale że inaczej, to inaczejby to było, gdybym ja tem pokierowała!

— O! inaczej! ani słowa — rzekł rotmistrz.

Frania zaperzonej Brzozosi rzuciła się pieszcząc na szyję.

— Moja Brzozosiu — odezwała się cicho miluchnym swym głosem — nie gniewaj się tak bardzo: jeśli sądzono jak powiadasz, wszak to nie minie.

— Ale pocóż daremnie przeszkadzać?

— Nie przeszkadzam — rzekł Kurdesz — tylko po mojemu, po staremu, ostrożnie, ostrożnie. A na zgodę, panno ciwunówno tabaczki.

Znał rotmistrz słabość do swej tabaki panny Brzozowskiej i upodobanie jej w tytule, jakoż mimo gniewu, wyciągnęła rękę i wzięła szczyptę dobrą, powtarzając jeszcze zcicha (byłto daleki grom po burzy):

— Ja się do niczego nie mieszam, róbcie sobie co chcecie.

Powrót Sylwana do domu był dziwnie smutny i śmieszny: gniew jego bezsilny, z którym ukrywać się musiał, zniecierpliwienie, rozdrażnienie, dochodziły do najwyższego stopnia. Szczęściem nikt w domu nie wiedział dokąd jeździł i z czem powrócił.

Zaledwie przybył, służący za służącym wpadać poczęli do niego, pilno wzywając go, ażeby natychmiast szedł do matki.

Pospieszył Sylwan, pomiarkowawszy, że to wezwanie tak niezwyczajnie pilne, nie musiało być bez ważnej przyczyny; kto inny byłby się może zatrwożył, on się tylko zadziwił trochę.

Znalazł hrabinę rozciągnioną na kanapie z listem w ręku otwartym, pomieszaną, z oczyma dziwnie jaśniejącemi, z twarzą zmienioną, przerażoną, wywróconą jakiemś świeżem wrażeniem. Zaledwie wszedł, kazała mu wyjrzeć za drzwi czy ich kto nie słucha, i wyciągnęła ku niemu milcząc list, który trzymała. Sylwan poznał charakter ojca.

Hrabia donosił, że pomimo największych starań jego, klucz Słomnicki dany żydowi jako kaucja, został za jego bankructwo przez skarb skonfiskowany; sam o tem uwiadomił żonę, żeby ją ta nowina z boku nadchodząc zbytecznie nie przeraziła i dość obojętnie cały ten interes traktując. Donosił jednak, że ta wielka strata pociągnąć musi za sobą pogorszenie reszty jego interesów, że potrzeba było rezygnacji, cierpliwości, wytrwałości i t. p.

Hrabina niespodziewająca się nigdy nic podobnego, której całą pociechą życia był zbytek, wytworność i zalotność, nie pojmowała jak znieść potrafi tak straszliwą zmianę położenia swego i grożącą jej ruinę. Dochodziła prawie do rozpaczy: Sylwan stał w początku osłupiały i zdumiony.

— Ale moja mamo — rzekł po chwili, przychodząc do siebie — wszakże nam pozostaje Denderów, klucz Samodoły i coś jeszcze w Galicji.

— Ty nie wiesz — porywając się przerwała hrabina — ty nic nie wiesz, nie znasz interesów naszych. Ojciec twój w swych spekulacjach i obrotach nikomu się nie zwierzał, nikogo nie radził, nikomu nie mówił całej prawdy. Ruina nasza, ruina zupełna wisi nad nami...

— Ale to być nie może — odparł Sylwan żywo — ktoś taki jak my zrujnować się nie może; zostanie nam zawsze...

— Zostaną nam długi, hańba i nędza! zawołała szybko hrabina tuląc twarz w dłonie — przywyknienie do zbytku z ubóstwem.

— Kochana mamo — wrzucił Sylwan — to rozpacz i przedwczesna i zbyteczna: widzisz rzeczy z dziwnej

i fałszywej strony. Cóż dla nas strąta kilkukroć stu tysięcy? głupstwo!

— Wieszże co mamy?

— Kilkanaście wsi, imię ładne i kredyt ogromny, *on ne se ruine pas avec cela.*

Hrabina ruszyła ramionami.

— Wierz temu jeśli chcesz, ufaj jeśli ci się podoba: zobaczysz! zobaczysz! — I poczęła płakać po cichu.

Syn przechadzał się po pokoju obojętny na pozór, ale coraz bardziej niespokojny. Wieść ta, jak trunek wypity, rozbierała go powoli.

— Mamyż jaki ratunek? — spytał.

— Cóż ja wiem? — odparła matka — co ja wiem! nic nie wiem! Ten człowiek wiecznie wszystko krył przedemną: ani co mamy, ani co nam zostanie, nie rozumiem; czuję tylko wielkie wiszące nad nami nieszczęście.

— Jeśli mama nic nie wie, a ojciec pisze, byśmy byli spokojni, zdaje mi się, że na niego spuścić się można. W ostanim razie posagowe dobra twoje są nienaruszone....

— Tak, to ostatnia nadzieja, kąt i przytułek — zawołała hrabina — ale pomiarkuj! Rzucić Denderów, wyrzec się życia, do któregośmy przywykli, zakopać się na wsi i być wystawionym na wstyd, na upokorzenie upadku, o! ja tego nie zniosę.

— Zapewne, że to przykro, ale znieść będziemy musieli. Nie widzę nawet potrzeby opuszczać Denderów. Zabiorą tamten klucz, cóż robić!

— Ale na Denderowie są długi ogromne!

— To być nie może!

— Spytaj Smolińskiego. Jeden szlachcic, nie wiem

kto tam taki, podobno Kurdesz z Wulki, ma sam dwakroć sto tysięcy.

— Jakto! ten szlachciura! dwakroć!

— A wielu, wielu innych mniejsze sumki.

Sylwan się zamyślił, w głowie mu się zmąciło, w duchu rzekł tylko sobie:

— No! to się będę musiał bogato ożenić!

— Jeśli mama chce — odezwał się głośno — dowiemy się czegoś więcej: poszlijmy po Smolińskiego.

— Czy przyjść zechce?

Sylwan pogardliwie ruszył ramionami.

— To go każę za uszy przyprowadzić — zawołał dumnie. — Zadzwonił żywo. — Prosić tu pana Smolińskiego zaraz, zaraz!

W przerywanej rozmowie wyczekiwali dobre pół godziny, nim rządca-plenipotent, w tej chwili widać mocno zajęty, nadszedł nareszcie. Z miną prawie zuchwałą, roztargniony i bez tych upokorzonych ukłonów, które się zwykle jeszcze za progiem rozpoczynały, stawił się z widoczną niechęcią i lekceważeniem.

— Mój panie — rzekł do niego Sylwan z góry — oto jest list ojca: zabierają nam klucz Słomnicki; chcielibyśmy wiedzieć ja i moja matka, jaki jest stan interesów naszych; nikt o nich lepiej nie może wiedzieć od pana.

Smoliński głową pokiwał, zażył tabaki i odrzekł spokojnie:

— A cóż, nie ma co taić: interesa złe, bardzo złe.

Hrabina lekko wykrzyknęła, Sylwan tylko brwi namarszczył.

— Jakżeto być może? — spytał — przy takim majątku, takich szczęśliwych jak powiadano spekulacjach.

— Długoby to o tem mówić — odparł rządca — majątek prawda spory, ale i długów niemało.

— Ale przecież w najgorszym razie Denderów zostać nam może?

— Jeżli się nikt o swoje dopominać nie będzie.

— Możeżto być, byśmy tak źle stali?

— Tak jest, tu nie ma co kłamać: w Denderowie nawet ciężko się będzie ostać. Jeśli klucz Słomnicki zabiorą, ruszą się wszyscy wierzyciele hurmem; a jak poczną szturmować, a trzeba będzie ich płacić, nie wystarczy dla nich tego co jest.

— Ależ klucz Samodoły? mojej matki.

— I na nim jest połowa długu bankowego, a od drugiej połowy płaci się procent hrabinie Czeremowej.

Głuche milczenie nastąpiło po tych słowach, wyrzeczonych ze zbytnią otwartością i bez żadnej ogródki, nago malujących fatalne położenie Denderów.

— Wreszcie co tu mam państwu w bawełnę obwijać — rzekł Smoliński — koło interesów źle bardzo: kredyt nadwątlony, bo go nadużyto, i Salomona rozum tu nie poradzi. Wielka bieda.

— Prawdażto — dodał Sylwan — że jeden naprzykład, jakiś tam pan Kurdesz, ma u nas dwakroć?

— Jakże nie? Kilka dni temu jakem mu procent zaległy wypłacał.

— Dwakroć! — powtórzył Sylwan — szlachcic, taka summa! do czegoto jemu!

Na ten naiwny wykrzyk, uśmiechnął się Smoliński nieznacznie.

— Okrągło dwakroć; rotmistrzowi Powale należy się trzydzieści, pięćdziesiąt Pazurkiewiczom; inni mają po 20, po 30, po 10, po 15; a tych co po trzy, po

cztery, po pięć tysięcy, i zliczyć trudno.

— Masz pan bilans interesów naszych? — spytał Sylwan.

— W głowie tylko panie hrabio, i ręczę, że się o pięćset złotych nie pomylę; zredukowawszy wszystko, licząc remanenta, zostanie około połowy Denderowa.

Sylwan pochwycił się za głowę, hrabina upadła na kanapę drżąca, Smoliński widząc się niepotrzebnym, a że mu było pilno, bo się już na wszelki wypadek poczynał pakować i wybierać zawczasu, wysunął się pocichu bez wszelkich ceremonij.

Dobre pół-godziny trwało milczenie, przerywane tylko paroksyzmem spazmów hrabiny i pasowaniem się z sobą Sylwana, który zaglądał ze wszyskich stron w przyszłość, a zewsząd widział ją czarną i nieprzebytą pustynią. Pieniądz-słońce nigdzie jej nie oświecał.

Pracować nie umiał całkiem, do niczego nie był usposobiony, jeden zawód wojskowy otwarty był przed nim; ale wygodnisiowi przywykłemu do próżnowania, nienawykłemu do uległości, samowolnemu i dumnemu, ani podobna było pomyśleć o wojsku.

Cesia weszła na tę scenę niespodzianie, i widząc brata wzruszonym i chmurnym, a matkę we łzach i boleści, nie mogła pojąć co się im stało tak nagle. Nikt do niej nie przemówił w początku; ledwie spytany Sylwan odpowiedział krótko i niegrzecznie.

— To do ciebie nie należy!

— Ale to do wszystkich należy zarówno! — przerwała powstając hrabina z jękiem bolesnym. — Jesteśmy zrujnowani! cała nadzieja w mojej matce...

— Cóżto się stało? — spytała Cesia, spiesząc do matki — cóżto się stało?

— Ojciec pisze, że nam zabrano klucz Słomnicki; Denderów odbiorą wierzyciele, nie zostaje nam prawie nic...

Cesia stanęła zamyślona, usiłując pojąć groźbę tych słów, których w początku dobrze nie zrozumiała, ale prędko podniosła głowę. Młodość dziewczęcia ma więcej wrót nadziei: łza jej nawet nie pociekła; niespodziane nieszczęście jeszcze nie rozebrane, nagłe, niepojęte, jak trucizna szybko połkniona, nie miała czasu zrobić skutku.

Sylwan się powoli opamiętywał.

— Kochana mamo! — rzekł — najpierwej pamiętajmy na godność naszę: *il faut faire bonne mine à mauvais jeu!* niech się ludzie z nas nie śmieją, niech nie widzą że cierpimy. Nie zmieniajmy trybu życia naszego, śmiało idźmy dalej, a mam nadzieję, że z tego wybrniemy. Łzy do niczego nie służą.

To mówiąc wyszedł.

Ale pomimo dobrej rady, sam powlókł się bezsilny do swoich pokojów, przewracając w głowie wyrazy listu ojca, słowa Smolińskiego, rachuby, nadzieje. Nie mogąc podołać temu wszystkiemu, wiele wiary mając w ojcu, powiedział sobie w końcu: — Damy jakoś temu radę; tacy panowie jak my nie upadają. Od czegoż szlachta? Nie możemy stracić kredytu, jeśli nie stracim śmiałości. Dopóki będziemy mieli odwagę brać, będą nam pożyczać. Jednym płacąc, od drugich biorąc, przetrwamy do ożenienia. A cóż łatwiejszego, jak mnie ożenić się bogato? Młodość, imię, wychowanie, twarz, mam wszystko... wróci się nam fortuna!

To mówiąc rzucił się na kanapę, usiłując mary zniszczenia i ubóstwa odpędzić; zapalił cygaro, i począł

z kolei myśleć: to o starym Kurdeszu, o którego dwóch krociach się dowiedział, to o sobie, to o ojcu, to o Frani, i w tych myślach znużony, zdrzemał się nareszcie.

Tymczasem we dworze rychło plotki szybko rozlatywać się poczęły; szeptano o nieszczęściu jakiemś, o ruinie, i wszyscy ludzie poczynali jak wśród pożaru, każdy myśleć o swojem i o sobie. Taką jest biedna ludzka natura: niebezpieczeństwo najczęściej nie spaja, ale rozprzęga. Hrabina myślała o swoim kluczu, Cesia o swojej młodości, Sylwan o ożenieniu, słudzy każdy o nowej służbie, lub zapewnieniu sobie gdzie kątka. Smoliński zawczasu co lepszego pakował, wysyłał rzeczy, wywoził się i urządzał tak, by go przyaresztować nie było można.

Ci, co jeszcze nic nie wiedzieli, już się czegoś dowiadując, szepcząc, szukając, niespokojni biegali i mnożyli nieporządek wszędzie. Dwór cały przedstawiał obraz nieładu, a niebytność hrabiego, którego skinienia wszyscy słuchać byli przywykli, powiększała jeszcze ten stan rozprzężenia.

Po sąsiedztwie już wieść stugębna poczęła się rozchodzić o zabraniu na skarb za kaucją klucza Słomnickiego. Pierwsi dowiedzieli się o tem żydzi w Żytkowie, gdzie hrabia próżno pracował nad unieważnieniem załogu. Pan Pęczkowski w drodze do miasteczka spotkał kupca, który mu jak najspieszniej objawił o ruinie hrabiego. Biedny szlachcic porwał się za głowę, łzy potoczyły mu się z oczu, i jak szalony poleciał na radę do sąsiadów i znajomych. Widzieć owoc pracy całego życia pochłoniony w jednej chwili i tak marnie, niedziw, że rozpacz porywa! Biedny Pęczkowski z kilkorgiem dzieci, z frasobliwem w dodatku usposobie-

niem do stękania, bo zwykł był lękać się i kłopotać nawet gdy nie było czego, odchodził prawie od przytomności, nie mogąc sobie darować, że jeszcze dziesięć tysięcy dopożyczył, o bożym świecie nie wiedząc, gdy już sekwestr rozciągano. Był właśnie niedaleko od Wulki, i pospieszył do rotmistrza z tą przerażającą wiadomością, aby się wspólnie naradzić nad tem, co czynić wypadało, wiedział bowiem, że rotmistrz daleko znaczniejszą summę miał u hrąbiego.

Kurdesz swoim zwyczajem był w podwórku i rozmawiał z gumiennym, gdy Pęczkowski nadjechał, i ledwie zsiadłszy z wózka, pochwycił go za rękę, wprowadził do pierwszej izby, a obejrzawszy się dokoła, z wyrazem rozpaczy, ze łzami w głosie, z boleścią zawołał:

— Rotmistrzu! wiesz co się dzieje? wiesz okropną nowinę?!

— Cóż takiego?... Austrjacy!...

— Zginęliśmy z kretesem!

— Gdzie? co? jak? — spytał spokojnie stary. — Cóżto się stało kochany panie? uspokójno się! nie mieszaj! O czem chcesz mówić?

— Wiesz, że ten szatan Dendera bankrutuje! Już mu za kaucją zajęto klucz Słomnicki, a reszta majątku ledwie na wierzycieli wystarczy!

— Co-bo pleciesz?

— Ale tak jest! Abramko jedzie wprost z Żytkowa: sekwestr na Słomniki niezawodny; wyrabiać się chciał kręciel, ale ze skarbem nie mógł. Jeszcze bestja u mnie dziesięć tysięcy wyjeżdżając wysmoktał! Niechże łzy moje i łzy moich dzieci, i praca moja spadnie na jego duszę!

— Uspokój się panie Kasprze! — kręcąc wąsa rzekł

pan rotmistrz. — Siadaj, pogadajmy porządnie. Tu nie kląć trzeba, ale radzić. Nie ma się tak dalece czego lękać. Choćby mu klucz Słomnicki zabrali, ma czem odpowiedzieć z Denderowa: ma tam coś i po żonie.

— O ba! żona się nie pisała do skryptów!

— To mniejsza.

— Ale pan masz coś grubo u niego?

— Dwakroć, kochany panie Kasprze!

Pęczkowski schwycił się za głowę, pochylił do ziemi i krzyknął. Rotmistrz choć zbladł i zmięszał się niespodzianą nowiną, ale nie widać było, żeby na niej uczuł zbytecznie. Zdawał się spokojniejszym daleko od Pęczkowskiego, przeszedł się po izbie, zamyślił i dodał:

— A zresztą wola Boża! jest jaki taki grosz, dla mnie i dla Franki wystarczy. Przynajmniej kto się o nią starać będzie, pomyślę, że ją szczerze kocha, nie na grosz poluje. Mam przecie oblig i ewikcją dobrą.

— Co pomoże z takim mataczem?

— Toć prawda! i dlategoto sobie mówię z góry: wola Boża! wola Boża! choć za serce dobrze ścisnęło, widzieć tak całego życia pracę, z pozwoleniem w błocie. Ale to przepaść całkowicie nie może, tylko się zmitręży. Waść-że masz mosanie oblig dobry?

— Ledwiem wykołatał nowy na prostym papierze! Ale to moja dola zawsze taka! Licho nadało, gdzieś zawieruszyłem dawniejszy skrypt: miałem kłopotu dość, wodzili mnie, durzyli, i Smoliński, nim mi odnowił oblig, kazał się dobrze posmarować, a hrabiemu dopożyczyć 10.000. Widzicie com wprzódy stał na liście z r. 1829, i datę długu miałem dobrą, to teraz będę ostatni, bo mój skrypt nowy, świeżuteńki.

— E! kochany sąsiedzie! — odpowiedział stary Kur-

desz z rezygnacją szlachcica dawnych czasów, klepiąc go po ramieniu. Oto widzisz, więcejbym od ciebie stracił, a zdaję się na wolę Bożą: nie potrzeba się strachać, bądźmy dobrej myśli. Dendery djabli nie wezmą, mosanie, wygrzebie się, popłaci, unikając wstydu; zresztą ma z czego odpowiedzieć, choćby sam poszedł z torbami. Tymczasem nie rozgadujmy licha, nie straszmy ludzi; mnie o to chodzi, żeby mi się moja Franka o biedzie nie dowiedziała, boby nieboraczka płakała, a tu nie ma czego. No! a gdybyśmy i stracili, chleba kawałek zostanie. Pan Bóg dał, Pan Bóg wziął, imię Jego błogosławione!

— Dobrze to wam mówić — gorąco zawołał Pęczkowski — co macie jedno dziecko, wioskę, i jeszcze kapitalik może; ale mnie! ale mnie! — dodał podnosząc się i unosząc. O! ci panowie! ci panowie! gdzie u nich serce! gdzie sumienie! A! niech ich piekło pochłonie! bodajbym był ich nigdy nie znał, z ich szóstym procentem! Bierze z nich każdy, nie pyta jak odda, a potem wykręci się sianem; a że szlachcic bez chleba z torbami pójdzie, co jemu do tego, byle on jeździł karetą i miał się czem zasłonić: czy kondyktem, czy fartuszkiem jejmości, czy jakim tam djabłem. Ale ze mną nie pójdzie tak łatwo! Będę krzyczał, będę łajał, będę ich w kościele bodaj pozywał przed ludźmi o moję krwawicę; pójdę z prośbą na tych szelmów bodaj do samego imperatora, i uzyskam sprawiedliwość!

Pęczkowski poddawał się prawdziwej rozpaczy: chodził jak szalony, rozbijając się o stoły, tłukąc o piec, o komin wybladły, niepodobny do siebie, przestraszając swem obłąkaniem. Stary rotmistrz, ledwie cokolwiek poruszony, zdawał się spokojnym widzem tej

sceny; wziął nareszcie pana Pęczkowskiego za obie ręce, i posadził gwałtem prawie na kanapie.

— Mój kochany sąsiedzie — rzekł — nie frasuj się tak; ludzie mnie mają za wielkiego prostaka, za starego rębacza, ale ja trochę i prawo rozumiem. U nas bo mosanie nie było dawniej szlachcica, coby go nie polizał. Wszyscy mieli procesa, każdy cytował statut, nawet panie nasze, moja nieboszka matka, świeć jej Panie, w potrzebie bywało i korekturą pruską w oczy sypnąć umiała. Otóż powiem panu, mosanie, między nami, że nasza sprawa nie jest tak bardzo zła. Denderowa, żeby jak, wystarczy; ja mam dwakroć i jestem najważniejszym wierzycielem: przy mnie trzymając się, waćpan nie stracisz ani jednego szeląga, a ją waści, mosanie, nie opuszczę...

Pęczkowski o mało nie rzucił się do nóg staremu, który go podchwycił.

— Dlaboga! co waćpan, mosanie, robisz? — zawołał. — Jestże za co dziękować? Ręka rękę myje, noga nogę wspiera; porzuć te ceregiele, a dla konkokcji tego djabelskiego strapienia, nie napilibyśmy się kieliszek starej wódki? hę?

Pęczkowski byłby wypił smoły. Przystał ochotnie na propozycją rotmistrza, i dawszy się jakoś ukołysać, jął tylko z rozwiązanym językiem wysypywać wszystkie zdrady panów, którzy szlachtę porujnowali; wszystkie komisje, eksdywizje bezecne i likwidacje tych paniczów z mitrami, co biorą pieniądze sami, a plenipotentom za siebie obliczać się każą, i w pocie czoła zapracowany grosz obcinają na swoje fantazje, przegrawszy go w karty lub puściwszy na swawolę. I było czego słuchać, bo na naszym Wołyniu świeżych i martwych dość jest podo-

bnych przykładów.

Późną nocą wyjechał Pęczkowski z Wulki, i nazajutrz miał zaraz do rotmistrza Powały, jako do interesanta, udać się; ale Powała już dniem wprzód o sekwestrze klucza Słomnickiego był zawiadomiony.

Rotmistrz, który niedawno z wojska powrócił, nie miał pojęcia interesów: hrabiego wyobrażał sobie, jak gmin, milionowym panem, hrabinę bóstwem i aniołem, do którego zbliżyć się pragnął; w tem nagle spadł z empyreum do otchłani na wieść przesadzoną jeszcze o stanie interesów hrabiego. W dodatku mógł sobie sam przypisywać swą szkodę, gdyż nie proszony, nie dziękowany, pożyczył z dobrej woli 30.000 na świstek.

Wprawdzie w części był za to wynagrodzony niezmyślonem (sądził) przywiązaniem hrabiny, którego miał stanowcze dowody, tak dalece, że jeszcze nie śmiejąc się niemi chwalić, już jednak, gdy o niej była mowa, wzdychał bardzo znacząco. Pomimo to, trzydzieści tysięcy zapłacić za obojętność mężowską, zdawało mu się za drogo, a co gorzej, wyjść na dudka! Boż to wszystko miało minę okrutnie śmieszną! Westchnienia hrabiny, ślepota i udana dobroduszność hrabiego, nie wynagradzały straty tak wielkiej. Rotmistrz ochłonąwszy z gniewu i podziwienia, nagadawszy się do siebie i wypaliwszy ze sto fajek jednę po drugiej, zawołał wreszcie pocieszając się:

— Hę! zresztą niech mi się zdaje, żem przegrał! A to dług honorowy, na świstku, przecież przepaść nie może.

To powiedziawszy, położył się i począł świstać walca, ale świstanie często westchnieniem przerywał. I leżał tak pół dnia, gdy kozak z Denderowa przybył z bilecikiem.

Hrabina zapraszała na herbatę.

— Wszystko się wyjaśni — rzekł spoglądając w lustro — jakoś to będzie; w ostatku napłoszę go pojedynkiem, jeśli nie odda.

Tymczasem, jakto wszędzie bywa, a może u nas więcej niż wszędzie, niezmiernie przesadzone i coraz olbrzymio rosnące wieści latały po reszcie sąsiedztwa. Bogaty u nas jest zaraz dziesięćkroć-milionowym, byle miał kilkanaście tysięcy rubli w zapasie; ledwie się komu noga powinie — bankrut od razu, i nikt już nie pożyczy grosza. Tak teraz było z hrabią: wczoraj milionowy i spekulant, nazajutrz był zrujnowany; mówiono, że zabrano mu klucz Słomnicki, że żona oddzieliła się ze swojem, że Denderów z przyległościami rozdzierają wierzyciele, i że hrabia pójdzie z kijem i torbą. Byli i tacy, co się już wybierali na licytację sprzętów i ruchomości do Denderowa, i zamyślali o kupnie przyległych im wiosek. Wypadek ten stał się przedmiotem wszystkich gawęd w sąsiedztwie, najdziwniejszych projektów i najdzikszych domysłów.

Najstaranniej, jak być może, przystroiwszy się, rotmistrz pojechał świeżuchną nejtyczanką do Denderowa. Wprawdzie hrabina, od czasu jak się dowiedział o złym stanie interesów hrabstwa, znacznie mu się wydawała starszą, jej zalotność nieco zwietrzałą, ale niemniej tytuł, dowcip, wziętość, jakiej powszechnie używała w okolicy, zdobycz tę czyniły jeszcze niezmiernie ponętną. Więcej zapewne było w tem miłości własnej niż innej; ale ileżto gwałtownych namiętności na niej się tylko opiera?

Aż miło było spojrzeć na wózek i zaprząg rotmistrza: wszystko jak z igły! Nejtyczanka nie była tą prostą bryczką, jakieto niegdyś pod tem nazwaniem chodziły; ale czemś wytwornem jak cacko, wylakierowanem, wyświeżonem, błyszczącem, śliczniutkiem, że zdaje się nie do użycia, ale do patrzenia ją zrobiono. Oparta na resorach, ze spuszczoną budką, z kolorowemi latareńkami, wachlarzami, dywanami, wybiciem sukiennem i jedwabnem, wyglądała na koczyk, i tyle co on kosztowała. Cała rzecz że rotmistrzowi, jako kawalerowi i tężyznie, nie uchodziło jeździć koczykiem, a wolno było używać nejtyczanki. Cztery szpaki jabłko-

wite, rzekłbyś rodzeni bracia, choć na różnych kupione jarmarkach, rwały się z krakowskich chomątów z biało-czerwonemi płatami. Z kozła powoził fornal, przerobiony na krakowiaka sukmaną i czapeczką. W uprzęży, w wózku i koniach widać było dawnego wojskowego, tak to ślicznie utrzymane i ze znajomością rzeczy zdawało się dobrane. Chłopaczek z kiepska po węgiersku wyczupurzony siedział na koźle przy woźnicy, wyprostowany jak pod miarą.

Nim się rotmistrz wybrał, nim dojechał, nim groblę w Denderowie przebył, szarym już mrokiem stanął pod karczmą, gdzie dopiero wdziawszy wonny frak i poprawiwszy ostatecznie włosy, powolnie ku dworowi zmierzał. Droga wiodła po nad samym ogrodem: furtka od niego wychodziła na gościniec; mijając ją, pan Powała ujrzał hrabinę, która wyglądała i zdawała się go wzywać; wysiadł więc i odesławszy konie wołyńskim zwyczajem do karczmy (bo tu nigdzie gościnnej stajni, choćby z próżnemi żłobami nie znajdziesz), powitał ją z dosyć smutną miną. Smutek rotmistrza niezmiernie różnie dawał się tłumaczyć.

Hrabina była sama; sama jedna przechadzała się po ogrodzie, właśnie jakby na niego czekała. Pan Powała miał prawo wielce z tego być dumnym: bo któż na jego miejscu nie wziąłby to na rachunek rodzącego się przywiązania, zwłaszcza po pierwszych wyznaniach. A na tym właśnie stopniu był z hrabiną.

Ubrana czarno, wykwintnie, ale skromnie, i bardzo do twarzy, miała minkę zafrasowaną, także i smętną, może dla tego, że wiedziała jak jej było ze smutkiem ładnie, może, iż istotnie czuła w sobie niepokonany smutek. Uśmiechem porozumienia powitała rotmistrza

i podała mu rękę po angielsku, dlugo jej nie cofając, w sposób niezmiernie znaczący. Dłonie ich splotły się uściskiem gorącym.

— Daruj mi pan to wezwanie, to prawdziwe szaleństwo — rzekła cicho i jakby osłabłym głosem — ale tak potrzebowałam pociechy, tak byłam smutna i cierpiąca... Czuję teraz, żem zrobiła dzieciństwo...

— Także się to nazywa?

— A! jeśli nie gorzej jeszcze! Cóżby świat powiedział?

— Żem przyjechał na herbatę, żem panią spotkał w ogrodzie... nic naturalniejszego.

— Chodźmy, chodźmy!...

Ale choć iść mieli, nie spieszyli wcale: rotmistrz był w rozczuleniu i wielkiej razem niepewności jak sobie postąpić; hrabina zadumana; ruszyli krokiem, zastanowili się, milczeli.

— Wiesz pan o naszych kłopotach — dodała pocichu hrabina ze spojrzeniem łzawem.

— Nie wiem. Coś słyszałem, ale mi nikt nie mógł dokładniej objaśnić, a bajek jest tyle.

— Zdaje się, że mąż mój wiele stracił przez nieostrożność.

— Więc to prawda?

— Niestety prawda! i strata niezbyt znaczna inne za sobą może pociągnąć.

Rotmistrz w tej chwili pomyślał o swoich trzydziestu tysiącach, zląkł się trochę, żeby i one pociągnione nie były, ostygł nieco. Hrabina o nich nie wiedziała podobno, bo choć Smoliński je wspomniał, nie uważała co mówił. Milczeli.

— Któż wie, może na czas będę musiała wyjechać

z Denderowa. Ta myśl — dodała egzaltując się teatralnie — myśl ta najwięcej mnie boli...

— Mógłżebym pochlebiać sobie — z żołnierska odezwał się rotmistrz nie tęgim konceptem.

Ona spojrzała tylko na pana Powałę, i westchnienie wymowne miało dokończyć, czego nie dopowiedziały usta.

— Kto wie — szeptała — może się już nierychło zobaczymy.

Byłoto widoczne wezwanie do czułego pożegnania. Rotmistrz, poczciwe człeczysko, choć kochać nie umiał inaczej, tylko po wojskowemu, a pierwszy raz wdał się w romans tego rodzaju, uczuł się poruszonym w sposób wcale nowy; szukał słów na wypowiedzenie swego sentymentu i znaleźć ich nie mógł, a co najgorsza, że nie wiedział, czy się godziło być zuchwałym, czy należało być tylko rozczulonym, i jak skończyć, aby to było przyzwoicie i z dobrym tonem.

— Wierz mi pani — rzekł zdobywając się nareszcie — że ja na tem najwięcej cierpię; ale to być nie może, to być nie może, państwo nie odjedziecie.

— To będzie zależeć od *niego*, *on* stanowi o tem.— *On* jak zawsze był to mąż; bo panie zbyt są delikatne, by inaczej jak tą peryfrazą męża wspomniały wobec kochanka.

Szli powolnie ku domowi, ale tak powolnie, tak noga za nogą! Hrabina była melanholijnie wzruszona i tak osłabiona uczuciem, że ciągle chwytała rękę rotmistrza, by się na niej zeprzeć; nareszcie na pierwszej ławce raczej upadła pod brzemieniem uczucia, niżeli usiadła. Ławkę tę otaczała dokoła cienista altana. Rotmistrz w coraz większej niepewności stanął przed

nią, nie wiedząc co począć z sobą w tem tak nowem dla siebie położeniu; nie mógł w żaden sposób zdecydować się jak postąpić, jak cieszyć i jak kochać. Romanse francuzkie i przypomnienia wojskowe latały mu po głowie, radząc coraz inaczej; między młotem a kowadłem, całkiem zdawał się na przeznaczenie i na losy.

— Prawdziwie, to szaleństwo! — szeptała po cichu hrabina — w moim wieku, przywiązanie tak występne, tak gwałtowne, a tak próżne i bez nadziei.

(Rotmistrzu — wołał romans francuzki — pal strzelistą odpowiedź).

— Zawsze jest nadzieja — rzekł posłuszny natchnieniu rotmistrz, przyciskając do ust jej rękę.

(To radziły wspomnienia).

— Jaka nadzieja? — spytała nieostrożnie pani.

(Romans podszepnął:)

— Nieopisana, nieokreślona, lecz jest.

(Wspomnienia doradziły się przybliżyć i rękę uścisnąć wyraziście, z zapałem).

— Dla występnych! — zawołała hrabina.

— Występek cały jest moim tylko... — mówił romans przez usta rotmistrza.

— Nie, nie! jato stokroć winniejszą jestem. Najlepszy z mężów... Zdradzam najlepszego z mężów: ale są przywiązania tak niepohamowane... a takiem właśnie jest moje. Nic nie mając przed sobą prócz przepaści, lecę w przepaść; gdybyż choć podział uczucia był mi nagrodą.

Cała ta mowa była tak wyraźną, że kto inny na miejscu naiwnego rotmistrza, obałamuconego świeżem czytaniem romansów starych, byłby nie potrzebował komentarza do niej; ale pan Powała sadził się na

czystą sentymentalność i odciął się wykrzyknieniem tylko:

— Pani! więc wątpisz o mojem uczuciu! — zawołał podnosząc głos — godziż się! godzi się... mamże przysięgać, jakież mam złożyć dowody, ach!

To mówiąc, z porady starego romansu rzucił się po staroświecku głupiusieńko na kolana, bo przypomniał sobie, że w książkach często bohaterowie padają na kolana przed swemi kochankami, i złożywszy ręce do uroczystej przysięgi, już się ją wyrzec zabierał, gdy Zygmunt-August Dendera, małżonek, ukazał się we drzwiach zacieniowanej altany.

— Brawo! rotmistrzu! — rzekł z przyciskiem — brawo! Dziękuję ci, że panią pocieszasz tak wymownie: grajcie dalej starą komedją, ja nie przeszkadzam.

To mówiąc, gdy hrabina już krzyknąwszy mdlała, zbliżył się do rotmistrza i szybko dodał:

— Biegaj po wodę, trzeźw ją, to twoja rzecz, a potem przychodźcie na herbatę, bo już ją podawać kazałem.

I z uśmiechem Mefistofila niespodziany świadek odszedł jak przybył, niepostrzeżony, po cichu, dyskretnie.

Jak przybył hrabia, nie trudno wytłumaczyć. Spieszył on do domu już dla pochwycenia ze Słomnik co się pochwycić mogło, już dla podtrzymania swej opinji i kredytu, sobie tylko właściwemi środkami. Był już na wzgórzu panującem okolicy, gdy rotmistrz jechał ku dworowi; kazał zwolnić kroku, zamierzywszy sobie zrobić niespodziankę obojgu państwu i w chwilę po kochanku wsunął się tąż samą furtką do ogrodu. Resztę już wiemy. Wysłuchał on całej rozmowy, nawet owego przymiotnika: *najlepszy z mężów*, na który roześmiał

się w duszy. Któraż z żon co zdradzają, nie szafuje tym czułym przymiotnikiem? Ileżto razy aniołem się nawet nazywa dla kochanka nieszczęśliwy małżonek, w chwili właśnie, gdy wszystko dowodzi, że innegoby sobie życzono? O! nieodgadnione serce ludzkie, o biedne my słabe istotki!

Położenie rotmistrza i hrabiny było nie do opisania... Pierwszy zbity z tropu obojętnością męża, nie wiedział znowu co począć; druga zemdlawszy dla oka, przemyślała co ma z sobą zrobić. Całe życie doskonale granej komedji, na tej jednej scenie melodramatycznej stracone zostało. Wahała się czy ma zaraz odjechać do matki, czy męża przepraszać, czy stawić mu się ostro i twardo, z wyrzutami i zuchwałem odbiciem wymówek? Rotmistrz w dobrej wierze ją trzeźwił, gdy sam najmocniej potrzebował otrzeźwienia, bo był jak obłąkany. Ledwie oczy poczęła otwierać, gdy hrabia, który o kilka kroków tylko odszedł, zawrócił się ku nim i znowu przybliżył.

— Kochana hrabino — rzekł — nadto masz doświadczenia, żeby mdleć dla takiej fraszki; nadewszystko nie potrzeba z tego robić historji i zwracać na siebie oczu ludzkich. Proszę pani z sobą, i ty rotmistrzu musisz nam towarzyszyć.

Powała milczał, zakąsywał wąsy i wargi; spodziewał się bowiem wyznania, wyrzutów, pojedynku, pobicia może i awantury, w którychby był w swoim elemencie; ale nigdy tak pogardliwego chłodu, takiej zimnej obojętności, na którą wcale nie był przygotowany. Żaden romans francuzki nie przychodził mu w pomoc na takie dziwne położenie; bo nowszych nie czytał, a w starych inaczej się te sceny odegrywać zwykły.

— Ludzie cię widzieli gdyś wchodził — szepnął mu hrabia — jesteś uczciwy człowiek, nie róbże proszę cię awantury, chodź z nami, a o reszcie rozmówimy się potem.

To rzekłszy mdlejącej hrabinie podał rękę i raczej wlokąc ją niż z nią idąc, zmierzał ku pałacowi.

— Rotmistrzu — mówił — proszę o codzienny humor; pani także chciej odzyskać wesołość i przytomność przy najlepszym z mężów. Ludzkie oczy! ludzkie oczy! Zmiłujcie się państwo, nie malujcie głupstwa gorszego niż pierwsze!

Więcej niż słowa hrabiego pomogło przybycie Cesi i Sylwana, którzy ulicą spieszyli ku nim. Jakby cudem hrabina odzyskała przytomność, żywość, swobodę; rotmistrz trochę odwagi, a hrabia, który się ani na chwilę nie zmieszał, powitał syna:

— Spotkaliśmy się z ukochanym rotmistrzem u drzwi ogrodu, i najosobliwszym trafem, hrabinę także niedalekośmy znaleźli: macie więc mnie dzieci kochane i gościa miłego razem.

Rotmistrz się witał jak po żarzących węglach stąpając; hrabina tymczasem wyrwała się, prosząc by mogła pójść przodem, kazać przygotować herbatę i znikła. Cesia poszła za nią, mężczyźni zostali sami.

— No, już wiecie zapewne — odezwał się swobodnie hrabia rzucając okiem na rotmistrza, któremu cygaro Sylwana dało zajęcie i minę jaką-taką — wiecie o mojej stracie?

— Słyszeliśmy — wycedził rotmistrz przez zęby.

— Ha! cóż robić! odrobię się na czem innem; zażył mnie oszust to prawda, ale ja mu odpłacę! Zresztą klucz Słomnicki w piaskach po większej części, grunta

liche, lasy wyniszczone i strata mniejsza niżeli się zdaje. Nim sekwestr przyjdzie, do reszty smołę wyrobię, wytnę i wysączę co się tylko da wycisnąć.

— Zawsze... — rzekł rotmistrz, czując potrzebę coś powiedzieć — zawsze... i zatrzymał się.

— Zawsze żal, bez wątpienia; ale dla mnie, to mniej znaczy. Gdybym chciał, wykupiłbym Słomniki: mam trochę grosza.

Rotmistrz zrobił wielkie oczy.

— Znalazłbym kredyt — kończył hrabia.

Rotmistrz jeszcze się więcej wytrzeszczył.

— Ale to lichota — dokończył Dendera — nie ma co o tem myśleć.

Sylwanowi lżej się zrobiło, widząc, że ojciec tak lekko traktował klucz ten i swoje nieszczęście; weselszy poszedł na górę kręcąc wąsa.

Nie będziemy wam malowali sceny przy herbacie, której hrabina przytomną być musiała, choć doprawdy wartaby była odwzorowania dla wiekuistej pamięci. Rotmistrz, jak tylko przyzwoitość dozwoliła, począł się zaraz wybierać do domu, a hrabia jak najczulej wstrzymywał go, zapraszał, żegnał, i wsadził nareszcie do nejtyczanki, głośno życząc dobrej nocy. Sam natychmiast wszedł do pokoju hrabiny.

Byli całkiem sami: ona siedziała w kąciku milcząca, on chodził po pokoju zwycięzki, pogodny i całkiem pan siebie.

— Nareszcie — rzekł po chwili namysłu — dwudziesto-kilko-letnia komedja nasza skończyła się...

Hrabina ust nie otworzyła: studjowała położenie swoje i chciała się przygotować do nowej roli.

— Czasby już dać pokój — kończył mąż — tym

ryzykownym jesiennym miłostkom; dzieciom to szkodzić może na sławie i mnie nie pomaga. Dotąd, muszę pani przyznać, miałaś wielki takt we wszystkiem, dziwię się, że szerokie ramiona głupiego rotmistrza mogły panią tak dalece obałamucić, żeś zwykłą straciła rozwagę i ostrożność.

— Proszę nie szydzić przynajmniej, hrabio, jeśli nie litość, jeśli nie szacunek...

— Litość i szacunek! Szacuję tylko wysoki jej rozum, lituję się bardzo nad panią; lituję się nawet oddawna, widząc, że pani wiek, ani doświadczenie, nie mogą jej powściągnąć od niepotrzebnych rozrywek. Cóż u licha! trzeba sobie przypomnieć metrykę!

— Jestto pierwszy mój błąd... jeśli to błędem nazwać się może...

— Pierwszy czy ostatni, o tem mnie wiedzieć hrabino — rzekł mąż; — to pewna, że pierwszy odkryty na jaw fatalnie; na inne, a wierz mi pani, że je mógłbym policzyć, przez szpary patrzałem...

— Śmiesz to powiedzieć?

— Chceszże pani, bym liczył i dowody składał?

— O! tak się pastwić! to niegodnie!

— Jakbyś się pani gorzej i niegodniej nie pastwiła nademną! Myślałaś-że, iż to choć obojętnego nie boli? Ale wracam do rzeczy. Zawsze sądziłem, że to się przecie kiedyś skończyć musi, ale widzę, że czterdzieści kilka lat nawet nie są rękojmią mojej spokojności.

— Cóżem winna! cóżem winna! upamiętaj się pan! — zawołała hrabina.

— Jakto pani?

— Tak jest! Powiedz mi jaka moja wina?

Hrabia osłupiał i na chwilę zamilkł.

— Wina? — rzekł — pani nie wiesz jeszcze?

— Mogłażem zabronić mu kochać i oświadczać się?

— A prawda! — ze śmiechem zawołał Dendera — to ja jeszcze winienem cię przeprosić, nie obwiniać. Wina i nie ma winy — dodał szydersko. — Jesteś aniołem! cha! cha! — Ale wnet zmienił głos. — Dość, mówię tych komedyj. Nie jestem i nie byłem nigdy ślepym; musiałem nim być póki tylko mogłem, ale basta! dosyć! Widziałem wszystko, przebaczałem częściej niż drudzy; nareszcie przebrało się cierpliwości i pobłażania.

— Więc się rozstańmy...

— Ba! jakby to było doskonale, gdyby to być mogło!

— To być musi.

— To być nie może. Dzieci nasze byłyby zgubione i pani z niemi. Żona moja nawet posądzoną być nie powinna, a przynajmniej jeśli ją posądzają, niech to tylko będą posądzania, niech nikt nie ma prawa powiedzieć: oto dowody. Odtąd więc racz pani słuchać: dość tych młodości powrotów, romansów i intryg, lub... lub... ręczę pani, że źle bardzo skończymy.

— Śmiesz mi grozić!

— Grozić? nie; ale co mówię to spełnię do joty. Mogłem darować chociażby winnej, lecz upokorzonej, lecz wyznawającej swą winę żonie, bo takie wyznanie dowodzi żalu, każe się spodziewać poprawy; ale nie przebaczę dumnej a występnej. Całą rozmowę pani z rotmistrzem powtórzyć mogę, bom ją doskonale słyszał. Sądzę, że niemniej piękne co do stylu i treści były jej ciche szepty wieczorne z panem Hermanem, z panem Julianem, z panem...

Hrabina dostała gwałtownych spazmów i padła na kanapę bezprzytomna; hrabia bryznął jej na twarz kilka kropel wody, otrzeźwił, a gdy powoli oprzytomniała, dodał bardzo zimno:

— W oczach ludzi i dla świata będziemy czem byliśmy: bardzo a bardzo kochającem się małżeństwem, bo świat o niczem wiedzieć nie powinien. *C'est de rigueur.* Zresztą będziemy dla siebie odtąd obojętni i obcy jak starzy znajomi, co już tajemnic nie mają. Dobranoc pani. Jeślibyś chciała odjechać do siebie — dodał zawracając się ode drzwi — wolno; ale nie zaraz; musimy wprzód naprawić złe, jakie uczynić może rozgłos o konfiskacie, odżywić mój kredyt, zamknąć usta nieprzyjaciołom... potem... nie mówię... Samodoły są na jej usługi.

Ukłonił się i odszedł.

— A rotmistrz — rzekł wychodząc z uśmiechem do siebie — nie będzie mi się mógł teraz o swoje 30,000 upominać. Byłaby to z jego strony ogromna niedelikatność, otóż już pierwsza wygrana. Prawdziwie jestem niewdzięczny: czynię wymówki i grożę, gdy powinienbym dziękować. Pierwszy to romans mojej żony, który mi się na coś przydał.

Nadto obchodziła Sylwana przyszłość całej rodziny, żeby łatwo uspokojony miał się już całkiem z nią spuścić na hrabiego ojca. Wprawdzie wypogodzone oblicze starego Dendery i jego zuchwała przeciw pociskom losu postawa, wlały już trochę odwagi w syna; ale potrzebował bliżej poznać zamysły ojcowskie i rozmówić się z nim obszernie. Hrabia odprawiwszy rotmistrza,

po krótkiej rozprawie z żoną, pospieszył do oficyny, gdzie już czekali nań syn i Smoliński, niezmiernie poruszony powrotem niespodzianie prędkim pana, który przygotowania jego do odjazdu mieszał. Zygmunt-August choć blady, wzruszony i znużony, a dla tych co go bliżej znali zburzony, nie okazywał jednak na pierwsze wejrzenie, że go tyle różnych wypadków razem dotknęło tak boleśnie. Miał całą przytomność, całą swą dumę, cały swój zwykły strój i przybór aktorski, z jakim odegrywał rolę życia od początku. Niósł głowę wysoko, dawał rozkazy głośne, i gdy ludzie szukali na nim śladów upokorzenia, przybicia, znajdowali podwójną tylko przytomność siłę i żywość.

Sylwan z cygarem w ustach, wpół leżąc na kanapie, czekał na ojca w jego pokoju; spodziewał się że z sobą szczerze pomówią, i że przypuszczony zostanie, do tajemnicy narady o przyszłości.

Wszedł ojciec, rzucił na niego okiem, i rzekł tylko:

— Dobrze żeś przyszedł hrabio! pomówimy z sobą; lecz wprzód rozbiorę się i fajkę zapalę.

Podzielając zimną krew ojca, syn w milczeniu pozostał na kanapie. Tymczasem Zygmunt-August zrzucał z siebie suknie, uśmiechał się, rojąc coś widocznie; i odprawiwszy sługi, wdziawszy czapeczkę, zapaliwszy fajkę na wspaniałym cybuchu, tak zaczął:

— No! czas pomówić serjo! Jesteś hrabio w wieku, w którym nie mam już potrzeby nic kryć przed tobą, nic dla ciebie zmyślać. Powinieneś być moim pomocnikiem, a jako przyszła głowa rodziny, wiedzieć o wszystkiem, co się naszych interesów tyczy. Będziemy więc otwarci.

Sylwan skłonił głową.

— Zabranie nam klucza Słomnickiego jest, mówiąc między nami, wielką klęską — kończył hrabia — chociaż przed kim innym, prócz ciebie, nie przyznam się do tego, Słomniki, można powiedzieć były jedynym czystym funduszem naszym, i tośmy utracili; na Denderowie mamy długi, które prawie równają się jego wartości; reszta majątku podobnież obciążona. Samodoły, posag twojej matki, z długiem bankowym i deportatami Czeremowej, warte nie wiele. Koniec końcem, możemy powiedzieć, że ściśle się oblikwidowawszy, zostałoby nam, zbiwszy wszystko do kupy, może jakie parę kroć sto tysięcy, co dla nas jest jak nic.

— Bez kwestji, to zupełnie nic! — przerwał Sylwan. — Cóż więc w takim razie poczniemy?

— Cała rzecz nie tracić głowy — mówił stary hrabia — i nie wątpić o sobie; nie mogę w pierwszej chwili zapobiedz, by przestrach nie ogarnął wierzycieli, ale tymczasem, *qui a terme, ne doit rien;* a nim termina nadejdą, musimy zmienić ten stan rzeczy.

— Jakim sposobem? — spytał Sylwan.

Hrabia wstrzymał się w pośrodku pokoju, i rozśmiał się z niewymownem szyderstwem.

— Trzeba żebyś wiedział kochany hrabio, że nie ma głupszych stworzeń nad ludzi.

Młody uśmiechnął się tylko: gotów był temu wierzyć, wyjmując tylko, jak zwykle, jednego siebie; bo do siebie nikt praw powszechnych nie zwykł stosować.

— Wszyscy przechodzą ciągle od największej nieufności do nieograniczonego zaufania, ze zwątpienia do ślepej wiary, jak istne dzieci; potrzeba tylko umieć niemi pokierować. Kredyt mój w tej chwili zachwiany; niech tylko ja nie okażę przestrachu, niech wypłacę

komu, niech potarguję, niby chcąc kupić, jaką wioseczkę, zobaczą że się trzymam na nogach, że się nie proszę, nie kłaniam, nie padam: jutro mi płynąć będą szlacheckie pieniądze jak woda. Całą więc tajemnicą, ufność w sobie do ostatka i odwaga.

— Ale dalej?

— Dalej? manipulacja bardzo prosta — mówił ojciec — pożyczam od jednego, oddaję drugiemu: proste działanie arytmetyczne; i tak ciągle. Udaję wielkiego spekulanta, mówię o ogromnych zyskach, trzymam się na nogach, i kpię z głupców co mi wierzą.

Czemuż opisać nie możemy miny, postawy i głosu, z jakim aksioma wyrzeczone zostało! Hrabia istotnie był w tej chwili podziwienia godnym gieniuszem.

— Wszystko to dobrze — rzekł Sylwan — ale oczywiście potrzeba się nam będzie oszczędzać, potrzeba nowy jakiś plan życiu zakreślić.

— A to właśnie byłoby jak największe głupstwo! — żywo odparł stary mentor. — Owszem, przeciwnie, wystawa, przepych, to środki najlepsze. Kto mnie zobaczy nową karetą, świeżym paradnym jadącego cugiem, powie sobie zaraz: nie może to być bankrut, patrz jak żyje! Niechże sprzedam choćby parę starych koni, gruchnie zaraz że się fantujemy. A zatem odważnie, śmiało i dalej!

— Uwielbiam hrabio twoję niezachwianą przytomność umysłu; ale czy to się tak uda, jak osnuje?

— Udać się musi!

Hrabia pochodził chwilę i pomyślał.

— Najważniejszym — rzekł — z wierzycieli moich, bo najznaczniejszą ma u mnie sumę, jest stary Kurdesz; tegobym chciał jakoś ugłaskać, bo szlachcic, choć

się nisko kłania, ale kuty na cztery nogi.

— Więc to prawda, że ma u nas dwakroć sto tysięcy?

— Tak jest!... potrzeba pomyśleć: i na niego są sposoby. Wszak byłeś w jego domku?

— Parę razy.

— Nawet parę? — spytał ojciec.

Sylwan trochę zmieszany zamilkł; ojciec się rozśmiał.

— Zdaje mi się, że ci tam dziewczyna w oko wpadła. Cha! cha! krew moja, nie ma nic złego, a nawet może się to na coś przydać. Potrzeba żebyś tam był znowu, choćby najczęściej...

— Ja? Ale cóżto pomoże?

— Ba! trzeba szlachcica złowić nadzieją ożenienia, jeśli tak prosty, że się nią da złudzić; czasem i te grube środki, właśnie niezgrabnością swą, są najskuteczniejsze.

— Jakto mój ojcze? nie dobrze rozumiem ciebie.

— Widzę, że mogę z tobą mówić otwarcie. Bywaj u Kurdesza i umizgaj się do jego córki, rozumiesz? Ja niby o tem nic nie wiem. Szlachcic połaskotany naszem hrabstwem, nie będzie nas prześladował o dług; ja udam ci ślepego, a gdyby przyszło do rzeczy, masz zawsze mnie w odwodzie za sobą; nie pozwolę ci się żenić i kwita!

Sylwan jakkolwiek zepsuty, uczuł niejaki wstyd z tego rozporządzenia, upokorzony był rolą majaka, którą mu grać kazano; zamilkł, ukośnem wejrzeniem mierząc ojca, który to mówił z tak zimną krwią, z taką flegmą i bezwstydem, jakby rzecz najnaturalniejszą, najuczciwszą w świecie.

— Możesz tam sobie jeździć — dodał — możesz nawet czasem westchnąć na moję arystokracją i surowość. Rotmistrz będzie sprzyjał otwartym twoim staraniom; a zresztą spuść się na mnie: chodzi tylko o zyskanie czasu. Panienkę moglibyśmy wydać za kogokolwiek, choćby za Wacława; dla niego byłaby to przepyszna partja!

Wyborny ten projekcik tak w dumę wbijał hrabiego, że mu się aż usta uśmiechnęły. Sylwan użyty za komparsa, trochę był zawstydzony; ale że mu ten środek dawał w ręce sposób pomszczenia się nad szlachtą, która dotąd śmiała mu się opierać, przyjął go ochotnie.

Po tak otwartem wywnętrzeniu, nie było już co mówić dalej, zamilkli chwilę. Hrabia zadzwonił, by zawołano Smolińskiego; zdawało się to odprawą dla Sylwana, który chciał odejść, ale go ojciec zatrzymał.

— Zostań hrabio — rzekł — zobaczysz jak się robią interesa; trzeba żebyś się z niemi oswajał.

Sylwan więc pozostał na kanapie, a ojciec wyszedł do pierwszego pokoju, usłyszawszy otwierające się drzwi, chód i chrząkanie odznaczające Smolińskiego.

Smoliński był w niewesołem trochę położeniu, bo go niespodziany powrót hrabiego schwytał na samych przyborach do odjazdu. Jak z walącego się domu wszyscy uciekają, tak i on widząc zarysowaną ścianę nad sobą, myślał i poczynał się już wynosić. Hrabia przez swoich szpiegów już o tem wiedział; jadąc stanął przed karczmą za wioską, gdzie wedle zwyczaju żydka arendarza o wszystko co się działo wypytał; udał jednak, że nic nie wie. Tak mu na ten raz wypadało.

— A co! dobry wieczór ci Smoło! — rzekł — widzę nie spodziewałeś się mnie tak rychło?

Smoliński był zakłopotany widocznie: tarł blade uszy, wykręcał sobie palce, mrugał oczyma, tupał nogami; a zdobywszy się wreszcie na uśmiech, rzekł:

— Cóż JW. grafie! choć nie spodziewaliśmy się, ale radzi jesteśmy. Cóż nam JW. pan przywozi?

— Naprzód, gadaj mi, czy uratowałeś z klucza Słomnickiego co było można? Ja konfiskatę potrafiłem na trzy miesiące jeszcze odciągnąć.

— Ratujemy, ale to idzie ciężko.

— Nie rozumiem co to jest ciężko; powinno iść i musi.

Smoliński spojrzał z podełba. Hrabia stał jak Jupiter poważny i dumny.

— Czyżto nam panie grafie tak z sobą mówić? Czy to pan nie wie, co się święci?

— A cóż się święci?

— Jużciż nie wyleziem z tej kaszy, choćbyśmy co ze Słomnik i uratowali.

— Z czego nie wyleziem?

— A z biedy.

— Cóżto waćpan myślisz, że dla klucza Słomnickiego ja przepadnę?

Smoliński spojrzał wielkiemi oczyma. Hrabia się uśmiechał z taką pewnością, z takiem zaufaniem w siebie, że choć Smoliński znał go zdawna, uśmiech ten go uwiódł i zniepokoił. Zachwiał się.

— Cóż JW. hrabia myśli?

— Co myślę? ratować co można, i po dawnemu iść dalej.

— Którędy? — spytał znowu szydersko rządca.

— To do mnie należy. Wiele masz w gotówce w kasie?

— Po strąceniu mojej należności...

— A to waćpan już naprzód sobie potrącasz?

— Jestem bardzo potrzebny...

— O tem potem... Wiele jest pieniędzy w kasie?

— Prawdziwie, nie obliczałem się...

— To może ja waćpanu powiem ile być powinno?

Smoliński rozgniewał się i ruszył ramionami.

— Coto, panie hrabio, daremnie wodę warzyć? Choćby i było co w kasie, cóżto w proporcją interesów? Mam jeszcze półtora tysiąca rubli.

— Co wziąłeś za drzewo sprzedane żydowi z Żytkowa z klucza Słomnickiego?

— Dali z górą dwadzieścia tysięcy.

— Dobrze, to już trzydzieści.

— Ale JW. hrabio, ja jestem bardzo potrzebny; moja należność...

— Waćpan tu pierwszym nie jesteś, spodziewam się — rzekł z wymuszoną grzecznością hrabia. — Nie bój się, nie stracisz. Ja z sobą mam jeszcze 30.000, których mało co nadwerężyłem, bo w Żytkowie nie było co robić i obszedłem się małem, to stanowi około 60.000. Na pierwszy ogień dosyć będzie, a co dalej robić, pomyślimy.

Wtem właśnie, gdy to mówili, hałas się zrobił w przedpokoju, ktoś się dobijał do hrabiego, wadząc ze sługami. Drzwi rozparły się z hałasem i wpadł pan Pęczkowski, cały zdyszany, fioletowy, nieprzytomny. Oczy miał obłąkane, krwią zaszłe; postawa malowała najżywszy niepokój i rozdrażnienie.

— A cóżto za awantura, kochany Pęczkosiu? jak się masz? — zawołał hrabia. — O tej porze! cóż cię tu sprowadza?

Pęczkowski zimno się skłonił.

— Daruje JW. hrabia, że tak niespodzianie wpadam, ale prawdziwie...

— Cóżto ci się stało, kochany Pęczkosiu? — zapytał hrabia uprzejmie, ale dumnie i poważnie.

— Jestem tak nieszczęśliwy — zawołał skłopotany szlachcic — że muszę, choć nie chciałbym, naprzykrzać się JW. panu, aby taki interes...

— O cóż to chodzi, mój Pęczkowski? — powolnie zapytał gospodarz. — Co to jest?

— Jestem w takich okolicznościach, daruje JW. pan, ale obciążony familją: w pocie czoła zapracowawszy, nie mogę stracić... Moja sumka jest mi koniecznie potrzebna.

— Jaka sumka? cóżto? miałżebyś już chcieć jej nazad? Wszak ledwie kilka tygodni jakeś mi ją dał i wziął oblig.

— Ja wiem JW. panie, że to nie termin, ale w takich okolicznościach; miej JW. pan litość nademną! Dzieci, żona bez chleba! Nie gub mnie!

Zaczął się plątać i bełkotać niezrozumiale, zaklinać, grozić, płakać i prosić.

— Cóżto tak gwałtownie pilnego? — powtórzył hrabia. — A! a! widzę — dodał śmiejąc się do rozpuku i biorąc za boki — to to zapewne konfiskata Słomnik takiego ci piotra napędziła? Cha! cha!

Nagle przestał się śmiać, i gniewny, poważny obrócił się do zdumionego szlachcica.

— Wiedz waćpan — rzekł — że niczyich pieniędzy nie żądam i nie proszę, a jeżeli czyje biorę, to mu łaskę czynię! Wiele się waćpanu należy?

Spojrzał na Smolińskiego stojącego u drzwi.

— Zaraz się obliczę — cicho rzekł rządca.

— Proszę natychmiast temu panu wypłacić! — zawołał Dendera dumnie i nakazująco. — Natychmiast, nie odkładając do jutra, w tym momencie! Żegnam waćpana!

To mówiąc obrócił się obrażony niby, sapiąc i udając gniew ogromny.

Pęczkowski sam nie wiedział co się z nim działo. Smoliński nie ruszył się z miejsca i mrugał tylko na Pęczkowskiego, to na hrabiego, nie rad będąc tej wypłacie.

— Ale niechże się JW. pan nie gniewa — wybąknął szlachcic. — To w pocie czoła zarobione, uciułane, jedyny fundusik moich dziatek...

— Nie wchodzę w nic — odparł hrabia — nie masz waćpan ufności we mnie, odbierz swoje i idź z Bogiem; ale że i ja nie mam odtąd ufności w panu, więc tę posesyjkę, którą masz odemnie, proszę zaraz zdać i wynosić się natychmiast!

— JW. panie!

— Ani słowa! Panie Smoliński! proszę mi tu przynieść pieniądze zaraz! Masz pan oblig?

— Mam. Ale JW. panie!...

— Bez żadnego ale! Płacę i żegnam pana, czas zwykły do rumacji daję i bądź zdrów!

Smoliński jakkolwiek nie rad, poszedł po pieniądze i przyniósł je prędko, kasa była naprzeciw. Hrabia odliczył, w milczeniu oddał, odebrał oblig, podarł go w drobne kawałki i rzucił w komin z pogardą.

Szlachcic tak był obałamucony, zgłupiały, kontent i niespokojny razem, że nie mogąc policzyć pieniędzy, bo mu się w oczach kręciło, schwycił je tylko, wpakował do kieszeni, chciał żegnać, ale hrabia stał tyłem

do niego, wyszedł więc pocichu.

— Tak się robią interesa — rzekł Dendera do syna — płacę mu kilkadziesiąt tysięcy, ale jutro dwa i trzy razy tyle mieć będę, gdy zechcę. Nie mógł mi pan Bóg zesłać pomyślniejszego wypadku nad tego Pęczkowskiego utrapionego. Byle się dowiedziano, żem prosty oblig zapłacił, będą mi dawać wszyscy, będą mnie prosić, żebym sumki zatrzymał.

Zatarł ręce.

— Ślicznie, wybornie, przepysznie mi się z nim udało! Pęczkowski byłby krzyczał w niebogłosy i drugich buntował, zamknąłem mu gębę; musi przyznać, żem mu się nawet bez terminu uiścił. Zobaczysz jaki to zrobi efekt.

Wszystko u hrabiego obliczało się, niestety! na efekt tylko.

I nie chybiły na ten raz przepowiednie, bo najpierwszy Smoliński, choć lis szczwany, powiedział sobie:

— Ej! panowie, nigdy to nie przepâda! Jak koty: zrzucić ich z jakiej chcesz wysokości, zawsze padają na nogi, wstają i lecą. Musi hrabia mieć resursa i nadzieje ukryte! Inaczej zbiłby się z pantałyku, a trzyma się ostro... Nie czas jeszcze uciekać.

Chodziło o uśpienie starego Kurdesza, żeby się swoich dwóchkroć nie upominał. Hrabia miał podejrzenie, że rotmistrz konfederat nie tyle już mu wierzy co dawniej; myślał jak go ująć sobie, i chcąc użyć za narzędzie Sylwana, postanowił z nim o tem otwarciej jeszcze i dobitniej się rozmówić. Niespokojny był trochę że mu syn na pierwszą wzmiankę nic nie odpowiedział;

postanowił dotrzeć i dowiedzieć się, jakie było usposobienie Sylwana.

Nie bez wahania jednak i trochy wstydu, przyszło mu odnowić już raz wszczętą i na niczem spełzłą rozmowę w tak delikatnym przedmiocie; ale potrzeba była gwałtowna!

Zastanowił się w swej przechadzce po pokoju naprzeciw syna, spojrzał na niego, jakby go badał, czy spełnić potrafi co mu poleconem będzie, i tak rozpoczął:

— Wiele, wiele zależy mi na tem, żeby się stare Kurdesisko swoich dwóchkroć nie upominało natarczywie. Mógłby rozbudzić innych, powstając przeciwko mnie

— Ciężko na to poradzić. Prosić?

— Któż prosi? zlituj się! Naiwny jesteś zbytecznie mówiłem ci już o sposobie, w jakim użytecznym mi być możesz.

Sylwan milczał.

— Słuchaj tylko uważnie! Wiem, że ci córka jego w oko wpadła.

Na to zapytanie zmięszał się młody hrabia, sądząc, że ojciec wie już o niefortunnych jego umizgach, zarumienił się, ale udając obojętność odparł:

— Tak sobie, przystojne dziewczę.

— I trochę ci się chce koło niej poskakać?

— A któż to ojcu powiedział? — żywo spytał Sylwan, zawsze w przekonaniu, że hrabia wie o wszystkiem, choć w istocie stary o niczem nie wiedział: zgadywał tylko, a widząc, że mu lepiej szło niż się spodziewał, udał zaraz doskonale uwiadomionego i podchwycił:

— Kto mówił to mówił, a to pewna, że ci w oko

wpadła: kontent jestem z tego.

Sylwan ruszył ramionami.

— Właśnie mi tego było trzeba.

— Ale cóżto ma do interesu? — oburzony trochę podchwycił syn — przecież hrabia nie myślisz mnie dla mizernych dwóchkroć ożenić?

— Uchowaj Boże! co za myśl dzika! Mówiłem ci przed chwilą! Nigdy na to nie pozwolę. Ale ci przecie wielkiej przykrości nie zrobi, gdy się do niej poumizgasz?

— To co innego.

— Umizgajże się, kochaj, zajmuj nią, bywaj, a ja, gdy się zechcesz cofnąć (byleby to się mogło przeciągnąć) w pomoc ci przyjdę. Stary gotów się odurzyć nadzieją ożenienia, szlachta bywa w tym przedmiocie bardzo głupia, są przykłady; nie zechce mnie rozjątrzać procesem i ze swoim długiem cicho siedzieć będzie. Wypatrzywszy porę, przyjdę rozgniewany, jakbym się dopiero o wszystkiem dowiedział, i oburzony, rozkażę ci zerwać stosunki.

Tą nową lekcją fałszu wypowiedział hrabia z niewypowiedzianą bezczelnością, tak że Sylwanowi, choć zepsutemu wcześnie, twarz krwią się oblała. Obrażony myślą, że go za narzędzie tylko używano, chciał się opierać zrazu, ale namiętność i próżność szeptały w drugie ucho: posłuchaj! Trudną była odpowiedź ojcu na tak jawną radę spodlenia, i Sylwan uznał za potrzebne choć dla formy się sprzeciwić.

— Hrabio! — rzekł — toby była nikczemność z mojej strony.

— Nikczemność! słowo! wpadasz w liryzm niepotrzebny. Zważ waćpan o co tu chodzi: zyskujemy na

czasie i ratujemy się od zguby. Zresztą nie radzę panu uwodzić: byłoby to podłością; chcę tylko byś się pomizgał, nastręczył mu myśl ożenienia, nic więcej. Jeździć możesz do Wulki często, staraj się poprzyjaźnić ze starym, rzuć czasem okiem na córkę: o to tylko cię proszę. Nie przesadzaj gorliwością, bobyś popsuł interes; a w ostatnim razie mamy Wacława na podstawkę.

— A jeśli mi drzwi zamkną przed nosem? — spytał Sylwan pamiętny ostatniej bytności.

— To być nie może.

— Toby być mogło.

— Nie! nie! Znam ludzi. Kurdesz ma pretensje do rodowitości, do kolligacji, nie osądzi się sam niższym od nas, mogąc dać córce około trzechkroć posagu: myśli pewnie, żeśmy prawie równi... Ładnyto grosz trzykroć!

— Spodziewam się, że hrabia nie taksujesz mnie tak tanio.

— Z twojem imieniem, postawą, wychowaniem i główką, kochany Sylwku — pieszcząco odpowiedział ojciec — powinienbyś wziąć najmniej dwa miliony; ale to później... Nim wyszukamy dla ciebie dziedziczki, która by Denderów oczyścić mogła, uśpij tego Cerbera Kurdesza.

— Ha! sprobuję! — wybąknął spuszczając oczy Sylwek — ale za powodzenie nie ręczę.

— Ja ręczę ci za nie! — wesoło rzekł ojciec.

— Tymczasem dla pomieszania szyków złym językom w sąsiedztwie i pokazania im, że jeszcze nie ginę, jakby radzi sądzić, za tydzień przypadające urodziny twojej matki obchodzić będę hucznie: spraszam

sąsiadów i krewnych, bal daję, jakiego w Denderowie nie widziano, oświecam ogród, sprawiam fajerwerk; z cukrami przyjedzie Dobrzyjałowski. Niech się ze złości i zazdrości popękają!

— To dobrze pomyślano! — rzekł Sylwan — Doskonale!

Dendera zajaśniał, uśmiechnął się, zatarł dłonie.

— Ho! ho! — rzekł — damy sobie rady.

W Wulce spokojnie płynęło życie: tu dzień dniowi, godzina godzinie, były rodzonemi siostrami. Nieznaczne w nich zmiany pochodziły z pór roku, z zajęć gospodarskich, z uroczystych świąt obchodów i z nieczęstych zetknień z zewnętrznym światem. Każdy z mniej zwykłych wypadków stanowił epokę pamiętną; zresztą o jednych godzinach niezmiennie wracały zajęcia jednakie. Są ludzie, których podobne życie utrudza, nieszczęśliwi, którym potrzeba szału, wrzawy, zamętu, by o sobie, o jutrze i doli zapomnieli. Wcale inne uczucie panowało tutejszym mieszkańcom, im nic świat zewnętrzny dać nie mógł, a wiele odbierał. Rotmistrz obcy wśród dzisiejszych ludzi, doznawał więcej podziwienia, przykrości od nich, niżeli przyjemności w ich społeczeństwie; mimowolnie śmiał się z nowego pokolenia i niecierpliwił niem, jak ono śmiało się i niecierpliwiło na widok starca, szczątku innego wieku, zabytku innych przekonań i myśli. Wyobrażenia jego tłukły się o ich pojęcia i nazad do serca wracały zranione.

Frania tak była przywykła do Wulki i jej dni spokojnie ciekących, jak piasek w starej klepsydrze, że nie bardzo pożądała czego więcej. Od czasu pierwszych

odwiedzin Sylwana, myśl jej często wracała ku niemu, ale jej serce nie biło; więcej w tem było niespokojnej nadziei życia, niżeli wyłącznego uczucia. Rada mu była, jak rada by każdemu innemu młodemu człowiekowi, coby jej światek powiększył i rozweselił; ale w dumaniach jej jasnych nie zajmował pierwszego miejsca, we snach nie odwiedzał ją z marzeniem. Zresztą, wieś i jej życie powolnie płynące dla wtajemniczonych tyle ma powabu, a dusza tak się w tym żywocie spaja z naturą, tyle tu wrażeń, tyle myśli, że się nie tęskni za czem innem, bojąc się to, co jest, utracić. I Frania nie wyrywała się nawet myślami ze szczęśliwego swego kątka.

Oddzielny rodzaj ludzi, co nie zna wioski i tego jej rozkosznego życia, co jak pewne ryb rodzaje tylko w wartkim potoku żyć umie, trudnoby uwierzył, ile rozkoszy ma w sobie dzień każdy, zdala jednostajny i nudny. Szczęście to, które prostemi bardzo pozyskuje się środkami, które się jednem niczem zaspakaja, całe zależy na tem, że *trwa*. Trwanie jego stanowi główną cenę. Są żywsze może w życiu przyjemności, są większe rozkosze, ale błyskawicą migają; gdy błogie uczucie wiejskiego spokoju przerywane tylko tem, co jego wartość podnosi, uszczęśliwia tem, że nie przechodzi. Do takiego cichego szczęścia przywykła była Frania, i choć po nad niem płynęły czasem dumania i złocone nadzieje, górą latały jak obłoki w dniu pogody, nie pociągały one z tego czarodziejskiego kręgu za sobą, ale same weń wchodziły.

Jedna Brzozosia od niejakiego czasu niecierpliwszą była i smutniejszą od innych Wulki mieszkańców; wszystko co uczynił rotmistrz, zdawało się jej najniedorze-

czniejszem w świecie, wzdychała i stękała narzekając na niego, a to tem bardziej, że Frania nie zdawała się dzielić jej złego humoru i niecierpliwości. Gniewała się na to, co zwała jej obojętnością; hrabia z ust jej nie schodził: kładła nieustannie kabałę na niego, o nim ciągle gwarzyła, śniło się jej nawet, że ją w rękę całował dla miłości Frani, a na jawie nieustannie potrzebowała sobie powtarzać dla pocieszenia się, że co sądzono, nie minie.

Jednego poobiedzia stała panna Brzozowska z pończoszką w ręku w ganku, gdy zapatrzywszy się na drogę od Denderowa, ujrzała na niej tuman pyłu. Serce jej mówiło, że to hrabia; ale nie chciała lekko wpaść z oznajmieniem, żeby się z niej nie naśmiewali, jak to się już trafiło, czekała więc, patrzała, aż wreszcie gdy się na zawrocie dowodnie przekonała, iż to był nie kto inny, tylko młody Sylwan, wpadła burzą do Frani.

— A co! a co! otóż jedzie! ubieraj się żywo! Zawsze sie ze mnie śmiejecie; widzicie, że co mówię, to nie bez racji. No wstawajże predzej i ubieraj się; jedzie. jedzie, zaraz bedzie w dziedzińcu!

— Kto?

— A któż ma być! nie udawaj proszę, wiesz dobrze kto.

-- Naprzód potrzeba oznajmić ojcu.

— Ojciec na stępaku wyjechał w pole do siewaczy, bo to dziś zasiewki; komuż przyjmować jeżeli nie tobie?

— Bez ojca, ja doprawdy nie wyjdę.

— Otóż masz! nowe głupstwo! czegoż się boisz? jużciż cię nie zje! Doprawdy, ci ludzie zawzięli się, żeby szczęście odpędzić od siebie, kiedy im samo w ręce lezie. O! co teraz, jak Boga mego kocham! więcej już

znać i wiedzieć o niczem nie chcę.

— Ale moja Brzozosiu droga! kiedy mi ojciec najwyraźniej mówił, że jeśliby bez niego przyjechał, to mu tylko powiedzieć, że ojca nie ma i nie wychodzić.

— Mówił! mówił! no to dobrze! — z impetem zawołała Brzozosia — ja ci nic już nie radzę, róbcie sobie co chcecie.

I wybiegła Brzozosia szybko w ganek, żeby choć kilką słowy tę nowinę zwiastować hrabiemu w taki sposób, aby go nie bardzo zraziła; ale na progu ujrzała że w nejtyczance Sylwana siedział rotmistrz, a stępak jego biegł sobie z tyłu za bryczką.

— To co innego! — zawołała i pobiegła nazad do Frani.

— Otóż i ojciec jest chwała Bogu — krzyknęła wpadając i stukając drzwiami — ja ci suknię przygotuję, ubieraj się, nie ma wymówki.

— Jest ojciec? — spytała niespokojnie Frania.

— Jest, jest, jest, i z nim razem przyjechał!

W tej chwili wysiedli gość i gospodarz, a stary szlachcic, wprowadziwszy hrabiego do pierwszej izby, mrugnął na Brzozosię, żeby go chwilę tu zabawiła, a sam poszedł do córki.

— Moja Franko — rzekł całując ją w czoło — miejmy rozum, a Pan Bóg da szczęście; przyplątało się do nas hrabiątko: proszę cię, choćby to ci miało być i przykrem, jeszcze dziś tylko do niego nie wychodź, ja jegomości pobawię. Jeśli ma istotnie intencje uczciwe' no! to mi o tem powinien powiedzieć otwarcie, jeśli nie, pocóż ty się masz bałamucić i o nas wszystkich dawać mu lekkie wyobrażenie.

— Jak ojciec każe.

— Przepraszam cię moje dziecko, przepraszam; w twoim wieku z ciekawości i trochę zabawy, to zawsze wielka ofiara; ale jakże nie mam myśleć, że to są tylko pańskie sztuczki! Winni mi są dwakroć sto tysięcy, fortuna ich zakompromitowana, chcą mnie może złudzić, bym się nie bardzo o swoje dopominał. Wszystko mi mówi, że to z ich strony jakaś tylko rachuba. Wytrzymujmy...

— Albo, wiesz co Franiu — dodał stary zwracając się ode drzwi — wynijdź chwilę do podwieczorku, zabaw nie długo, mów nie wiele i wróć rychło do siebie.

Frania w milczeniu przyjęła radę ojca, który ją uścisnął czule i odszedł spiesznie.

Przypadła zaraz uwolniona z posterunku Brzozosia, jaśniejąca weselem i zdyszana od wielkiej radości.

— Widziałam go, gadałam z nim — szybko mówić poczęła drepcząc po pokoiku — ubierajże się. Piękny, śliczny, grzeczny, i pytał się o ciebie. Otóżto kawaler co się zowie, nie taki jak te nasze szlachetki; koło niego pachnie jakbyś usiadła w kanuprowym krzaku. Jak wyjął chustkę od nosa, mało nie padłam taki się rozszedł zapach; a bóty jak zwierciadło... i śliczny chłopiec; ubierajże się i wychodź prędzej.

— Ja wyjdę dopiero do podwieczorku — odpowiedziała Frania pocichu.

— At już znowu coś nowego! No! widzę już tu był stary i swoje podszepnął. Kara Boża! Bardzo coś wyciągacie na cienko i smażycie. Ojciec niewiele na tem zna się, powinienby się kobiet poradzić. Ale niech sobie robi co chce: ja od wszystkiego umywam ręce! Jednak — dodała po chwili — ubierałabyś się Franiu.

— Będę miała dosyć czasu włosy przyczesać.

— I nie włożysz nowej jedwabnej sukni?

— Nie, Brzozosiu kochana; wszakżeś sama mówiła, że mi w tej dobrze.

— Tobie moje serce we wszystkiem dobrze. Ale zresztą róbcie co chcecie, róbcie co się wam podoba. Ja się do niczego nie mieszam, bo co poradzę, to się wam nie podoba... Jak sobie chcecie...

I siadła na kuferku ciężko wzdychając.

Tymczasem w pokoju stary rotmistrz bawił jak mógł dykteryjkami Sylwana, który nic już o swej klaczy nie mówiąc, spytał parę razy o pannę; za co odebrał tylko pokorne podziękowanie i kręcił się jak oparzony, nie widząc jej dotąd wchodzącej, jak się spodziewał.

Nie łatwo im obu przyszło z sobą przebyć dobrą godzinę do podwieczorku; wówczas dopiero przyszła Frania z wesołością sobie właściwą i prostotą ujmującą, spełniać obowiązek gospodyni.

Sylwan rzucił się do niej z wyraźnem nadskakiwaniem i grzecznością przesadną, na której widok szlachcic tylko wąsa pokręcał; Brzozowska uśmiechała się z radości. Nie przeszkadzał bynajmniej rotmistrz bliższemu poznajomieniu się młodych ludzi, ale miał ich na oku, a gdy podwieczorek sprzątniono a Frania się wysunęła dość prędko, pozostawszy sam-na-sam z Sylwanem, poprawił białego codziennego paska, pomuskał czuprynę, i namyśliwszy się wprzódy, tak rzecz ze staroświecka rozpoczął:

— Wielki mi honor czynią odwiedziny JW. grafa — rzekł poważnie — ale to nieszczęście, że między niższym a wyższym, zwłaszcza w takich kondycjach, w jakich my jesteśmy, kondycjach wieku, humoru, wychowania, ludzie różnie sądzić mogą o łaskawych względach JW. grafa dla mnie.

Sylwan tak się zmieszał na to *dictum acerbum*, że języka w gębie zapomniał, i dał szlachcicowi ciągnąć dalej.

— JW. graf daruje staropolskiej otwartości, że się tak wyrażam bez ogródki: *clara pacta, claros faciunt amicos*, czy jak tam. Daruj JW. grafie, ale mając jak ja jedynaczkę córkę, gdy kto młody w domu moim częściej gościć poczyna, muszę *volens nolens* penetrować jego intencje.

Sylwan odzyskawszy przytomność począł się uśmiechać.

— Może to być bardzo, że JW. graf ani myślałeś na nią rzucić okiem — kończył stary — bo to dla niego przedmiot za nizki, ale ludzie gadaćby mogli.

— A! zmiłuj się panie rotmistrzu, cóżby mogli mówić?

— Są złe języki panie hrabio; daruj mi więc, że dla wylucydowania stosunku naszego, spytać się czuję obowiązany, czy istotnie winienem honor posiadania go w tej chatce łaskawym względom na moję ubogą starość, czy też...

Sylwan przyparty do ściany, chciał się zręcznie wywinąć i odparł:

— Ale panie rotmistrzu, może właśnie chciałbym bliżej poznać godną córkę pańską, a z bliższego dopiero poznania może wyniknąć myśl....

— Panie hrabio — podchwycił nielitościwy szlachcic — ta myśl jak już wyniknie, może się razem nawinąć i pannie Franciszce; dziewczętom się łatwo głowy zawracają, a gdy z tej myśli nic być nigdy nie może...

— Dlaczego? — spytał Sylwan nieśmiało.

— Jużciż choć z antenatów dobry szlachcic, choć kolligacjami uczciwemi, ba! i z krwią królewską się szczycim, nie tylko *cum ducali familia* niejednych w Polsce książąt...

Sylwan uśmiechnął się nieznacznie.

— Ale to wiem, że ubóstwo nasze, wychowanie, podupadnienie familji, stawia nas daleko niżej państwa hrabiów. Nie pochlebiam sobie, by jego familja pozwolić kiedy mogła.

Spojrzał w oczy Sylwanowi, który zagryzł usta.

— Ja sądzę...

— Ale pan hrabia nie mówiłeś o swoich u nas odwiedzinach szanownemu ojcu?

— Wyznaję, że nie widziałem potrzeby. Mój ojciec szczęście nas wszystkich ma na pierwszym celu.

— Właśnież to bieda, że szczęście każdy sobie inaczej pojmuje — przerwał znowu Kurdesz, — a ja nimbym zaszczytną dla mnie frekwentacją chaty mej winien był łasce jego dla córki mojej, radbym wprzódy wiedział....

Sylwan zniecierpliwiony do ostatka, czerwienił się, darł rękawiczki, nie wiedział co odpowiedzieć, gniewał się, że znów został zwyciężony; nareszcie postanowiwszy ile możności zbywać starego milczeniem, wymówił tylko słów kilka niezrozumiałych, zakręcił się i pożegnał go.

Wprawdzie tak to wszystko burzyło go i jątrzyło, że rad był szlachcica wyłajać potężnie i zerwać z nim na wieki wieków; ale interes ojca, piękne oczy Frani i nadzieja wybrnienia z tych zasadzek zbytniej ostrożności, wstrzymywały go na brzegu.

— Ha! — rzekł siadając do nejtyczanki — stary lis szczwany! niech go wszyscy djabli wezmą! kroku mi nie da zrobić, przecież go zjeść muszę. Odpowiedziałem mu naostatku ni to ni owo, niby dając do zrozumienia, że mój ojciec wie o wszystkiem, i na wszystko pozwolić może; powinien się uspokoić.

Istotnie, w ganku już zebrał się Sylwan na tych kilka słów, które Kurdesz ważył potem i rozważał.

— Mój ojciec jest wyrozumiałym, znam go; ludzie niesłusznie posądzają go o dumę. Gdybym miał myśl stanowczą uczynienia ważnego kroku w życiu, jestem pewny, że aniby chciał, aniby mógł mi być przeciwnym.

Długo medytował pan Kurdesz nad temi kilką słowy, i znalazł je, strutynowawszy, wiatrem podszyte i niezaspakajające.

— Stare wróble na plewę się nie łapią! — rzekł siadając w ganku. — To są blichtry tylko. Panicz nie z tego gatunku, cobyto bardzo mógł się pokochać, z oczu mu patrzy, że szaławiła być musi, a serca nie ma za grosz. Nie myślę Frani ryzykować dla imaginowanego hrabstwa. Dosyć wyraźnie mi się wyspowiadał; zobaczym co dalej będzie?

Jakoż spokojnie w Wulce siedząc, ale pilnując domu nieodstępnie, by na wypadek przybycia gościa znajdował się zawsze, rotmistrz w zadumie i milczeniu spędził tydzionek. W końcu tygodnia Sylwan przybył znowu: przyjęty grzecznie, Frania do niego wyszła, i trochę swobodniej przebyli z sobą godzinę. Gdy we dwa dni Sylwan przyjechał jeszcze, i intencje jego zbyt były wyraźne, by je sobie podwójnie tłumaczyć można, jednego poranku Kurdesz ogoliwszy głowę i brodę, ubrawszy się w nowe suknie, przypasawszy szablę, wydobywszy z kufra aksamitną od wielkiego dzwonu konfederatkę i bóty czerwone kurdybanowe, kazał zaprządz cztery konie gniade do zielonej bryki na resorach.

Że to był dzień powszedni, nigdzie imienin w sąsiedztwie, nigdzie zjazdu i odpustu (bo o tych nikt lepiej na palcach nad Brzozowską nie wiedział), wielkie

było podziwienie, dziwne w domu domysły. Brzozosia nadewszystko się niepokoiła, chcąc dojść dokąd rotmistrz wyjeżdża; ale nikt o tem nie wiedział. Kurdesz stał już ubrany w ganku, konie były zaprzężone, a żywa dusza nie domyślała się, po co i dokąd ma jechać.

Córka nie śmiała go pytać, widząc, że nie rad jej o tem mówić; tem mniej ludzie. Brzozosia zachodziła go różnie, ale napróżno. Śmiał się tylko sucho, choć bez ochoty do śmiechu, odpowiadając:

— O! jaka ciekawa! ot! jadę do miasteczka do sądu.

— W czerwonych butach! przy szabli! i bez faseczki bigosu!

— Mam być u marszałka.

— U marszałka pan bywa i w siwej kapocie.

Zbijany z wykrętów rotmistrz, uśmiechnął się tylko, i okrywszy się płóciennym kitlem od pyłu, wziąwszy na drogę kapelusz słomiany, ruszył od ganku, pocałowawszy Franię w głowę.

— Kiedyż powrócisz ojcze? — spytała go.

— Zapewne dzisiaj moje dziecko.

Zostawiwszy wszystkich, a nadewszystko Brzozosię, w paroksyzmie rozdrażnionej ciekawości, odjechał stary, jak się łatwo każdy domyśli, do Denderowa.

Przybycie jego, gdy o niem znać dano, zmieszało hrabiego; myślał, że chodzi o pieniądze, i wyszedł naprzeciw rotmistrza z serdecznością zwyczajną, *unguibus et rostro*, to jest, rękoma i usty go witając, choć widocznie skłopotany.

— A! szanownego! kochanego! drogiego naszego rotmistrza! — zawołał. — Sto lat jakieśmy się nie widzieli; nie łaskaw jesteś na nas!

— JW. grafie! — rzekł, schylając się do kolan

szlachcic — zwyczajnie, wieśniak roli pilnuję, trudno czas tracić; a gospodarka, zazdrośna żona, trzyma za poły.

— Panbyś już powinien cokolwiek spocząć, kochany rotmistrzu...

— Póki siły służą siako-tako, czemu nie pracować JW. panie?

Uściskawszy Kurdesza, udając wielce wesołego, kazawszy co najrychlej podawać śniadanie, hrabia nie bez wewnętrznego niepokoju posadził go przy sobie na kanapie. Kurdesz przysiadł się tylko na rożku, a pomówiwszy trochę o pogodzie i o siejbie, wstał, i pokłoniwszy się, tak począł *ex abrupto:*

— JW. graf pozwoli z sobą pomówić trochę na osobności...

Pobladł hrabia, uścisnął powtóre i potrzecie szlachcica, i śmiejąc się, choć drżał i gniewał się, rzekł szybko:

— Całem sercem! co każesz rotmistrzu?

— Delikatny interes mnie tu sprowadza — rzekł stary — proszę zawczasu o przebaczenie, że muszę może niezbyt przyjemną wyłuszczyć mu prośbę.

— Ani chybi, o pieniądze! — bledniejąc mówił w duchu Dendera.

— Nie tajna to zapewne JW. panu — kończył Kurdesz — że mam jedynaczkę córkę, skarb mój, skarb jedyny, jaki mi po śmierci ś. p. małżonki mojej pozostał. Jestto pociecha i przyszła podpora starości mojej, i lekko, co się jej tyczy, co ją obchodzić może, brać nie umiem. Jestem uczciwym człowiekiem, i nic, nawet wysokich zaszczytów i szczęścia, nie pragnę nabywać podejściem. Od niejakiego czasu syn JW. pana począł do domku mojego uczęszczać, tak, że wątpliwości nie

ulega, iż rzucił okiem na dziecko moje. Z obowiązku ojca, równie dla JW. pana jak dla siebie, widzę koniecznem o tem mu oznajmić. Nie zdaje mi się, byś JW. pan pozwolił na związek nierówny, i nie pochlebiam sobie...

Tu hrabia przerwał mu wybuchem czułości, bo nie wiedział co począć zażyty z mańki; a choć gniew uczuł okrutny, że mu przezorność szlachcica wszystkie pomieszała szyki, udał przejęcie i wdzięczność największą, a kręcił się jak w ukropie. Rad był, że dotąd o pieniądzach nie wspomniał, i bał się, by do tego z kolei nie przyszło.

— Ale kochany rotmistrzu! — zawołał — dziękuję ci, dziękuję serdecznie, boć syn mój istotnie za młody, i bez obrazy twej, nie myślę, by chciał tak rychło świat sobie zawiązywać.

— Właśnie i ja tak sądziłem, i dlatego proszę, byś go JW. pan perswazją ojcowską wstrzymał; może się zawiązać przyjaźń, może to być dla obojga powodem utrapienia, trzeba tego uniknąć. Moja rada — dodał szlachcic — byś JW. pan wyprawił gdzie młodego, zapomniałby trochę.

Nie potrafimy opisać, jak dalece uczuł hrabia, że ktoś prostą, otwartą poczciwością zwyciężył jego tak przebiegle obrachowane zasadzki; ale musiał nadrobić miną i udawać wdzięcznego. Szlachcic zresztą nic nie wspomniał o swoim kapitale: to także poczynało w inny sposób niepokoić Denderę; grzecznym był, nadskakującym, słodkim, i kłamał o swych interesach, by je przy zdarzonej okoliczności w jak najświetniejszych barwach wystawić. Słowa jednak nie wyciągnął z rotmistrza, który w rzeczy pieniędzy uparcie milczał.

Nareszcie zniecierpliwiony hrabia, choć z niemałym strachem, musiał ten drażliwy przedmiot zaczepić.

— Pan wie, interesa, jakkolwiek dzięki Bogu jestem o nie spokojny, ale zawsze potrzebują wczesnego zregulowania; muszę wiedzieć wprzódy jak się układać, co też pan rotmistrz myślisz ze swym kapitałem?

— Jeszczeto daleko do terminu — rzekł enigmatycznie Kurdesz.

— Tak, ale jakie są intecje pańskie?

— Moim zamiarem jest kupić ziemię.

— Wiec pan zapotrzebuje swego kapitału? — chmurno spytał hrabia.

— W terminie będę o niego prosił.

— A bardzo dobrze! bardzo dobrze! — odparł Dendera dumnie i chłodno, ale nadzwyczaj dotknięty. — Cóżto, jeśli wolno spytać, powoduje do tego?

— A cóż JW. panie! człek się starzeje, kto wie wiele życia zostało: radbym dziecku jasny i spokojny fundusz zostawić.

— Ani słowa, ale ziemia?

— Ziemia to taki zawsze coś — rzekł rotmistrz — i przyznam się JW. panu, że dla dziewczyny mojej lepiej, gdy się jej fundusik jasno pokaże. Może Bóg da wydać ją za mąż, to się wioska kupiona odda posagiem, a ja sobie dokawęczę na Wulce.

Nie było co na to odpowiedzieć.

— Pan nie boisz się kupna, kłopotów, zagospodarowania nowego i tak wysoko podniesionej ceny majątków?

— Jużto jak Bóg da; ale moje projekta są dawno obmyślane i niewzruszone.

Hrabia, żeby nie miał pozoru popierania swej sprawy, musiał zamilknąć i odwieść rozmowę; a nie chcąc

okazać jak był udręczony podwójnem wyznaniem rotmistrza, udawał i humor wyśmienity, i pańską obojętność na te drobnostki. Szlachcic trzymał się jak zwykle zdaleka, pokornie, z uszanowaniem, ciągle niezmiernie grzeczny, uniżony, na oko pełen wiary w to wszystko, co JW. pan powiedzieć raczył, jednak na żadną wędkę jakoś ułowić się nie dawał.

Dendera próbował różnych sposobów, ale wreszcie znudzony i zmęczony, gdy rotmistrz brał za konfederatkę, nie poprosił go już nawet na obiad, i pożegnał zamyślony.

— A zatem moja prośba zostanie w pamięci JW. pana? — rzekł na odjezdnem Kurdesz.

— Co się tyczy Sylwana?

— Tak jest, JW. panie! Lepiejby go dokąd wyprawić, bo ja dla spokoju mojej Frani musiałbym, choć z żalem, konfuzją, uchodzić bodaj z własnego domu. Darujesz mi JW. pan, ale każdemu spokój drogi.

— Naturalnie, naturalnie, panie rotmistrzu! I tak się rozstali.

Wszystkie śliczne projekta spełzły na niczem. Sylwan zawołany natychmiast wszedł do ojca ze swemi chartami na smyczy, bo się wybierał na polowanie, i z polowania zajechać miał do Wulki. Nic nie wiedział o przybyciu rotmistrza, ani się domyślał tych odwiedzin; ale po fizjognomii ojca postrzegł, że się dowie coś nieprzyjemnego.

Hrabia nie widząc potrzeby udawania, jak z krzyża zdjęty, siedział z obwisłą głową i brwią namarszczoną, blady, ponury, gniewny.

— Ślicznie się nam udaje! — rzekł do syna.

— Cóżto hrabio?

— Wiesz kto był u mnie przed chwilą?

— Nie, nie wiem nawet czy był kto.

— Zgadnij!

— O! to napróżno! Całkiem nie umiem zgadywać.

— Więc poprostu ci powiem: stary Kurdesz.

— Z czem? — spytał Sylwan ciekawie.

— Z bardzo naturalną zresztą kwestją: czy ci pozwolę z jego córką się ożenić.

— On! — pochwycił Sylwan — oszalał, czy co! On śmiał!

— Najprzytomniej w świecie, poprostu i niezmiernie grzecznie przestrzegł mnie, że u niego bywasz...

— Cóżeś mu hrabio odpowiedział?

— Ba! naturalnie, że bywać zakażę.

— Tak! — roześmiał się kwaśno Sylwan.

— A jakże mogłem inaczej?

Syn postał chwilę, pomyślał, i odtrącając od siebie psa ze złością, zawołał:

— Warjat stary! co u tej szlachty w głowie? Patrzajcie go, jaki troskliwy o swój honor, jak gdyby to miało honor! Jakiś tam szerepetka, pan Kurdesz! cha! cha!...

— Muszę mu oddać sprawiedliwość — rzekł stary hrabia — że choć wcale niepozorny, a niezmiernie sprytny; w dodatku przywiózł i mnie przysmaczek, bo żąda kapitału.

— O! to gorzej! — zaśmiał się szydersko Sylwan. — Co mi tam jego córka! — dodał, szydząc ciągle z wewnętrznym gniewem — gąska! głupia gąska! cielątko!... Wielkie mi szczęście córka pana Kurdesza!

wielka osobliwość! Powinienby się mieć za szczęśliwego!...

Dendera spojrzał na syna.

— Cóż dalej będzie? — spytał.

— Co? na złość temu szerepetce widywać ją będę.

— Rób sobie co chcesz, ale teraz z góry ci powiadam, że to już będzie bez mojej woli i wiedzy; patrz, żebyś się w brzydką nie wplątał intrygę.

Sylwan ruszył ramionami, rozśmiał się pogardliwie, świsnął na psy, i wyszedł trzaskając drzwiami.

Kto wie jak upokorzenie boli dumnych, niech porachuje co cierpiał.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.